Cena Zł 150.

NAUKA i SZTUKA

KWARTALNIK

ROK IV Lipiec — Sierpień — Wrzesień Tom IX

Zawiera:

JELENIA GÓRA — WROCŁAW

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości do recenzji w dwu egzemplarzach.

Artykuły do druku muszą być pisane na maszynie, względnie zostaną przepisane na koszt autora.

Wydano z zasiłkiem Ministerstwa Kultury i Sztuki

Wydawca: Śląski Zespół Wydawniczy

Redaktor: Stefan M. Kuczyński

Redakcja i Administracja: Wrocław (14) ,ul. Oksywska 37.

NAUKA i SZTUKA

KWARTALNIK

TOM IX

LIPIEC – SIERPIEŃ – WRZESIEŃ
1948



JELENIA GÓRA — WROCŁAW



Zakłady Graficzne W.I.N.W. — Oddział w Jeleniej Górze — F. 38221

NAUKA i SZTUKA

KWARTALNIK

ROK IV — LIPIEC—SIERPIEŃ—WRZESIEŃ 1948 — TOM IX

Andrzej Mycielski (Wrocław)

KONSTYTUCJA Z.S.R.R.

Kiedy w dniu 6 lutego 1935 r. VII Zjazd Rad wskazał na konieczność wprowadzenia zmian do konstytucji Związku Radzieckiego, wybrana przez Centralny Komitet Wykonawczy Związku komisja przystąpiła do pracy nad projektem nowej ustawy zasadniczej. Obrady komisji toczą się pod osobistym przewodnictwem Stalina. On nadaje właściwy kierunek jej pracom, jego myśl modeluje kształt przyszłego dzieła

Z kolei projekt poddany jest publicznej dyskusji, i to dyskusji na najszerszej płaszczyźnie. Ogłoszony w 38 milionach egzemplarzy gazet radzieckich, w 240 milionach broszur, omawiany w ośrodkach robotniczych i wiejskich. Nie jest, widać to wyraźnie, życzeniem twórców projektu, aby był czymś z góry przesądzonym i niezmiennym, — przeciwnie, wpływa do niego od interesujących się nim żywo obywateli państwa, cały szereg poprawek, z których liczne i nie pozbawione znaczenia są istotnie zużytkowane.

Po referacie Stalina, wygłoszonym na nadzwyczajnym VIII Wszechzwiązkowym Zjeździe Rad w dniu 25 listopada 1936 r. projekt jest przyjęty w dniu 5 grudnia 1936 r. Nowa konstytucja wchodzi w życie. Nosi ona tytuł Konstytucji Związku Socjalistycznych Republik Rad.

Co da się powiedzieć w ramach zwykłego artykułu o dziele tak znamiennym, w tak wielu swych punktach rewelacyjnym, tak nowym w redakcji, jak Konstytucja Stalinowska? Co da się powiedzieć o dziele, które w tak wielu punktach wybiega poza ramy ustalonych tradycją formuł? Jest rzeczą jasną, że nie tu miejsce nawet na proste streszczanie sowieckiej ustawy zasadniczej. Mogę jedynie naszkicować główne jej kontury i na tej podstawie, chociażby pobieżnie, dotknąć w kilku rzutach paru zagadnień.

Pierwszym takim zagadnieniem, to zagadnienie struktury samego państwa, zagadnienie budowy jego władz. Kamieniem węgielnym tej budowy jest Rada Delegatów Ludu Pracującego. „Podstawę polityczną Z.S.R.R. (głoszą art. 2 i 3 Konstytucji) stanowią Rady Delegatów Ludu Pracującego, które wyrosły i umocniły się w wyniku obalenia władzy obszarników i kapitalistów i zdobycia dyktatury proletariatu . . . Cała władza w Z.S.R.R. należy do ludu pracującego miast i wsi w osobie Rad Delegatów Ludu Pracującego".

Najniższą terytorialną jednostką Związku jest wieś lub miasto, skolei przychodzi rejon, okręg, obwód, republika związkowa (dodajmy, że niektóre terytoria tworzą obwody i republiki autonomiczne). Republiki związkowe tworzą Związek,będący

na federalnej podstawie opartym państwem związkowym — Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Otóż na wszystkich jednostkach terytorialnych Związku występują Rady, jako organa naczelne, oraz Komitety Rad, jako organa wykonawcze.

Obowiązuje z całą bezwzględnością zasada wybierania Rad oraz to, że zarządzenia wybranych organów są wiążące dla organów niższych, i że członkowie wybranych organów obowiązani są składać sprawozdania swym wyborcom i mogą być przez nich odwoływani. Wybory delegatów do rad są czteroprzymiotnikowe tj. powszechne, równe, bezpośrednie i tajne. Wszyscy obywatele Związku Radzieckiego niezależnie od przynależności rasowej i narodowej, płci, wyznania, cenzusu wykształcenia, osiadłości, pochodzenia społecznego, stanu majątkowego i poprzedniej działalności mają prawo brać udział w wyborach delegatów, których wybierają wprost dysponując przy tym jednym głosem. Kobiety mają prawo wybierać i być wybierane na równi z mężczyznami. To samo dotyczy obywateli Związku znajdujących się w szeregach. Kandydatów podczas wyborów wysuwa się podług okręgów wyborczych. Prawo wysuwania kandydatów przysługuje organizacjom społecznym i stowarzyszeniom ludzi pracy, a mianowicie komunistycznym organizacjom partyjnym, związkom zawodowym, spółdzielniom, organizacjom młodzieży i stowarzyszeniom kulturalnym.

Naczelnym organem Związku i naczelnymi organami republik związkowych są z wyborów czteroprzymiotnikowych pochodzące Rady Najwyższe. Rady Najwyższe Republik związkowych są jednoizbowe, — Rada Najwyższa Związku, całą władzę ustawodawczą na jego terenie sprawująca, dwuizbowa. Składa się ona z Rady Związku i Rady Narodowości. Pierwszą wybierają obywatele Z.S.R.R. według prostego klucza liczbowego, drugą według klucza federalno-narodowościowego. Radę Związku mianowicie wybierają obywatele ZSRR według okręgów wyborczych w stosunku jeden delegat na 300.000 ludności. Radę Narodowości ześ według republik związkowych i autonomicznych, obwodów autonomicznych, oraz okręgów narodowych w następującym stosunku: po 25 delegatów od każdej republiki związkowej, po 11 delegatów od każdego obwodu autonomicznego i po 1 delegacie od każdego okręgu narodowego. Radę Najwyższą ZSRR wybiera się na przeciąg lat 4-rech. Obie izby Rady Najwyższej posiadają równe prawa i obu w równej mierze przysługuje inicjatywa ustawodawcza. Ustawy Rady Najwyższej ZSRR uchwalane są zwykłą większością głosów każdej z izb. Ogłasza się je w językach republik związkowych za podpisem przew. i sekr. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Sesje Rady Związku i Rady Narodowości rozpoczynają się i kończą jednocześnie. Przewodniczący Rady Związku i Rady Narodowości kierują obradami odnośnych izb i czuwają nad ich regulaminem wewnętrznym. Wspólne posiedzenia obu izb Rady Najwyższej prowadzą kolejno przewodniczący Rady Związku i Rady Narodowości. Sesje Rady Najwyższej zwołuje prezydium Rady Najwyższej dwa raz do roku. Sesje nadzwyczajne zwołuje Prezydium Rady Najwyższej według swego uznania lub na żądanie jednej z republik związkowych. W razie rozbieżności zdań między Radą Związku a Radą Narodowości sprawa zostaje przekazana do rozpatrzenia komisji porozumiewawczej utworzonej przez izby na zasadzie parytetu. Jeżeli komisja porozumiewawcza nie dochodzi do zgodnej decyzji lub jeśli decyzja jej nie zadawala jednej z izb, sprawę rozpatrują izby powtórnie. W razie braku zgodnej decyzji obu izb, Prezydium Rady Najwyższej rozwiązuje Radę Najwyższą i rozpisuje nowe wybory.

Rada Najwyższa Związku dokonuje wyboru swego Prezydium, stanowiącego jakgdyby kolegialną głowę Związku Radzieckiego. Prezydium Rady Najwyższej złożone z Przewodniczącego, 16-tu jego zastępców oraz 24-ch członków, spełnia funkcje bardzo rozległe. Kontroluje legalność zarządzeń władz, interpretuje ustawy, zarządza referendum, wykonuje prawo łaski, mianuje i odwołuje naczelne dowództwo, ogłasza stan wojny, ratyfikuje umowy międzynarodowe, przyjmuje i wysyła przedstawicieli dyplomatycznych, itd.

Ponadto Rada Najwyższa powołuje Rząd Z.S.R.R. czyli Radę Ministrów. Rada Ministrów Związku odpowiedzialną jest przed Radą Najwyższą, a w okresie między sesjami odpowiada przed Prezydium. Rada Ministrów ZSRR wydaje postanowienia i rozporządzenia na podstawie i w wykonaniu ustaw obowiązujących, oraz sprawdza ich wykonanie. Postanowienia i rozporządzenia Rady Ministrów podlegają obowiązkowemu wykonaniu na całym terytorium ZSRR. Rada Ministrów Związku:

— jednoczy pracę ogólno-związkowych i związkowo-republikańskich ministerstw ZSRR i innych podległych jej instytucji, oraz nadaje kierunek ich pracy,

— przedsiębierze środki w celu zrealizowania planu gospodarstwa narodowego, budżetu państwowego i w celu umocnienia systemu kredytowo-pieniężnego,

— jak również środki w celu zabezpieczenia porządku publicznego, obrony interesów państwa i ochrony praw obywateli,

— uskutecznia ogólne kierownictwo w dziedzinie stosunków z państwami obcymi,

— określa corocznie kontyngenty obywateli podlegających powołaniu do czynnej służby wojskowej, oraz ustala zasadnicze linie organizacyjne sił zbrojnych w kraju.

— Poza tym tworzy w razie potrzeby specjalne komitety i główne urzędy dla spraw związanych z obroną kraju, oraz kulturalnych i gospodarczych.

Rada Ministrów ZSRR ma prawo w działach zarządu i gospodarstwa należących do kompetencji Związku zawieszać postanowienia i rozporządzenia rad ministrów republik związkowych, oraz uchylać rozkazy i instrukcje ministrów ZSRR.

W skład Rady Ministrów poza ministrami wchodzą przewodniczący Rady Ministrów, jego zastępcy, przewodniczący Państwowej Komisji Planowania, oraz przewodniczący dla Spraw Sztuki. Ministrowie ZSRR wydają w zakresie kompetencji odnośnych ministerstw rozkazy i instrukcje na podstawie i w wykonaniu ustaw obowiązujących, jak również rozporządzeń Rady Ministrów, oraz sprawdzają ich wykonanie. Ministerstwa Związku dzielą się na ogólno-związkowe i związkowo-republikańskie. Ministerstwa ogólno-związkowe kierują powierzonym sobie działem zarządu państwowego na całym terytorium Związku bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem mianowanych przez siebie organów. Ministerstwa związkowo-republikańskie kierują powierzonym im działem zarządu państwowego z reguły za pośrednictwem noszących tę samą nazwę ministerstw republik związkowych i zarządzają bezpośrednio tylko określoną i ograniczoną liczbą przedsiębiorstw.

(Nie będę wymieniał wszystkich ministerstw, dla przykładu tylko podam, że do ministerstw ogólno-związkowych należy np. ministerstwo przemysłu lotniczego i samochodowego, a do ministerstw związkowo-republikańskich ministerstwo spraw wewnętrznych, ministerstwo spraw zagranicznych itp.).

Osobny rozdział konstytucji radzieckiej poświęcony jest sądom i prokuraturze. Konstytucja wyodrębnia tym samym wymiar sprawiedliwości w charakterze odrębnej funkcji. Wymiar ów na terenie Związku sprawują Sąd Najwyższy Związku, sądy

najwyższe republik związkowych, sądy krajowe i obwodowe, sądy republik autonomicznych i obwodów autonomicznych, sądy specjalne tworzone na podstawie uchwały Rady Najwyższej i sądy ludowe. Rozpatrywanie spraw we wszystkich sądach odbywa się z udziałem ławników ludowych, oprócz wypadków specjalnie przez ustawę przewidzianych. Sąd Najwyższy jest naczelnym organem sądowym, — sprawuje on nadzór nad działalnością sądową wszystkich organów sądowych Związku i Republik związkowych. Sąd Najwyższy Związku i Sądy specjalne Związku obierane są przez Radę Najwyższą Związku. Sądy Najwyższe republik związkowych i autonomicznych obierane są przez Rady Najwyższe tychże republik. Sądy krajowe i obwodowe sądy obwodów autonomicznych, sądy okręgowe obierane są przez krajowe, obwodowe lub okręgowe rady delegatów ludu pracującego, lub przez rady delegatów ludu pracującego obwodów autonomicznych. Sądy ludowe obierane są przez obywateli rejonu na podstawie powszechnego, bezpośredniego i równego prawa wyborczego w głosowaniu tajnym.

Jak z tego widzimy zasada wybieralności sędziów jest zasadą w konstytucji Radzieckiej w całej rozciągłości przyjętą. Co się tyczy postępowania sądowego to w myśl zasady autonomizmu narodowościowego odbywa się ono w języku republiki związkowej lub autonomicznej, albo obwodu autonomicznego, przy czym osoby nie władające tym językiem mają prawo posługiwania się w sądzie językiem ojczystym. Naczelny nadzór nad ścisłym wykonywaniem ustaw przez wszystkie ministerstwa i podległe im instytucje, jak również przez poszczególne osoby urzędowe, a także przez obywateli ZSRR zleca Konstytucja mianowanemu przez Radę Najwyższą Związku Prokuratorowi Generalnemu ZSRR. Organa prokuratury w republikach, krajach, obwodach itp. sprawują swe funkcje niezależnie od jakichkolwiek organów miejscowych i podlegają jedynie Prokuratorowi Generalnemu Związku.

Oto krótka reasumpcja, bardzo zresztą niekompletna, przepisów organizacyjnych Konstytucji Radzieckiej, Co na ich tle nas uderza?

Uderza nas przede wszystkim dalekosiężność środków kontrolnych. Ustawodawca sowiecki odwraca się z całą świadomością od dawnego klasycznego pojęcia kontroli. Nie wystarcza mu zwykła kontrola reprezentantów ludu nad rządem, nie wystarcza mu stary trójpodział władz wzajemnie się hamujących, nie wystarcza konkurowanie organów samorządowych z rządowymi. Zasadniczą cechą radzieckiego systemu kontroli, jednolicie pomyślanego, to przede wszystkim całkowita kontrola organów wybranych nad fachowymi organami administracyjnymi, a obok tego pełna i równocześnie stała kontrola wyborców nad wszelkimi organami wybranymi. Nie ma w konstytucji radzieckiej przeciwstawienia organów rządowych i samorządowych, z chwilą kiedy w administracji lokalnej ciała samorządowe przejęły całość administracji. Nie ma tam również miejsca na wzajemne „hamowanie się" władz, z chwilą, kiedy właściwym hamulcem dla wybranego — ale hamulcem decydującym — jest istniejąca stale możność odwołania go przez wyborcę.

Ale czymże jest formalna tylko analiza tekstów? Przedstawiony przez nas aspekt nie daje nam jeszcze nawet w zarysie właściwego obrazu Konstytucji Radzieckiej. Obraz ten pozostałby całkowicie mglisty bez należytego uchwycenia jej tła — tła socjalnego.

Jakim jest to tło, poucza nas najlepiej urywek z referatu Stalina, referatu projektu Konstytucji Związku dotyczącego, a wygłoszonego 25 listopada 1936 r.

„Konstytucje burżuazyjne — mówi Stalin — ograniczają się zazwyczaj do zapisywania formalnych praw obywatelskich, nie troszcząc się o warunki urzeczywistnienia tych praw, o możliwość ich urzeczywistnienia, o środki ich urzeczywistnienia. Mówią o równości obywateli, lecz zapominają, że nie może być rzeczywistej równości między przedsiębiorcą a robotnikiem, między obszarnikiem i chłopem, skoro pierwsi mają bogactwo i wagę polityczną w społeczeństwie, a drudzy pozbawieni są i jednego i drugiego, skoro ci pierwsi są wyzyskiwaczami, a drudzy wyzyskiwanymi. Albo też mówią o wolności słowa, zebrań i druku, ale zapominają, że wszystkie te wolności mogą przekształcić się dla klasy robotniczej w pusty dźwięk, jeżeli jest ona pozbawiona możności rozporządzania odpowiednimi lokalami na zebrania dobrymi drukarniami, dostateczną ilością papieru, itd. Właściwością projektu nowej konstytucji jest to, że nie ogranicza się on do zapisywania formalnych praw obywateli, lecz przenosi punkt ciężkości na sprawę gwarancji tych praw, na sprawę środków urzeczywistenienia tych praw". (Zagadnienia Leninizmu, str. 477).

Uważne przemyślenie zacytowanych tu słów ułatwi nam znacznie zrozumienie właściwego rdzenia konstytucji radzieckiej. Rdzeniem tym są niewątpliwie te postanowieni, które mają związek z ustrojem społecznym.

Oto jak brzmią one:

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich jest socjalistycznym państwem robotników i chłopów. Podstawę polityczną Związku stanowią rady delegatów ludu pracującego, powstałe w wyniku obalenia władzy obszarników i kapitalistów i zdobycia dyktatury proletariatu. Cała władza w Związku Radzieckim należy do ludu pracującego. Podstawę ekonomiczną Związku stanowią socjalistyczny system gospodarczy oraz socjalistyczna własność narzędzi, które utrwaliły się w wyniku likwidacji kapitalistycznego systemu gospodarczego, zniesienia prywatnej własności narzędzi i środków produkcji, oraz unicestwienia wyzysku człowieka przez człowieka. Własność socjalistyczna w Związku Radzieckim — mówi dalej Konstytucja — posiada bądź formę własności państwowej (wtedy występuje jako mienie całego ludu) bądź formę własności spółdzielczo-kołchozowej. Ziemia, jej wnętrze, wody, lasy, zakłady przemysłowe, fabryki, szyby i kopalnie, transport kolejowy, wodny i powietrzny, banki, środki łączności, wielkie przedsiębiorstwa rolne, zorganizowane przez Państwo, jak również przedsiębiorstwa komunalne oraz podstawowy zasób domów mieszkalnych w miastach i osadach przemysłowych — są własnością państwa, czyli mieniem całego ludu. Przedsiębiorstwa społeczne w kołchozach i organizacjach spółdzielczych wraz z ich inwentarzem żywym i martwym, produkcja wytwarzana przez kołchozy i organizacje spółdzielcze, stanowią socjalistyczną własność kołchozów i organizacji spółdzielczych. Zagroda kołchoźnicza prócz podstawowego dochodu ze społecznego gospodarstwa kołchozu, posiada w osobistym użytkowaniu niewielką działkę ziemi oraz na własność osobistą gospodarstwo pomocnicze, dom mieszkalny, bydło itp.

Ziemia, zajmowana przez kołchozy, jest im oddana do użytkowania bezpłatnego i bezterminowego. Obok socjalistycznego systemu gospodarczego, będącego panującą formą gospodarczą w Z.S.R.R., dozwolone jest przez prawo drobne prywatne gospodarstwo indywidualnych gospodarzy, chłopów i chałupników, oparte na pracy osobistej i wyłączające wyzysk cudzej pracy. Prawo osobistej własności obywateli do pochodzących z ich pracy dochodów i oszczędności, do domu mieszkalnego i pomocniczego gospodarstwa domowego, do przedmiotów ich osobistego

spożycia i wygody, jak również prawo dziedziczenia osobistej własności obywateli znajduje się pod ochroną ustaw państwowych.

Plan państwowy gospodarstwa narodowego nadaje treść i kierunek życiu gospodarczemu Z.S.R.R. celem pomnożenia bogactwa społecznego, nieustannego podnoszenia materialnego i kulturalnego poziomu ludu pracującego, umocnienia niezależności Z.S.R.R. i spotęgowania jego mocy obronnej.

Praca w Z.S.R.R. -- mówi Konstytucja — jest obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela. Urzeczywistnia się tam zasadę socjalizmu: od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy.

Zgodnie z interesami ludu pracującego w celu rozwoju działalności organizacyjnej samych mas ludowych oraz ich aktywności politycznej zapewnia się obywatelom Z.S.R.R. prawo zrzeszania się w organizacje społeczne, związki zawodowe, zrzeszenia spółdzielcze, organizacje młodzieży organizacje sportowe i obronne, stowarzyszenia kulturalne, techniczne i naukowe, najbardziej zaś aktywni i uświadomieni obywatele z pośród warstwy robotniczej i innych warstw ludu pracującego łączą się we Wszechzwiązkową Partię Komunistyczną (bolszewików) będącą — podług Konstytucji — czołowym oddziałem mas pracujących w ich walce o umocnienie i rozwój ustroju socjalistycznego oraz stanowiącą kierowniczy trzon wszystkich zarówno społecznych jak i państwowych organizacji ludzi pracy.

Momenty wskazane wpływają niewątpliwie na sposób, w jaki Konstytucja Stalinowska stawia problem zasadniczych praw jednostki. Z jednej strony w sposób niejako klasyczny w swym ujęciu negatywnym gwarantuje ona jednostkom całkowicie zrównanym wobec prawa, pewien zasięg swobód których ingerencja państwa uszczuplić nie może. Obywatelom zapewnia się np. nietykalność osobistą, polegającą na tym, że nikt nie może być aresztowany bez postanowienia sądu lub bez zezwolenia prokuratora. Gwarantuje się im dalej prawo zrzeszania się, nietykalności mieszkania i tajemnicę korespondencji. Z drugiej strony wybiegając daleko poza sferę ujęć czysto negatywnych, przenosi Konstytucja Stalinowska punkt ciężkości gdzie indziej, przenosi go w domenę realizacji pozytywnej. Chodzi tu już nie tyle o deklarowanie pewnych praw, ile o stworzenie środków ich realizacji. I oto ustanawiając prawo do pracy, wymienia odrazu Konstytucja jako jego zabezpieczenie socjalistyczną organizację gospodarstwa narodowego. Ustanawiając prawo do wypoczynku, zabezpiecza je gwarancją ośmiogodzinnego dnia pracy, odpowiednim systemem urlopów itp. Ustanawiając prawo do nauki, zabezpiecza je obowiązkiem powszechnego nauczania początkowego, systemem stypendiów państwowych dla wyróżniających się studentów szkół wyższych, obowiązkiem nauczania w języku ojczystym, itp.

Powiedziałem na wstępie mego artykułu, że Konstytucja Radziecka w wielu punktach wybiega poza ramy ustalonych tradycją formuł. Widzimy w tej chwili, że wybiega poza nie najdalej niewątpliwie w swej części społecznej.

Czy jednak sam fakt, że konstytucja radziecka jest dziełem na daleką przyszłość obliczonym i szerokie dziedziny życia ogarniającym, usprawiedliwiałby równocześnie twierdzenie, że jest ona całością ostatecznie skrystalizowaną i niezmienną? Nic podobnego! Nie było to bynajmniej intencją jej twórców. Możność zmiany konstytucji Z.S.R.R. przewidziana jest w ostatnim jej artykule (146). Może być ona zawsze dokonana na mocy uchwały Rady Najwyższej Związku, powziętej odpowie-

dnio kwalifikowaną większością (i faktycznie już w pewnym zakresie 25.II.1947 dokonaną została). Stalin mówiąc w swym cytowanym już przeze mnie referacie o znaczeniu nowej Konstytucji tak o niej mówi:

„Będzie to dokument historyczny, traktujący prosto i zwięźle, w stylu niemal protokólarnym o faktach zwycięstwa socjalizmu w Z.S.R.R, o faktach wyzwolenia mas pracujących Z.S.R.R. z niewoli kapitalistycznej, o faktach zwycięstwa w Z.S.R.R. rozwiniętej do końca, konsekwentnej demokracji”. (Zagadnienia Leninizmu str. 491).

Dla narodów Związku Konstytucja ma podług Stalina znaczenie bilansu „bilansu ich walki”. (Zagadnienia Leninizmu str. 491).

Wincenty Styś (Wrocław)

RADZIECKA GOSPODARKA PLANOWA WIDZIANA OCZYMA PLANISTY

Treść niniejszego referatu opiera się nie tylko na książkowych studiach, lecz także na osobistych obserwacjach i doświadczeniach, zdobytych w latach 1940—41, kiedy to pracowałem w jednym z radzieckich przedsiębiorstw, pełniąc kolejno funkcje rachmistrza, normisty i planisty. Posiadając ekonomiczne wykształcenie, mogłem do mych doświadczeń przykładać sprawdziany nauki i czyniłem to, pragnąc poznać, jakie znaczenie posiada moja własna praca dla całości socjalistycznej gospodarki.

Planowanie ekonomiczne nie jest rzeczą nową. Jest ono tak stare, jak sama gospodarka, rozumiana jako świadome dążenie do osiągnięcia maksymalnego efektu przy pomocy będących do dyspozycji środków. Chłop, przeznaczający swą rolę pod różne kultury, planuje. Rzemieślnik, nabywający różne surowce, by je przetwarzać, kupiec, gromadzący różne towary, by je sprzedać z zyskiem, również planują. Toż samo czyni konsument, przeznaczając części swego dochodu na różne potrzeby. Wszystko to jednak jest planowaniem w ramach jednego gospodarstwa czy też przedsiębiorstwa, a nie planowaniem, które stawia sobie za cel ujęcie swymi przewidywaniami, dyspozycjami i kontrolą całego życia gospodarczego. Planowanie tego ostatniego rodzaju nie mogło powstać tak długo, jak długo istniała prywatna własność środków produkcji. Podstawowym atrybutem własności jest swoboda władania jej przedmiotem, przysługująca właścicielowi jako podmiotowi gospodarki. Ilu więc jest właścicieli, tyle istnieje indywidualnych planów gospodarczych, niczym z sobą nie związanych. W ustroju kapitalistycznym wyrównanie i uzgodnienie tych indywidualnych planów dokonuje się pod wpływem prawa podaży i popytu. Wskaźnikiem, według którego orientują się zarówno nabywcy jak i sprzedawcy dóbr, konsumenci jak i producenci są w tym ustroju ceny rynkowe. Dążą one do ustalenia się na takim poziomie, przy którym ilość zaofiarowana równa się ilości zapotrzebowanej. Ekonomiści, którzy analizowali funkcjonowanie kapitalistycznej gospodarki przy pomocy metody matematycznej, nazwali tę cenę ceną równowagi.

Chociaż analitycy kapitalizmu posługiwali się i posługują w swych badaniach pojęciem równowagi, to jednak w rzeczywistości podstawową cechą formacji kapitalistycznej jest brak równowagi. Po okresach burzliwego rozwoju gospodarczego następują periodycznie kryzysy i długotrwałe depresje, w czasie których czynniki produkcji pozostają w znacznym stopniu bez zatrudnienia, a wytwórczość jest daleko mniejsza niżby być mogła. W zaciekłej walce o rynki zbytu, wskutek wadliwego podziału dochodu społecznego ciągle zbyt wąskie, silniejsi kapitaliści pokonują i eliminują słabszych i kapitał koncentruje się. Z chwilą, gdy w poszczególnych gałęziach produkcji pozostanie już tylko nie wielu współzawodników, łączą się oni zazwyczaj w kartele lub trusty, by jako monopoliści eksploatować masy konsumentów i osiągać przy pomocy wygórowanych cen wysokie zyski. Lecz ta ostatnia ewolucja stanowi już właściwie przekreślenie zasad, na których kapitalizm opierał się w ciągu stu lat swego rozkwitu. Jak trafnie pisze Engels (Rozwój socjalizmu od

utopii do nauki, wyd. „Książka" Warszawa 1945 str. 41) „w trustach ...bezplanowa produkcja społeczeństwa kapitalistycznego kapituluje przed planową produkcją nadciągającego społeczeństwa socjalistycznego". W połączonych w monopolistyczne związki gałęziach produkcji planowanie wykracza poza ramy poszczególnych przedsiębiorstw i obejmuje już całość produkcji danego rodzaju dóbr, np. cukru, czy nafty. Rozwój ekonomiki prywatnej, a zwłaszcza teorii kosztów, ułatwia planowanie o tak szerokim zasięgu. Nie małą też rolę odgrywa w tej sprawie rozwój nowych metod księgowości i statystyki oraz konstruowanie coraz doskonalszych maszyn do liczenia. Wszakże i w tej końcowej fazie swego istnienia kapitalizm opiera się w dalszym ciągu na prawie podaży i popytu, stosunki bowiem między poszczególnymi gałęziami produkcji i przedsiębiorstwami kształtują się nadal w wyniku wolnej gry sił na rynku. Istnieje przy tym szereg ważnych dziedzin gospodarki, które nie wyszły poza zasięg indywidualnego planowania, jak np. rolnictwo, czy handel detaliczny. Toteż kapitalizm aż do swego końca wstrząsany jest co jakiś czas dreszczami kryzysów.

Podstawową cechą socjalistycznego planowania ekonomicznego zrealizowanego w Związku Radzieckim jest to, iż obejmuje ono całość gospodarstwa społecznego. Planowane są nie tylko zadania poszczególnych przedsiębiorstw i gałęzi produkcji, lecz także wzajemne stosunki między nimi. Splecione w jedną nierozerwalną całość stają się one dobrze dopasowanymi do siebie częściami składowymi jednego olbrzymiego koncernu gospodarczego, którym jest państwo socjalistyczne. Dopiero takie planowanie zapewnia stałe pełne zatrudnienie czynników produkcji, wyklucza kryzysy i gwarantuje przez to szybki rozwój sił wytwórczych kraju.

Należy zaznaczyć w tym miejscu z naciskiem, że w ekonomice Związku Radzieckiego obowiązuje prymat produkcji. Rozumuje się słusznie, że konsumpcja może być tym większą, im większą jest produkcja. Produkcja zaś może tym bardziej wzrość, im lepsze jest przy danych bogactwach przyrodniczych techniczne wyposażenie kraju. Zaczynając wskutek wielowiekowego zacofania i zniszczeń wojennych od bardzo niskiego poziomu techniki, Związek Radziecki podjął olbrzymie wysiłki, by dogonić i prześcignąć przodujące krainy świata. Zrealizowanie tego zamierzenia było możliwe tylko pod warunkiem dokonania gigantycznych inwestycji, te zaś wymagały olbrzymich wysiłków i ofiar całego narodu. Luksus został poświęcony na ołtarzu inwestycji. Za to obywatel radziecki stał się świadkiem niebywale szybkiego rozwoju przemysłu, właśnie w tym okresie, w którym świat kapitalistyczny wił się w kleszczach najcięższej depresji, w toku której w samych przodujących krajach kapitalizmu liczba bezrobotnych doszła do cyfry 30 milionów.

Lcz sukcesy gospodarki socjalistycznej nie były by możliwe przez samo tylko zastosowanie zasady prymatu produkcji. Do tego trzeba było jeszcze oszczędnego stosowania środków w każdej dziedzinie wytwarzania. Gdyby marnotrawiono środki produkcji, powierzając np. 10 ludziom do wykonania zadanie, które łatwo może wykonać 5-ciu, lub używając lokomotywy zdolnej uciągnąć 50 wagonów do poruszania 20 tylko, tempo rozwoju radzieckiej gospodarki byłoby daleko powolniejsze. Lecz jak zapewnić oszczędne stosowanie czynników produkcji w gospodarce, w której interes osobisty kierowników przedsiębiorstwa gra stosunkowo niewielką rolę? W systemie gospodarczym kapitalizmu oszczędność zostaje zrealizowana pod przemożnym naporem cen produktów z jednej, cen środków produkcji z drugiej strony. Dążący do maksymalnego zysku przedsiębiorca kapitalistyczny kombinuje

czynniki produkcji w taki sposób, by osiągnąć najniższe koszty wytwarzania. Planowa gospodarka socjalistyczna osiąga ten cel na innej drodze, a mianowicie przez normowanie pracy we wszystkich zatrudnieniach, premiowanie wydajności ponad normę oraz współzawodnictwo. Ponieważ praca posługuje się maszynami wykonując powierzone jej zadania, przeto wysoka wydajność pracy oznacza równocześnie wysoką wydajność maszyn, czyli oszczędne użycie obu tych czynników produkcji i niskie koszty wytwarzania. Tylko przy niskich kosztach można z danej masy środków wyciągnąć maksymalną ilość dóbr, stwarzając tym sposobem duży fundusz dochodu społecznego, z którego będą pokryte zarówno potrzeby konsumcyjne społeczeństwa, jak i dokonane nowe inwestycje, mające na celu dalsze powiększenie sił wytwórczych.

Zanim przejdę do omawiania struktury planu gospodarczego, pragnę poświęcić parę słów zagadnieniu normowania pracy. Bez niego planowanie radzieckie nie byłoby możliwe. Ponieważ wytwarza się niezliczoną ilość dóbr, a procesy wytwórcze składają się z całego szeregu różnych prac, przeto okazało się koniecznym opracować olbrzymią ilość norm. W pierwszych latach planowania było z tym sporo trudności. Z biegiem czasu jednak ilość prac unormowanych wzrosła do tego stopnia, że w przededniu wybuchu ostatniej wojny zajęcia nieunormowane były stosunkowo rzadkie. Normowaniem zajmują się w ramach przedsiębiorstw specjalne komisje, którym przewodniczy normista. Dokonują one starannych obserwacji przebiegu roboty ze stoperem w ręku i ustalają na tej podstawie, ile jednostek produktu można wykonać w jednostce czasu, np. w ciągu godziny. Sporządzony protokół zostaje wysłany przez dyrekcję przedsiębiorstwa za pośrednictwem zjednoczenia i centralnego zarządu do właściwego ministerstwa, które zatwierdza i ogłasza normę. Na tej drodze powstała cała literatura norm. Każda dziedzina produkcji ma swój własny kodeks norm.

Oczywiście istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że komisja normująca zrobi błąd w swych obserwacjach i że norma przyjęta będzie albo za łatwa, albo za trudna. Błąd ten nieraz z miejsca bywa usunięty, mianowicie wówczas, gdy ministerstwo otrzyma równocześnie wnioski z różnych przedsiębiorstw, które tę samą robotę rozmaicie normują. Jeśli to się nie stanie i niewłaściwa norma uzyska przypadkowo moc obowiązującą, wówczas pokaże się wnet, na czym błąd polega. Robotnicy będą osiągali albo za niskie albo za wysokie procenty wykonania i wówczas można będzie skorygować normę. Rewizje norm dokonywane są prawie co roku, a to dlatego, że technika wytwarzania ustawicznie się podnosi.

Planista sporządzający roczny plan gospodarczy swego przedsiębiorstwa jest więc uzbrojony w kodeks norm. Techniczne kierownictwo daje mu do ręki drugi ważny element jego pracy, a mianowicie dokładny opis procesu produkcji każdego dobra, które ma być wytwarzane. Opis ten nosi nazwę „faz robót". Dotyczy on z reguły jakiejś umownej jednostki produkcji np. 1000 sztuk dobra i podaje nie tylko wszystkie kolejne roboty, które muszą być dokonane, lecz także ilości potrzebnych surowców i materiałów pomocniczych, a dalej długość procesu wytwórczego i ewentualnie także czas, w którym ma on być dokonany, jeśli ma się on dostosować do określonych pór roku, jak się to np. dzieje w rolnictwie. Mając „fazy robót", planista stosuje do nich normy i oblicza, ile pracy 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 7 kategorii potrzeba mu do wytworzenia umownej jednostki produkcji. Podział pracy na 7 kategorii jest konieczny, gdyż niektóre zabiegi w procesie wytwórczym wykonują robotnicy

niekwalifikowani, otrzymujący najniższe stawki, inne znów wymagają wykwalifikowanego robotnika otrzymującego wyższą płacę.

Teraz sprawa postępuje o krok naprzód. Techniczne kierownictwo przedsiębiorstwa, z własnej inicjatywy, czy też na polecenie swego zjednoczenia ustala, ile jednostek dóbr każdego rodzaju ma być wytworzone w ciągu okresu objętego planem, np. w ciągu roku. Odnośne cyfry produkcji przekazane zostają planiście, który przystępuje do właściwej budowy planu. Majac już uprzednio obliczone ilości pracy różnych kategorii na 1000 jednostek dobra, otrzyma on ogólną ilość potrzebnej mu robocizny przez proste mnożenie. Wyznaczy też dokładnie ilości pracy, które mają być zatrudnione w poszczególnych miesiącach i dekadach. Mnożąc znów ilości robocizny przez właściwe każdej kategorii robotników stawki, otrzyma kwotę zarobków. Po doliczeniu do niej świadczeń socjalnych, które przedsiębiorstwo ponosi na rzecz swych robotników, dojdzie do ogólnej kwoty wydatków na robociznę, czyli funduszu płac. Mnożąc ilości surowców i materiałów pomocniczych potrzebne do wytworzenia umownej jednostki dobra przez cyfry planowanej produkcji, otrzyma ilości ogólne potrzebnych przedsiębiorstwu materiałów. Mnożąc te ilości przez odpowiednie ceny otrzyma koszty surowców. Dodając je do kosztów robocizny dojdzie do sumy kosztów zmiennych. Teraz z kolei zacznie on rozdzielać koszty stałe między poszcególne produkty wytwarzane w predsiębiorstwie w proporcji do sumy kosztów zmiennych, obciążających każdy produkt. W ten sposób rozbite zostaną koszty administracji, transportu, amortyzacji budynków, maszyn, narzędzi itp. oraz koszty sprzedaży wytworów. Po dodaniu tych pozycji do sumy kosztów zmiennych planista dochodzi do sumy kosztów całkowitych, obciążających każde z dóbr wytwarzanych w jego przedsiębiorstwie. Dzieląc przypadającą na każdy rodzaj dóbr sumę kosztów całkowitych przez zaplanowaną ilość jednostek, które mają być wytworzone, otrzyma koszt własny jednostki produktu. Do tego kosztu ma on teraz prawo dodać taki procent zysku, jaki dla danego przedsiębiorstwa jest dozwolony przez naczelne organy planujące, oraz nałożoną na przedsiębiorstwo stawkę podatku obrotowego. Po dodaniu obu tych ostatnio wymienionych pozycji otrzymuje on cenę jednostkową, po której towar ma być sprzedawany. Cena skalkulowana w ten sposób gwarantuje najczęściej opłacalność przedsiębiorstwa, pod warunkiem, że rynek zbytu jest gotów przyjąć po tej cenie całą ofiarowaną ilość produktów. Wszystkie ceny podlegają zatwierdzeniu nadrzędnych organów planujących. Ustalanie przez nie wysokości dopuszczalnego zysku oraz stawek podatku obrotowego stanowi w ich ręku bardzo skuteczne narzędzie polityki cen. Niektóre produkty mogą mieć ceny znacznie odbiegające in plus od kosztów produkcji, podczas gdy równocześnie inną mogą być sprzedawane z deficytem, jeśli naczelne organy planujące uznają, że leży to w interesie społecznym.

W ten sposób zbudowany plan, oparty w swej strukturze na ostatnich osiągnięciach teorii kosztów produkcji, zawiera wielkie bogactwo informacji zarówno dla kierownictwa przedsiębiorstwa, jak i dla organów kontrolujących jego działalność.

Plany poszczególnych przedsiębiorstw odchodzą do zjednoczeń, które je sprawdzają i na ich podstawie sporządzają swe plany sumaryczne. Potem cały materiał odchodzi do centralnego zarządu danej gałęzi produkcji, gdzie znów służy za podstawę jej sumarycznego planu. Stąd dostaje się do właściwego Ministerstwa, które sporządza na jego bazie swój plan sumaryczny. Teraz wszystkie Ministerstwa składają swe plany w Centralnym Urzędzie Planowania (Gospłan), gdzie zostają one

poddane analizie i krytycznej ocenie. Opierając się na danych statystycznych oraz na cyfrach samychże planów poszczególnych resortów, Centralny Urząd Planowania rozważa, czy przedłożone mu plany są realne. Oto np. ze statystyki ludnościowej wynika, że państwo dysponuje 100 milionami pracujących. Tymczasem wszystkie razem plany postulują 150 milionów robotników. Mogą one być realne tylok pod warunkiem, że robotnicy wykonują przeciętnie 150% normy. Żeśli doświadczenie minionych lat dowodzi, że wykonanie przeciętne jest niższe, plany są nierealne i muszą zostać zredukowane.

Konieczność redukcji może wynikać także z powodu zbyt wielkich postulatów materiałowych, zwłaszcza w dziedzinie podstawowych surowców. Np. wszystkie razem resorty gospodarcze żądają 30 milionów ton stali, gdy tymczasem plan przemysłu hutniczego zapowiada podaż tylko 25 milionów ton. Redukcja planów nie jest mechanicznie proporcjonalna. Cięcia dotyczą głównie tych dziedzin, które z ogólno-państwowego punktu widzenia uważa się za mniej ważne. W gospodarce Związku Radzieckiego panuje wyraźna hierarchia potrzeb. Żelazo uważane jest za ważniejsze niż piwo, bez żelaza bowiem nie można szybko rozwijać sił produkcyjnych kraju. Przy sprawdzaniu planów przez Centralny Urząd Planowania może się oczywiście także okazać, że plan tego czy innego resortu jest za szczupły w porównaniu z potrzebami społeczeństwa. Wówczas zostaje on powiększony, przy czym do odnośnego działu wytwórczosci zostają skierowane rezerwy środków produkcji będące do dyspozycji naczelnych organów planowania. Gdyby rezerwy te były już rozdysponowane, może się zdarzyć, że plany niektórych resortów zostaną pomniejszone, w celu zwolnienia pewnego kwantum środków produkcji, potrzebnych dla resortu, którego rozbudowa jest w danym momencie palącą potrzebą. Rozumie się, że Centralny Urząd Planowania przeprowadzając korektury przedłożonych mu planów poszczególnych ministerstw nie działa na własną rękę, lecz wprowadza tylko w życie dyrektywy swego organu nadrzędnego, którym jest Rada Ministrów. Skorygowany i uzgodniony plan idzie pod jej obrady, a gdy uzyska aprobatę, przedłożony zostaje Radzie Najwyższej Związku Radzieckiego, która go uchwala jako swoją ustawę zgodnie z artykułami 14, 31 i 32 konstytucji. Potem plan zostaje oddany do wykonania ministerstwom, które rozdzielają ciążące na nich zadania między podległe sobie centralne zarządy. Te powierzają je z kolei zjednoczeniom, które znów wyznaczają zadania należącym do nich przedsiębiorstwom. Cały ten podział zadań od góry aż do dołu odbywa się na podstawie przedłożonych przez podwładne placówki gospodarcze planów tak że nikt nie jest zaskoczony przez nałożone nań ostatecznie zadania, nawet jeśli odbiegają one nieco od jego własnych propozycji.

Tyle o pionowej organizacji planowania. Oprócz niej istnieje także organizacja pozioma. Rejony, odpowiadające naszym powiatom, obłasti, odpowiadające naszym województwom, autonomiczne obwody i republiki związkowe posiadają swe terytorialne komisje planowania, które na swym terenie koordynują w podobny sposób planowanie wszystkich resortów, jak to czyni Centralny Urząd Planowania (Gosplan) w skali ogólnopaństwowej. Związek Radziecki stara się unikać nadmiernego centralizmu. Zależy mu na tym, by wszystkie wchodzące w jego skład terytoria rozwinęły się możliwie najbardziej wszechstronnie i harminijnie, tworząc jednostki ekonomiczne o tak dalece posuniętej samowystarczalności, jak to się tylko da pogodzić z ogólnopaństwową koniecznością podziału pracy i wytwarzania określonych

dóbr tam, gdzie są po temu sprzyjające warunki. Samowystarczalność regionalna zapobiega w dużym stopniu nadmiernemu przeciążeniu środków transportowych, których zadania w olbrzymim państwie rozwijającym szybko swą gospodarkę są kolosalne. Ma ona też duże znaczenie na wypadek wojny, utrudniając wrogowi atakowanie podstaw potęgi militarnej Związku Radzieckiego, które będąc stosunkowo równomiernie rozsiane po całym obszarze państwa są niełatwe do zniszczenia.

Gdy zatwierdzony plan znalazł się w przedsiębiorstwie, zaczyna się jego wykonanie. W czasie jego trwania rachmistrze dzień po dniu pisać będą drobiazgowe raporty o postępie prac, zużyciu materiałów i wydatkach pieniężnych, stanowiące podstawę księgowości i kontroli planu. Opierając się na nich buchalteria robić będzie miesięczne i roczne bilanse, a planista napisze co 10 dni sprawozdanie do nadrzędnej organizacji, podając, co na tych 10 dni planowano a co wykonano, jakie jest wykonanie od po czątku roku, ilu pracowników fizycznych i umysłowych miało być zatrudnionych a ilu się faktycznie zatrudnia, jakie były przewidziane ich zarobki a ile rzeczywiście zarabiają itp. Oczywiście planista ma niełatwe zadanie. Musi on rozwinąć całą swą pomysłowość i energię, by objąć swą konrolą wszystkie procesy wytwórcze przedsiębiorstwa i trzymać stale rękę na ich pulsie. Jest to praca bardzo odpowiedzialna ale i bardzo wdzięczna. Powodzenie każdego przedsiębiorstwa radzieckiego zależy w wysokim stopniu od trzech ludzi: dyrektora, naczelnego buchaltera i naczelnego planisty. Bardzo wiele zależy od ich ambicji pracowitości i zdolności. Ale jeszcze większe znaczenie ma postawa całej załogi przedsiębiorstwa. Kształtuje się ona pod wpływem dwu silnych impulsów. Pierwszym jest współzawodnictwo socjalistyczne, drugim ruch stachanowski. Przedsiębiorstwa zawierają z przedsiębiorstwami umowy w przedmiocie współzawodnictwa o lepsze wykonanie planu, będące potężnym bodźcem do wysiłku wszystkich pracowników, którzy przebywając z reguły przez długi czas w tym samym zakładzie pracy, wykazują dużą zespołową ambicję. Zwycięskie załogi otrzymują przechodnie sztandary lub inne honorowe wyróżnienia. Poszczególni robotnicy dokładają starań, by osiągnąć jak najwyższy procent wykonania normy. Jeśli wysiłki ich uwieńczone zostaną powodzeniem, osiągną oni nie tylko wyższe od przeciętnych zarobki, lecz także będą zaszczytnie wyróżnieni na każdym kroku. Poważanie, jakim dobry, wydajny robotnik cieszy się w Związku Radzieckim, jest może silniejszą jeszcze podnietą do pilnej pracy niż chęć zdobycia wyższego zarobku. Dobry robotnik ma przy tym otwartą drogę do awansu społecznego. Wielu dyrektorów przedsiębiorstw, to dawni robotnicy, którzy wykazali swe nieprzeciętne zdolności kierownicze.

Wielkie znaczenie dla pomyślnego wykonania planu posiada dokładne zaznajomienie z nim ogółu pracowników. Odbywa się to na tzw. „technicznych naradach", na których różne problemy planu są dyskutowane w atmosferze absolutnej szczerości. Hasło krytyki i samokrytyki zostaje na tych naradach w całej pełni zrealizowane. Dyrektorowie krytykują swych podwładnych, ale i sami są przez nich nawzajem krytykowani.

Nie można się więc dziwić, że przy tym napięciu woli roczny plan gospodarczy zostaje najczęściej przekroczony. Deficyt pracy, nieunikniony wobec dobrowolnego wzięcia na siebie zadań dodatkowych, zostaje wyrównany przez zwiększenie wydajności, deficyt surowców przez zwiększenie ich produkcji. Bez ustawicznego mierzenia osiągnięć przedsiębiorstwa na skali planu, sukcesy te byłyby niemożliwe. Ale i wówczas, gdy z powodu działania siły wyższej, np. klęsk elementarnych w rol-

nictwie, osiągnięcia faktyczne są mniejsze od zamierzonych, istnienie planu jest dobroczynne, gdyż stanowi on dla kierowniczego aktywu przedsiębiorstw nieocenione źródło informacji, prawdziwą busolę, przy pomocy której można zawsze trafić na właściwą drogę. Wykonanie planu podlega potrójnej kontroli, którą sprawują nadrzędne organy planujące, Bank Państwowy i władze skarbowe.

Objęcie całego życia gospodarczego w Związku Radzieckim planowaniem, buchalterią i statystyką stanowi obok uspołecznienia środków produkcji bardzo doniosłe novum ustrojowe socjalizmu. W systemie tym najważniejsze zadania wytwórcze znajdują zawsze potrzebne środki w ilościach wystarczających. Przemawiając na XVI Zjeździe WKP(b) w dniu 27 czerwca 1930 r. Stalin powiedział, że „socjalistyczna organizacja produkcji otwiera takie możliwości przyśpieszenia tempa rozwoju gospodarczego, o jakim nie może marzyć ani jeden kraj kapitalistyczny". Słowa te sprawdziły się. Na oczach naszych w ciągu nie wielu lat Związek Radziecki przekształcił się z zacofanego, zniszczonego przez wojnę zewnętrzną i wewnętrzną kraju rolniczego w wielką potęgę przemysłową, szybko w dalszym ciągu kroczącą naprzód. Nasz przedwojenny „Mały Rocznik Statystyczny" nie był na pewno propagandowym wydawnictwem komunistycznym. Tymczasem w wydaniu za r. 1939 czytamy na str. 146, że wskaźniki produkcji przemysłowej wynosiły w porównaniu z produkcją 1928 roku, przyjętą za 100 w Związku Radzieckim 591, w Anglii 123, w Niemczech 128, w Polsce 119, we Francji 82, w Stanach Zjednoczonych zaś tylko 77. Cyfry te są dowodem, że pod względem szybkości rozwoju gospodarczego Związek Radziecki przewyższył wszystkie bez wyjątku kraje kapitalistyczne. Oto zwycięstwo gospodarki planowej nad bezplanową. Przedsięwzięcie uwieńczonej takim powodzeniem próby przeplanowania całości życia gospodarczego wielomilionowej społeczności ludzkiej jest zapewne największym wyczynem ducha ludzkiego w naszym stuleciu, wyczynem skierowanym nie na niszczenie, ale na budowanie dla dobra najszerszych mas.

Lesław Adam (Wrocław)

GOSPODARKA SKARBOWA ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

Przez gospodarstwo skarbowe rozumiemy urządzenia mające na celu gromadzenie i wydatkowanie pieniędzy przez związek publiczno-prawny.

Związkiem publiczno-prawnym jest każdy związek przymusowy ludzi, połączonych dla osiągania pewnych wspólnych celów, z państwem na czele.

Gospodarstwo skarbowe znajduje się w ruchu, ma charakter dynamiczny. Zachodzą w nim ciągłe procesy, których całokształt nazywamy gospodarką skarbową.

Wychodząc z tych założeń widzimy jasno, że w każdej gospodarce skarbowej w szczególności w interesującej nas gospodarce skarbowej Związku Radzieckiego występują rozmaite elementy a to: gospodarcze (gospodarowanie pieniądzem), społeczne (związki osób) i polityczne.

Te elementy rodzajowe wpływają na poszczególne urządzenia skarbowe, układając je razem w pewną organiczną całość zwaną systemem skarbowym. Przez system skarbowy państwa rozumiemy więc ogół urządzeń państwa dotyczących planowania oraz dokonywania operacyj pieniężnych, zarówno przychodowych jak i rozchodowych, gotówkowych i kredytowych.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia problem terminologiczny. Przymiotnikowi „skarbowy" odpowiada w innych językach współczesnych przymiotnik „finansowy", czasem z dalszym dodatkiem (publiczny).

W języku rosyjskim na określenie gospodarki pieniężnej w ogóle a gospodarki pieniężnej państwa w szczególności, używa się właśnie terminów: finanse, finansowy. Dlatego w języku rosyjskim mówi się o gospodarce finansowej czy systemie finansowym.

System skarbowy państwa jest w jego ręku pewnym narzędziem, pewnym instrumentem, dla spełniania określonych zadań.

Teoretycy marksizmu określili dokładnie zadanie państwa, którym jest popieranie panującej formy produkcji w interesie warstw rządzących. Mężowie stanu, teoretycy i praktycy nauk społeczno-ekonomicznych doceniali i doceniają znaczenie gospodarki skarbowej we wszystkich okresach historycznych. Teoretyk państwa z XVI wieku Bodinus nazwał zagadnienia skarbowe, finanse „nerwami państwa". Teoretyk państwa socjalistycznego Marszałek Stalin powiedział, że „racjonalna organizacja kredytu i prawidłowe manewrowanie rezerwami pieniężnymi mają zasadnicze znaczenie dla rozwoju gospodarstwa narodowego".

Zainteresowanie gospodarką skarbową Związku Radzieckiego jest dwojakie. Po pierwsze, do okresu powstania Związku Radzieckiego w dotychczasowych gospodarstwach skarbowych spotykaliśmy się zasadniczo z podłożem społeczno-gospodarczym opartym przeważnie na własności prywatnej, cała gospodarka skarbowa opierała się na systemie podatkowym.

Z chwilą powstania Związku radzieckiego powstała własność kolektywna, która zrodziła socjalistyczny system skarbowy.

Po drugie: zainteresowanie gospodarką skarbową Związku Radzieckiego ma dla nas jeszcze inny praktyczny wydźwięk.

Bliskie stosunki sąsiedzkie łączą nas ze Związkiem Radzieckim szeregiem wzajemnych węzłów, z ludźmi tego państwa zetknęliśmy się bliżej w okresie ostatniej wojny, dlatego chcemy wiedzieć w jaki sposób Oni gospodarują, jak zebrano środki potrzebne do przeprowadzenia gigantycznych zadań gospodarczych czy innych.

Chcąc poznać system skarbowy Związku Radzieckiego musimy zaznajomić się z jego podłożem, określonym konstytucją stalinowską z 1936 r. Na system ekonomiczny Związku Radzieckiego składają się, powiązane ze sobą planowo poszczególne przedmioty gospodarujące.

Między systemem ekonomicznym a finansowym istnieją silne związki wzajemne. System ekonomiczny, jest z jednej strony tą bazą, z której system skarbowy czerpie potrzebne mu środki, z drugiej strony jest on zarazem tym podstawowym urządzeniem społecznym, któremu system skarbowy służy.

Głównym punktem zetknięcia się obu systemów jest gromadzenie zasobów gospodarki narodowej w pieniądzu, który jest reprezentantem dóbr ekonomicznych. Podstawami radzieckiego systemu ekonomicznego są gospodarka socjalistyczna oraz własność socjalistyczna.

Socjalistyczna gospodarka polega zasadniczo na kierowaniu całym gospodarstwem narodowym przez państwo przy pomocy planów gospodarczych. Integralną częścią narodowego planu gospodarczego jest plan ogólny dyspozycji pieniądzem, zwany planem finansowym.

Planowanie skarbowe jest integralną częścią każdej gospodarki skarbowej czego wyrazem jest pierwotny plan tej gospodarki czyli budżet. Finansowe planowanie w Związku Radzieckim ze względu na charakter państwa jako przedsiębiorcy zostało inaczej niż w innych państwach ujęte. W skład radzieckiego systemu skarbowego wchodzą: budżet całego Związku, planowa organizacja kredytu i obiegu pieniądza gotówkowego reprezentowana przez Bank Państwa, planowa gospodarka pieniężna przedsiębiorstw państwowych reprezentowana przez szereg przedsiębiorstw państwowych i ich nadrzędnych organizacyj, zasoby pieniężne ubezpieczeń społecznych czy też odcinka gospodarki spółdzielni i kołchozów.

Te poszczególne człony są ze sobą wzajemnie powiązane.

Budżet czerpie zasoby pieniężne z przedsiębiorstw państwowych, spółdzielczo-kołchoźniczych czy też z ubezpieczeń społecznych a finansuje gospodarkę narodową w przedsiębiorstwach państwowych czy spółdzielczo-kołchoźniczych.

Cechą własności socjalistycznej jest skupienie podstawowych narzędzi i środków produkcji w rękach jednostek zbiorowych, celem usunięcia wyzysku człowieka przez człowieka. Własność socjalistyczna dzieli się z kolei na własność państwową i własność spółdzielczo-kołchoźniczą.

Rezultaty gospodarki przedsiębiorstw państwowych wyrażają się w pieniądzach, jednakże do systemu skarbowego przechodzi tylko ta ich część, która zgodnie z planem, nie pozostaje do dyspozycji danej gałęzi gospodarczej np. przemysłu chemicznego i nie tworzy podstawy samodzielnej działalności gospodarczej przedsiębiorstw np. wymienionego przemysłu.

Zatem do systemu skarbowego w szczególności do budżetu przechodzi tylko ta część zasobów pieniężnych, która przeznaczona jest do dalszego rozdziału.

W czym wyraża się nagromadzenie pieniędzy przez przedsiębiorstwa państwowe? Powstaje ono z różnicy między wartością wyprodukowanych dóbr i usług a kosztem własnym ich wytworzenia. Mieści się ta właśnie różnica w cenie towarów czy usług, wytwarzanych przez przedsiębiorstwa państwowe.

W tych warunkach, system skarbowy w stałym procesie gromadzenia czyli akumulacji zasobów pieniężnych na cele ogólne, odgrywa rolę, jak się wyraził jeden z uczonych radzieckich, wieży obserwacyjnej, z której można doskonale dostrzec niedociągnięcia w procesie wytwórczym.

Każda obniżka kosztów własnych w tak olbrzymim przedsiębiorstwie, jakim jest państwo, daje wzrost zasobów pieniężnych na cele ogólne, dlatego też system skarbowy musi korygować ujawnione braki w produkcji i wymianie przy pomocy metod skarbowych.

Zasadniczym źródłem dochodów skarbowych są wyrażone w cenach dochody przedsiębiorstw państwowych.

Przedsiębiorstwa spółdzielczo-kołchozowe stanowią bazę rozległej pod względem rozmiarów produkcji. Dochody tych przedsiębiorstw należą do zrzeszeń pracowniczych i są rozdzielane między członków tych zrzeszeń zgodnie z ich statutami.

Obok tych podmiotów gospodarujących, opartych na własności socjalistycznej istnieją też podmioty oparte na własności indywidualnej, w szczególności drobne gospodarstwa produkcyjne i kospodarstwa konsumpcyjne.

Każda kołchoźnicza rodzina posiada własny dom a przy nim tzw. działkę przyzagrodową, na której prowadzi pomocnicze gospodarstwo. Obok tych gospodarstw, włączonych w system kołchozowy, istnieją także pojedyncze gospodarstwa wytwórcze na wsi, uwarunkowane zakazem wykorzystywania cudzej pracy. Należą do nich gospodarstwa nieskolektywizowanych chłopów, rzemieślników i chałupników na wsi oraz podobne gospodarstwa (sady, ogrody) w miastach. Ostatnim rodzajem podmiotów gospodarujących są gospodarstwa konsumpcyjne przeważnie osób korzystających z pracy najemnej i samodzielnych zawodów.

Te wszystkie cztery rodzaje podmiotów gospodarczych włączone są w system skarbowy, w szczególności w budżet, przy pomocy rozmaitych podatków.
Społeczny charakter Związku Radzieckiego polega na tym, że jest on socjalistycznym państwem klasy pracującej.

Praca jest obowiązkiem i sprawą honoru jego obywateli, ona też stanowi tytuł do korzystania z dobrodziejstw socjalizmu.

Element społeczny łączy się ściśle z elementem politycznym.

Cała władza należy do ludu pracującego, który działa przez swoje organy. Polityczna organizacja Związku Radzieckiego wyraża się w tym, że jest on federacją, czyli państwem związkowym, składającym się z 16-tu republik. Ta zasada federacyjna wpływa wybitnie na system skarbowy. Występuje ona zarówno w tworzeniu dochodów jak i w podziale wydatków.

Istnieją więc w Związku Radzieckim trzy sfery skarbowe a mianowicie: państwa związkowego, poszczególnych republik czy państw związkowych a w ramach tych ostatnich, poszczególnych okręgów terytorialnych, najniższych. Dopiero po naszkicowaniu złożonego ze wspomnianych elementów rodzajowych podłoża można przystąpić do omówienia poszczególnych działów gospodarki skarbowej zarówno

ze względu na ich treść — dochody i wydatki, jak i ze względu na ich kształt organizacyjny — budżet i zarząd skarbowy.

W obrębie dochodów, na plan pierwszy wysuwają się podatki. Spełniają one rolę nie tylko środka gromadzenia dochodów budżetowych, ale także narzędzia polityki ekonomicznej.

Największe znaczenie między podatkami odgrywa podatek obrotowy, wliczany do ceny. W okresie pierwszej pięciolatki stanowił on 61%, a obecnie wynosi nawet więcej w stosunku do wszystkich dochodów budżetowych.

Podatek ten, silnie zróżniczkowany stawkami zależnie od rodzaju i znaczenia gospodarczego przedsiębiorstwa wytwórczego, jest regulatorem cen, wytwarzanych przez państwo czy spółdzielnie towarów. Przedsiębiorstwa państwowe odprowadzają nadto do budżetu tzw. odliczenia od dochodów, które są pewną formą specjalną podatku dochodowego.

Należy podkreślić wyraźnie, odnośnie państwowych przedsiębiorstw handlowych, że nie płacą one podatku obrotowego, ponieważ został on już uiszczony przez przedsiębiorstwa, produkujące towary, którymi one handlują, natomiast odliczenia od dochodów powstają w tych przedsiębiorstwach z części różnicy między ceną detaliczną a hurtową.

Przedsiębiorstwa spółdzielczo-kołchozowe płacą podatek dochodowy, silnie zróżniczkowany odnośnie spółdzielni, prostszy w odniesieniu do kołchozów.

Podatek dochodowy od kołchozów pobierany jest wedle dwóch stawek. Stawka wyższa, przypada od tej części dochodu, która rozdzielana jest między członków kołchozów lub sprzedawana na wolnym rynku. Stawka niższa przypada od innych dochodów w szczególności także od dochodów pochodzących ze sprzedaży produktów kołchozowych w ramach skupu państwowego. Podatek dotyczący sektora uspołecznionego zmienia swą rolę. Ponieważ podmioty podlegające temu podatkowi stanowią własność socjalistyczną, zachowuje on tylko rolę indywidualizowania poszczególnych nadwyżek gospodarczych, tracąc znaczenie środka gromadzenia zasobów dla państwa od odrębnych odeń podmiotów gospodarujących.

Drugi podział podatków dotyczy obciążenia podmiotów własności niesocjalistycznej. Podatki te nazywane są także podatkami od ludności.

Do ważniejszych podatków w tym dziale należą podatek od gospodarstw rolnych oraz podatek dochodowy.

Podatek od gospodarstw rolnych jest elementarną formą podatku dochodowego, płaconego od przychodów osiąganych po wsiach. Płacą go kołchoźnicy, chłopi prowadzący indywidualne gospodarstwa oraz inni obywatele żyjący na wsi i prowadzący pomocnicze gospodarstwa rolne. Dla poszczególnych republik i okręgów terytorialnych ustala się średnio normy dochodowości różnych rodzajów upraw rolniczych i hodowlanych. Z ogólnej sumy dochodów każdego gospodarstwa rolnego pobiera się podatek wedle określonej progresji.

Istnieje nadto druga dyferencjacja. Normalne stawki płacą osoby włączone w system kołchozowy, czyli kołchoźnicy i osoby prowadzące gospodarstwa, których rozmiary nie przewyższają rozmiarów gospodarstw kołchoźniczych. Natomiast wszelkie pozostałe gospodarstwa o rozmiarach większych niż gospodarstwa kołchoźnicze płacą podatek w podwójnej wysokości. Istnieje w zakresie tego podatku

szereg indywidualnych ulg podatkowych, np. dla bohaterów pracy, inwalidów wojennych i inne.

Osobisty dochód obywateli pochodzi zasadniczo z pracy, przeważnie z pracy robotników i urzędników oraz przedstawicieli wolnych zawodów, właścicieli drobnych gospodarstw rolnych w miastach (jak ogrody i sady).

Dochody takie są opodatkowane zróżniczkowanym zależnie od rodzaju pracy progresywnym podatkiem dochodowym.

Tutaj istnieją wyznaczone granice opodatkowania tzw. minimum egzystencji oraz szereg zwolnień specjalnych.

Zdawać by się mogło, że w państwie socjalistycznym podatek od płacy zarobkowej jest zbyteczny, że możnaby ustalić poziom płac mechanicznie, przez proste odliczenie podatku od sumy płac.

Faktycznie jednak tak nie jest i być nie może, gdyż wysokość indywidualnej płacy zależy od energii i zdolności pracownika.

Podatek spełnia więc i tutaj swą indywidualizacyjną rolę, realizując wytyczną polityki płac, ujętą w zasadzie konstytucyjnej „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy". Poza wymienionymi istnieje jeszcze w Związku Radzieckim parę podatków o charakterze uzupełniającym oraz szereg opłat skarbowych, pobieranych za czynności organów państwowych.

Udział indywidualnych dochodów w zasilaniu systemu skarbowego nie ogranicza się tylko do podatków i opłat, zwanych daninami publicznymi. Polega on także na pożyczkach udzielanych państwu przez obywateli. Pieniężne wyniki pożyczek wewnętrznych są nawet większe od wpływów z danin publicznych.

Wszystkie radzieckie pożyczki państwowe są pożyczkami planowymi, tzn. przewidziane są one w ogólnym planie gospodarczym, opartym na całym systemie bilansów materiałowych i pieniężnych, a więc także na bilansie dochodów i wydatków ludności. Pożyczki zaciągane u ludności, stanowią akt rozdziału dochodu narodowego a z drugiej strony, są bardzo skutecznym narzędziem szerokiej organizacji oszczędności społecznych.

Pożyczki państwowe, przybierając charakter masowy udziału drobnych ciułaczy w gromadzeniu środków na potrzeby gospodarki narodowej, przekształcają się w demonstrację patriotyzmu szerokich mas, co występuje dobitnie zwłaszcza w okresach przełomowych dla państwa, np. masowe pożyczki w okresie ostatniej wojny.

Przy rozpatrywaniu wydatków skarbowych należy wziąść pod uwagę obok ich podziału rzeczowego, także podział polityczny, między wspomniane sfery skarbowe, oparte na zasadzie federacyjnej.

W okresie trzeciej pięciolatki wydatki na gospodarstwo narodowe przekraczały jedną trzecią ogółu wydatków, w budżecie na 1947 r. wydatki te osiągnęły całkowicie poziom przedwojenny (czyli z okresu trzeciej pięciolatki) a obecnie w 1948 r. poziom ten przewyższyły.

Na drugim miejscu w budżetach pokojowych stoją wydatki na cele społeczno-kulturalne. W okresie trzeciej pięciolatki osiągały one około 20%, w 1947 r. (29%) i obecnie dochodzą do jednej trzeciej ogółu wydatków. Wydatki na obronę kraju w okresie trzeciej pięciolatki wynosiły około jednej czwartej wydatków, w budże-

ciena 1947 r. dochodzą zaledwie do jednej piątej, co jest wryazem pokojowej polityki Związku Radzieckiego.

Podział wydatków pomiędzy poszczególne sfery skarbowe wykazuje popieranie okręgów gospodarczych bardziej zacofanych, republik czy niższych członów. W wydatkach republik na plan pierwszy wysuwają się wydatki na cele kulturalno-społeczne, przeciętnie dwie trzecie części; potem dopiero idą wydatki na gospodarkę narodową, szczególnie na przemysł lekki i spożywczy oraz na inne cele.

Strukturę wydatków państwowych ilustrują najlepiej osiągnięcia Związku Radzieckiego na polu gospodarczym, społecznym i politycznym. Do najważniejszych osiągnięć w zakresie gospodarczym należy jak wiemy przeprowadzenie kolosalnego zadania uprzemysłowienia kraju.

Przed pierwszą pięciolatką wydatki na inwestycje wyniosły 26,5 miliardów rubli, w okresie pierwszej pięciolatki około 60 miliardów, w okresie drugiej pięciolatki już 114.7 miliardów a na okres trzeciej pięciolatki, przerwany wojną, wydatki na inwestycje planowano w wysokości 192 miliardów rubli. Wydatki na cele społeczno-kulturalne jak wspomniano zajmują drugie miejsce w podziale rzeczowym Związku jako takiego. Wyrażona w ten sposób tendencja udostępnienia zdobyczy na tym polu została utrzymana także i w okresie ostatniej wojny.

Rozwiązane problemy z tego zakresu wykazują ich ciężar gatunkowy. Należą tutaj problem powszechnego nauczania w języku ojczystym na terenie całego związku, ogólny wzrost sieci szkolnictwa, popularyzacja wiedzy, popieranie nauki, likwidacja bezrobocia oraz szeroka opieka społeczna i sanitarna.

Znaczenie nakładów na upowszechnienie literatury narodowej ilustruje fakt, że np. dzieła Puszkina zostały przetłumaczone na wszystkie języki i narzecza narodów Związku Radzieckiego.

Wreszcie ostatnim przykałdem wyników, osiąganych przy pomocy systemu skarbowego są wydatki na sfinansowanie zwycięskiej wojny wyzwoleńczej. Do końca 1930 r. czynnik geograficzny wyłącznie określał wysokość wydatków na obronę kraju. Już sama długość granicy państwa — 65.000 km — o przewadze granic politycznych nad naturalnymi wskazuje wysokość kosztów obrony. Wybuch wojny europejskiej 1939 r. spowodował także Związek Radziecki do podwyższenia wydatków na obronę kraju. W budżetach lat wojennych wydatki na cele wojny wahały się od 60% w latach 1942 i 1943 do 44,5% w 1945 r.

Elastyczność systemu skarbowego i jego wydajność przyczyniły się do rozwiązania tego zadania. Nawiasowo należy zaznaczyć, że wojna zmieniła czasowo także strukturę dochodów skarbowych, jednakże w sposób mniejszy od zmiany struktury wydatków.

Budżet Związku Radzieckiego wykazuje pewne specjalne cechy, odmienne od budżetów innych państw, tak jak odmienną jest struktura dochodów i wydatków Związku Radzieckiego.

Pierwszą cechą charakterystyczną budżetu państwowego jest jego jednolitość. Polega ona na tym, że budżet państwowy swym uogólniającym bilansem obejmuje zarówno budżet państwa związkowego jak i budżety wszystkich republik związkowych i tzw. budżety lokalne.

Można właściwie mówić o całym systemie budżetów. Strona gospodarcza budżetu państwowego występuje na plan pierwszy głównie skutkiem tego że zawiera

on ogromną sumę nagromadzeń środków pieniężnych ze wszystkich działów gospodarki narodowej. Zgodnie z konsiytucją związkową państwowy czyli ogólny budżet Związku jest corocznie zatwierdzany przez Parlament, zwany Radą Najwyższą Związku. Składa się on z części związkowej, w której wymienione są wszystkie szczegółowe pozycje przychodów i rozchodów oraz z części dotyczących każdej republiki i okręgów lokalnych.

Części dotyczące poszczególnych członów federacyjnych i lokalnych wchodzą do budżetu ogólnego pozycjami zbiorowymi dla każdego szczegółowego budżetu oddzielnie, np. dla republiki rosyjskiej czy białoruskiej.

Cechą drugą budżetu ogólnego jest uwzględnienie właśnie zasady federacyjnej. Na podstawie części ogólnego budżetu, dotyczących poszczególnych republik, Rady Najwyższe tych republik ustalają szczegółowo swoje budżety i określają ogólnie kwoty budżetów lokalnych. W tych znowu ramach, Rady lokalne ustalają budżety miejscowe w sposób szczegółowy.

A zatem istnieje giętki podział dochodów, realizowany dzięki temu, że niektóre źródła dochodów podzielone są pomiędzy poszczególne sfery skarbowe, z drugiej zaś strony dochody państwa związkowego jako takiego, rozdzielane są pomiędzy pozostałe sfery skarbowe. Idzie więc o zapewnienie dostatecznej ilości środków pieniężnych dla wszystkich odcinków życia państwowego, zarówno w przekroju branżowym jak i terytorialnym.

Wreszcie trzecią cechą systemu budżetów państwowych jest udział organów wybieralnych, powołanych na podstawie powszechnego prawa wyborczego w uchwalaniu budżetu. Udział ten jest wyrazem zasady demokracji, a występuje w systemie skarbowym radzieckim we formie zidentyfikowania zarządu ogólnego z zarządem lokalnym. Organami tymi są Rady ludu pracującego, począwszy od Rady Najwyższej Związku poprzez Rady Najwyższe Republik Związkowych i Republik Autonomicznych do Rad lokalnych.

Ostatnim zagadnieniem wybranym, jest kwestia aparatu skarbowego w najszerszym tego słowa znaczeni.

Ogólny zarząd skarbowy koncentruje się w Radzie Ministrów Związku. Aparatami specjalnymi są: Ministerstwo Skarbu Związku zwane Ministerstwem Finansów oraz Bank Państwowy. Zadaniem Ministerstwa Skarbu Związku jest wykonywanie związkowej części budzetu państwowego, jest ono zarazem organem kierowniczym i kontrolującym odnośnie wykonania całego budżetu, a więc także budżetów poszczególnych republik i okręgów miejscowych.

Nadto zarząd administracyjny środkami pieniężnymi należy centralnie rzecz biorąc, do szeregu instytucyj podległych Ministerstwu Skarbu Związku a zorganizowanych na zasadzie bankowej jak Bank Przemysłowy, Bank gospodarki rolnej, Bank Handlowy, Bank gospodarstwa komunalnego. Systemem skarbowym republik związkowych kierują Rady Ministrów tych republik z aparatem specjalnym, Ministerstwem Skarbu czyli Ministerstwem Finansów, poszczególnych republik na czele.

Należy podkreślić, że państwo związkowe nie posiada własnego aparatu poborowego odnośnie danin publicznych, podatków i opłat, posługując się w tej mierze organami republikańskimi a także organami rad miejscowych. Obok Związkowego Ministerstwa Finansów, drugim aparatem specjalnym o charakterze organu

centralnego jest Bank Państwa z Prezesem na czele, który wchodzi w skład Rady Ministrów Związku, narówni z innymi Ministrami.

Funkcje Banku Państwa są bardzo istotne dla całego systemu skarbowego. W Banku tym koncentrują się zagadnienia, dotyczące całego obiegu pieniężnego, jest on jedynym organem kredytu krótkoterminowego oraz kasjerem całej gospodarki narodowej.

Na zakończenie należy wspomnieć o dużym udziale naukowców, specjalistów radzieckich z zakresu skarbowści, którzy współpracują w dziele budowy i rozwoju systemu skarbowego.

Udział ten datuje się od początku istnienia państwa socjalistycznego. Przejawia się on w publikacjach zbiorowych prac uczonych radzieckich wydawanych przez Ministerstwo Skarbu Związku, zarówno współczesnych jak i dotyczących ubiegłych, zasadniczych okresów dla budowy systemu skarbowego.

Między innymi w pracach nad opracowaniem strony skarbowej planów pięcioletnich brali profesorowie Bogolepow, Diaczenko, Mikeładze. Prace uczonych radzieckich, np. zmarłego niedawno prof. Bogolepowa były wydawane w językach obcych i mają ustaloną pozycję w światowej literaturze naukowej.

Ostatnio jedna z tych prac, została przetłumaczona na język polski.

Ks. Albert Warkocz (Wrocław)

SÖREN KIERKEGAARD CZYLI GENEZA EGZYSTENCJALIZMU

1. Kiedy na skutek wypadków wojennych znalazłem się w Lowanjum, zapytałem się pewnego belgijskiego konfratra, co to jest egzystencjalizm. Trzeźwy Flamand nie mógł mi dać żadnej odpowiedzi, machnął tylko lekceważąco ręką i rzekł: „C'est une betise française, to głupstwo francuskie". Nie zadowolony tą odpowiedzią, nabyłem książkę Troifontaines 'a p. t. Le choix de J. P. Sartre (Sorbona miała później za złe Troinfontaines'owi, młodemu jezuicie, że pierwszy przerwał pogardliwe milczenie, z jakim chciano zbyć pojawiający się egzystencjalizm). Po przeczytaniu tej niewielkiej rozprawy byłem zrozpaczony, gdyż nic nie rozumiałem z tego dziwnego języka. Z całego dzieła pozostały mi w pamięci, jak zły osad, wyrazy: désespoir, angoisse, choix, absurd, nausée, mauvaise foi i. t. d.

Od tego czasu egzystencjalizm nie przestał mnie prześladować. Kiedy w Paryżu pierwsze kroki skierowałem do domu centralnego Misjonarzy przy rue de Sèvres, zobaczyłem na drzwiach kaplicy, w której spoczywa największy święty francuski, Wincenty a Paulo, afisz, zapowiadający, że Gabriel Marcel wygłosi odczyt o egzystencjaliźmie. Sam temat i osoba prelegenta zgromadziły tłumy publiczności. Po odczycie znowu nie wiele rozumiałem z tej philosophie étrange. Nie dałem jednak za wygraną. Postanowiłem zająć się bliżej tym ruchem filozoficznym, który w tym czasie w Paryżu osiągnął punkt szczytowy swego powodzenia. Wszędzie rozprawiano o egzystencjaliźmie, który stał się teraz modą obowiązującą. Pewna nauczycielka, bretonka, prosiła mnie, żebym jej w kilku słowach wytłumaczyłem, co to jest egzystencjalizm. Kiedy jej chciałem dać do przeczytania właśnie owego Troifontenais'a, powiedziała: „O to zbyteczne, wystarczy, żebym w towarzystwie nie pomieszała egzystencjalizmu z szyfonem".

Na wystawach sklepowych dzieła Sartre'a pysznią się swym bogatym strojem. Książki jego jak Les Mouches i Le Mur są ozdobione przeszło trzydziestoma akwafortami najlepszych grafików. Któryż z naszych autorów może sobie na to pozwolić! Kiedy Sartre na pewnym odczycie mówił półtorej godziny o Kafce, egzystencjonaliście żydowsko-czeskim, uczennice gimnazjalne nie pozwoliły mu skończyć i Sartre, „nowy prorok" musiał mówić jeszcze dwie godziny. O czym? Znowu w kółko o désespoir, angoisse, absurd itd.

Postanowiłem więc zająć się bliżej tą „nową ewangelią" i zgłosiłem się do profesora Verneaux. Ten wyznaczył mi ze względu na znajomość języka niemieckiego opracowanie filozofji Heideggera lecz po pobieżnym zaznajomieniu się z nią zrezygnowałem z tego zamiaru.

Czułem bowiem intuicyjnie, że tezy Heideggera są wzięte jakby z powietrza, deus ex machina, że za nim kryje się jeszcze ktoś inny, który może dać rozwiązanie zagadki egzystencjalistycznej. I tak też było. Dopiero znajomość filozofii Kierkegaarda ułatwiła mi zrozumienie nauki innych egzystencjalistów. Aby pojąć egzystencjalizm wszelkich odcieni i maści, a raczej według wyrażenia Emmanuela Mounier,

wszystkie egzystencjalizmy, to trzeba koniecznie zacząć od egzystencjalizmu Kierkegaarda.

Kierkegaard jest ojcem egzystencjalizmu, co się za mało podkreśla. Wszystkie bowiem główne tezy egzystencjalizmu, jak odrzucenie systemów filozoficznych, charakter dramatyczny jednostki i egzystencji ludzkiej, paradoks i absurd, rozpacz i niepokój, sens ryzyka, wartość ekskluzywna subiektywności i niepewność absolutna obiektywności, to wszystko już zostało po mistrzowsku opracowane przez Kierkegaarda.

2. Mimowoli narzuca się teraz pytanie, skąd Kierkegard zaczerpnął te dotychczas niespotykane, zupełnie nowe myśli? Bo z innymi egzystencjalistami sprawa przedstawia się zupełnie jasno. Heidegger pozostaje pod wpływem filozofii Kierkegaarda, zanadto jest to widoczne, Jespers jest poprostu komentatorem Kierkegaarda, Sartre oparł się znowu na Heideggerze i t. d. Ale Kierkegaard?

Prof. Verneaux robi ciekawe spostrzeżenie na ten temat (De l'absurd w l'Existentialisme, libr. Tequi 1947). Twierdzi mianowicie, że w dziejach myśli ludzkiej istnieje pewne prawo oscylacji periodycznej. Każdy wielki system dogmatyczny ciągnie za sobą, jak kometa ogon, pewien kryzys sceptyczny. I tak za fizykami greckimi idzie jak cień sofistyka, za wielkimi systemami metafizycznymi pyronizm, za scholastyką średniowieczną Montaigne i Charron a jeszcze przedtym Okham, za scholastyką kartezjuszowską Hume, za Kantem Comte i Renouvier, za Heglem Kierkegaard. Egzystencjalizm bowiem ze swoją filozofią absurdu jest najbardziej wypracowaną formą sceptyzmu. Dziwnie to brzmi, jeśli powiemy, że właśnie od Hegla pochodzą główne prądy myśli współczesnej. Od niego bowiem wywodzą się wprost idealizm systematyczny i idealizm ewolucyjny zaś nie wprost materializm dialektyczny i egzystencjalizm.

Musimy jednak z naciskiem podkreślić, że filozofia Hegla była dla Kierkegaarda tylko okazją do stworzenia zupełnie odrębnego kierunku filozoficznego. Egzystencjalizm bowiem Kierkegaarda jest wynikiem jego własnej potężnej osobowości, jest jak nigdy przedtym filozofią jego własnego życia i genialnej indywidualności. Jak dla Epikteta, św. Augustyna, Montaigne'a, Pascala, Maine de Birana, tak dla Kierkegaarda filozofia był odbiciem jego własnego życia.

3. Wiele światła na powstanie takiej a nie innej filozofii Kierkegaarda rzuca samo jego życie. Przede wszystkim dużą rolę w ukształtowaniu się światopoglądu Kierkegaarda odegrało jego „nierozumne wychowanie", jak sam to określa. Nie matka ze swoją miłością lecz stary ojciec miał decydujący wpływ na dziecko, ojciec, który jako zwolennik sekty Braci czeskich, łączył w sobie jej gorący i suchy fanatyzm religijny z tajemniczą melancholią. Byłoby to interesujące zbadać elementy sekty Braci czeskich, jakie się dostały poprzez Kierkegaarda do egzystencjalizmu wogóle.

Można sobie wyobrazić,jakiego rodzaju musiał być ten wpływ starego i zapalonego sekciarza na młodą duszę dziecka (por. Jolivet-Introduction a Kierkegaard 1946). Odrazu wpoił w syna bezwzględny respekt dla obowiązku, który był dla niego czymś absolutnym a nie tylko sumą poszczególnych obowiązków. Było to chrześcijaństwo ponure i twarde, w którym grzech urastał do rozmiarów potwornych a obowiązek przybierał formę dramatyczną. Nic dziwnego, że zamiast w miłości, dziecko wzrastało w strachu i bojaźni przed chrześcijaństwem do tego stopnia, że wydało mu się ono nieludzkim okrucieństwem, napełniając go starczą melancholią. Nic dziwnego, że takie pojęcia, jak strach i bojaźń, niepokój (angoisse) będą zaj-

mowały tak poczesne miejsce w jego filozofii a przez niego u innych egzystencjalistów! Cóż dziwnego, że Kierkegaard napisał dzieła jak Strach i Drżenie, Pojęcie Niepokoju? W strachu, bojaźni, niepokoju będzie widział później osnowę bytu wogóle i uczyni z nich kategorie metafizyczne „Strach i bojaźń wywołują niepokój we wszechświecie i utrzymują rzeczy w ruchu" Pap. VII, 37).

To wszystko razem, jak wyzna kiedyś Kierkegaard, składało się na wychowanie nierozumne. Nigdy nie był i nie czuł się dzieckiem Nigdy nie miał zabawki, natomiast bawił się tym, co miało stać się poważnym zajęciem w jego życiu. Dziewczyna, jak sam powiada, bawi się lalką tak długo, dopóki sama nie przemienia się w kochankę. Całe życie kobiety jest tylko miłością natomiast moje własne życie jest od początku tylko myślą.

To usposobienie ponure pogłębiało się jeszcze wraz z jego melancholią, rysem najbardziej znamiennym jego charakteru. Istotnej przyczyny jego melancholii nie dowiemy się nigdy. „Nie znajdzie się między moimi pismami tekst, który wszystko tłumaczy, co świat będzie uważał za bagatelę, a co dla mnie stanowi wydarzenie ogromnej wagi" (Journal F. ei G. 167). Niemniej możemy określić jego melancholię, która jest kluczem jego psychiki i wielkiej części jego dzieł.

Trzeba najpierw odróżnić melancholię od lęku człowieka religijnego, stanu niepokoju i cierpienia, związanego z wiarą, według definicji protestanckiej. Sama melancholia ma różne postacie Kierkegaard zdaje się doznawał jednych i drugich albo raczej podlegał „kompleksowi melancholicznemu".

Bez wątpienia najważniejsze źródło melancholii tkwiło w jego temperamencie, który posiadał rysy chorobliwe, jak świadczy o tym sam Kierkegaard i świadkowie, którzy mieli możność wglądnięcia w jego życie prywatne. Jego sekretarz osobisty pisze o jego dziwactwach, których był naocznym świadkiem. „Okna zabarykadowane, jego histeryczny strach przed ogniem i związane z tym ostrożności, skrapianie wodą kolońską pokoju przed pracą, jego nadużywanie gorących kąpieli, cukru i kawy, luksus jego stołu, tryb życia, który go kosztował bajońskiej sumy, jego srebra, laski bez liku, jego kolekcja filiżanek, z której trzeba było wybierać inną na każdy dzień i t. d. (Gateau w przedmowie do Pamiętnika Uwodziciela str. 20). To wszystko graniczy już z pewnego rodzaju szaleństwem. „Jaki jest — pisze — stosunek szaleństwa do geniuszu? Czy można wyprowadzić jedno z drugiego, w jakim sensie i w jakiej mierze geniusz jest panem swego szaleństwa?" (Crainte et Tremblement str. 177). To echo dialogu z samym sobą. Jedno jest pewne, że Kierkegaard czuł w sobie obciążenie dziedziczne. Zagłębiał się w tajniki swej konstytucji fizycznej, bez wytchnienia bronił się przed „bladymi, bezkwistymi i upartymi widziadłami nocy", których sam był ojciem. Melancholia ta przybierała nieraz tak potworne rozmiary, że nosił się nawet z zamiarem samobójstwa.

Niewątpliwie melancholia Kierkegarda była natury fizjologicznej, sam nieraz wspomina o „drzazdze w ciele". Choroba Kierkegaarda stanowi klasyczny casus dla badań psychiatrycznych dla H. Holwega — S. Kierkegaard en psychiatrisk-psychologisk Studie, Kopenhaga 1933.

Melancholia Kierkegarda miała się ciągle czym podsycać. Oto do trzydziestego roku życia był świadkiem, jak jedno po drugim z jego licznego rodzeństwa umierało w kwiecie wieku. Sam Kierkegaard był pewien, że nie przekroczy trzydziestki. Cóż dziwnego, że melancholia jego stale rosła, że śmierć i rozpacz urosły w jego

nauce do rozmiarów kategorii bytu! Gdybyż przynajmniej zaznał szczęścia w związku ze swoją narzeczoną Reginą Olsen. Tymczasem Kierkegaard w przekonaniu, że nie może dać szczęścia młodej dziewczynie właśnie z powodu swego usposobienia melancholicznego, zrywa z narzeczoną. Historia tej miłości, tak skomplikowana i niezwyczajna, rzuca ciekawe światło na psychikę Kierkegaarda. Zdawaćby się mogło, że raz na zawsze zamknął ten okres swego życia, powodowany słusznością takiego kroku. Tymczasem czyn ten stanie się qródłem hamletowskich rozważań w jego pismach Winien — Nie Winien, pogłębiając już i tak wielką melancholię.

Jak widzimy, wiele tez egzystencjalnych Kierkegaarda tłumaczy nam jego wychowanie nierozumne i melancholia.

Inne jego tezy, jak absurd, paradoks i wypływające z nich ryzyko, pochodzą z jego wiary protestanckiej. Wiara, według Kierkegaarda sprzeciwia się rozumowi, jest contra a nie supra rationem. Wiára zatym jest wyznawaniem paradoksu, credo quia absurdum jak głosi Tertulian. W takim postawieniu tezy o wierze tkwi część prawdy w sensie że wiary nie zdobywa się na drodze wiedzy filozoficznej a nawet teologicznej, że jest darem darmo danym. W tym znaczeniu możnaby się zgodzić z Kierkegaardem, że wiara jest absurdem, paradoksem, zgorszeniem według Żydów i głupstwem dla pogan. Lecz Kierkegaard idzie dalej. Przyjmuje także drugą tezę, według której wiara nie potrzebuje motywów wiarogodności, nawet faktu historycznego i boskości Chrystusa i dowodów istnienia Boga, jako przesłanek obiektywnej pewności. Te pojęcia wiary protestanckiej o absurdzie i paradoksie, Kierkegaard przenosi w dziedzinę filozoficzną i uważa je za istotne cechy wszelkiej egzystencji ludzkiej. Przynosi to zaszczyt św. Tomaszowi z Aquinu, że na sześćset lat przedtym potrafi oddzielić dziedzinę wiary od wiedzy i nie miesza jedno z drugim.

Widzimy teraz, że pojęcia takie jak rozpacz, śmierć, niepokój i lęk metafizyczny, dalej absurd, paradoks i ryzyko, stanowiące stały repertuar dzisiejszych egzystencjalistów, genetycznie wynikają z osobistego życia Kierkegaarda. Warunki zaś po pierwszej i drugiej wojnie światowej stworzyły dla nich idealne warunki katastroficzne i pesymistyczne. Zrozumiemy zatym, że aby zrozumieć egzystencjalizm wogóle, to trzeba koniecznie sięgnąć do egzystencjalizmu Kierkegaarda.

4. Zaznaczyłem, że egzystencjalizm Kierkegaarda jest, jak żadna inna filozofia, wyrazem jego życia, i byłoby rzeczą niebezpieczną dopatrywać się jakichś innych wpływów doktrynalnych. Niemniej jego walka z systemem Hegla stała się okazją do ostrzejszego uwypuklenia nauki egzystencjalnej. Przypatrzmy się więc poszczególnym etapom ustosunkowania się Kierkegaarda do idealizmu heglowskiego. Kontrast między systemem Hegla a myślą egzystencjalną Kierkegaarda nabierze jeszcze żywszych barw. (Por. J. Wahl-Etudes Kierkegaardiennes, Paris, ed. Aubier 1938).

Kierkegaard na początku swych studiów nie oparł się także zresztą jak cała młodzież niemiecka, magicznej sile „poznania totalnego", jakie znajdował w systemie Hegla. Hegel i Goethe, jego zdaniem, chcieli przywrócić klasycyzm, umieszczając jednostkę w totalności, kulturze i państwie. Tymczasem już bardzo prędko myśl Kierkegaarda zwraca się nie ku totalności lecz ku indywiduum i życiu. Chrystus, jak powiada Kierkegaard, nie naucza ale działa i jest. Nie głosi, że jest odkupienie ludzkości ale ją odkupił. Cała treść etyczno-religijna ma dla niego swą podstawę w osobowości Chrystusa i w jego życiu indywidualnym.

Mając dopiero 23 lat występuje już świadomie przeciw przerostom abstrakcyjnym systemu heglowskiego i pisze: „Na niebo i ziemię, mogę się zdobyć na abstrakcję ze wszystkiego lecz nie ze siebie samego. Nawet kiedy śpię, nie mogę o sobie zapomnieć" (Pap. I. 93, A 160).

Lecz nie tylko z punktu widzenia życiowego jednostki krytykuje system heglowski lecz także ze stanowiska samych pojęć religijnych, stworzonych dla życia i jednostki. Kierkegard ostro krytykuje tendencje abstrakcyjne teologii protestanckiej, przesiąkniętej ideami heglowskimi. Prawdy religijne są stworzone dla życia indywidualnego, tymczasem pod wpływem spekulacji filozoficznej wywietrzały do tego stopnia, że „powinniśmy sobie życzyć, żeby ktoś mocno uzbrojony zjawił się i przywrócił wyrazom ich siłę i stracone znaczenie" (Pap. I/141/142 1836/37).

Kierkegard w swoich późniejszych pismach zwłaszcza w Post-Scriptum zajmuje coraz ostrzejsze stanowisko względem nauki heglowskiej. Hegel twierdzi, że można wytłumaczyć świat przez ruch idej. Lecz umieścić ruch w idei, jest czymś przeciwnym naturze, znaczy to samo, co ruch tłumaczyć logicznie a jeszcze lepiej coś nielogicznego logicznie. Logika bowiem jest czymś nieruchomym, egzystencja zaś jest ruchem. Rzeczywistość jest przypadkiem a przypadku nie można umieścić w logice (sprężyną powieści Kafki jest właśnie przypadek). Rzeczywistość według Kierkegaarda jest stawaniem się, które jest czymś otwartym a nie zamkniętym. Wreszcie warunkiem egzystencjalnym człowieka jest bezpośredniość. Sublimując zaś i mediatyzując bezpośredniość, Hegel usuwa z człowieka jego egzystencję, ponieważ niema człowieka, któryby istniał metafizycznie. Ogólnie filozof egzystuje w zupełnie odmiennych warunkach, w jakich spekuluje. Myśl zatym nigdy nie będzie mogła osiągnąć bytu, ponieważ pomiędzy nimi zawsze będzie istniał skok. Myśl osiąga tylko byt myślowy t. zn. możliwy i przeszły.

Kierkegaard, występując przeciw Heglowi, krytykuje poznanie obiektywne. Egzystencja, jego zdaniem, nie jest problemem logicznym. System Hegla trzyma się zdala od rzeczywistości indywidualnej. Poza tym centrem subiektywnym t. zn. jedynym, co stanowi wartośc dla Kierkegaarda, wszystko go obchodzi. Znamy historię powszechną, dzieje wszystkiego, co się działo i umarło. Historia Chin jest dla filozofa heglowskiego bliższe niż losy jednostki. Hegel i jego zwolennicy są w stanie zupełnej obiektywności t. zn. w stanie zupełnego oderwania w stosunku do siebie samego. Jest synem marnotrawnym, co odszedł daleko od siebie samego. Myśl abstrakcyjna jest myślą, która pozostaje nazewnątrz siebie. I takie życie syna marnotrawnego przynosi mu tylko nudę. Z tego też powodu istnieje walka na życie i śmierć pomiędzy myślą abstrakcyjną a egzystencją. Egzystencja nie może się utrzymać wobec myśli abstrakcyjnej a ta znowu wobec egzystencji. Egzystować nie da się myśleć, jest to równoznaczne z jej zniesieniem.

Baeumler tak charakteryzuje w doskonałych skrótach pozycję Kierkegaarda względem Hegla: „Hegel podtrzymuje system zamknięty i trwały, Kierkegaard stawanie się, Hegel odwraca się od jednostki i wiary ku dziełom, sztuce, państwu, historii; Kierkegaard przeciwstawia się wytworom czynów i kulturze, aby znaleźć w podmiocie i wierze osnowę egzystencji ludzkiej. Hegel jest metafizykiem, logikiem, filozofem natury, estetykiem, filozofem prawa lecz system jego nie zawiera etyki. Pisma zaś Kierkegaarda nie są niczym innym jak wielkim dziełem etycznym, prześwietlonym ideą religijną. Nawet jako metafizyk jest jeszcze moralistą". (Etudes Kierk. Str. 133).

5. Kierkegaard występuje nietylko przeciw filozofii Hegla lecz walczy także z wszelką filozofią. Cechą czasów nowożytnych, powiada Kierkegaard, jest rozkład. Romantycy i zwolennicy Hegla usiłowali uczynić z chrześcijaństwa rzecz łatwą, jedni przez swą postawę estetyczną, drudzy przez aparat myślowy i metafizyczny. Co epoka zyskała na zakresie, to straciła na nasileniu. Godna nienawiści dla Kierkegaarda jest mierność. „Byłoby lepiej grzeszyć, uwodzić młode dziewczęta, zabijać ludzi być złodziejem w wielkim stylu, możnaby się z tego przynajmniej otrząsnąć lecz z tej postawy dynstyngowanej nie można się poprawić" (Pap. VII. 228).

Krytyka, jaką Kierkegaard uprawia względem filozofii Hegla, odnosi się także do każdej filozofii, o ile jest szukaniem ogólności i idealizmem. Wykazuje, że w systemach idealistycznych jest pewien rodzaj refleksji, przez którą człowiek traci zupełnie swój przedmiot „Kruk, który przez swoją gadatliwość traci swój przedmiot, jest obrazem nauki idealistycznej. „Sum jest wrogiem cogito jako myśli abstrakcyjnej i między nimi jest walka na śmierć i życie.

W rezultacie Kierkegaard potępia w czambuł wszelką mądrość ziemską, jak nazywa filozofię, przeszkadza nam bowiem widzieć nieskończone perspektywy. Tak bogacz, który się wybiera na spacer nocny kolasą oświetloną latarniami, widzi trochę lepiej od biedaka w ciemności lecz zato nie widzi wcale gwiazd.

Potępiając filozofię, Kierkegaard potępia także wszelką spekulację chrześcijańską dlatego, że jest nacechowaną filozofią. Religia dzisiaj jest chrześcijaństwem profesorów. Wprawdzie nie wszyscy stają się profesorami lecz wszyscy otrzymują piętno profesorskie. Z tego powodu apologetyka jest zdradą chrześcijaństwa a apologetyk jest judaszem nr. 2. „Ten cały antykwarski arsenał, cała opologetyka służy tylko do zdrady chrześcijaństwa. Bronić sprawy w ten sposób, znaczy ją dyskredytować. Jedynie apologetyka pierwszych ojców jest do przyjęcia, która polegała na wykazaniu, jak mało z punktu widzenia ludzkiego można bronić chrześcijaństwa. Zrozumieć chrześcijaństwo to znaczy zrozumieć, że trzeba w nim istnieć i zrozumieć, jak trudną jest rzeczą".

6. Na skutek badań poznawczych, powiada Kierkegaard, zapomniano, co to znaczy istnieć. Zapomniano, co to znaczy istnieć nietylko religijnie lecz także istnieć jako człowiek. Sokrates był człowiekiem egzystencjonalnym podobnie, jak średni filozofowie greccy. Energia myśli tych ostatnich, energia, z jaką przeżywali swój przedmiot, wydała by się dziś egzaltacją, prawie szaleństwem. Natomiast dzisiejsi filozofowie są profesorami. Błędem nowoczesnej myśli jest — są słowa Kierkegaarda — że odseparowała wiarę od egzystencji.

Bez wątpienia jest rzeczą trudną, zdaniem Kierkegarda, określić, co to jest egzystencja, gdyż tego nie da się wyrazić przez wiedzę. Niemniej możemy się uciec do przykładów. Hamann i Jacobi próbowali wyjaśnić, co to jest egzystencja, także Sokrates jest wzorem egzystencjalisty. „Jedyną rzeczywistością, w stosunku do której człowiek nie natrafia na granice w jej poznaniu, jest jego własna rzeczywistość". (Pap. XII. 15). Zasada Sokratesa znajduje całą swą prawdziwość lecz w tym znaczeniu, że wiedza przestaje być wiedzą, aby się stać życiem, uczuciem i czynem. Chrześcijaństwo także łączy się ściśle z egzystencją, jest postawą egzystencjalną Zadanie, jakie sobie Kierkegaard stawia, to zmniejszyć wśród ludzi nadmiar wiedzy i nauczyć ich znowu, co to znaczy być znowu człowiekiem. Żyjemy dziś, mówi dalej Kierkegaard, w abstrakcji. „W Grecji, jak wogóle w okresie młodości filozofii, trud-

ność stanowiło dojść do abstrakcji, opuścić egzystencję. Dzisiaj jest rzeczą trudną droga odwrotna: wrócić do egzystencji". (Pap. VII 28).

Po zaznajomieniu się ze źródłami egzystencjalizmu Kierkegaarda, podamy zasadnicze jego cechy, które można sprowadzić do trzech punktów, jakimi są konieczność angażowania się i wynikające z niego ryzyko, dalej prymat subiektywności i próba niepokoju i rozpaczy[1]).

Aby należycie zdać sobie sprawę z angażowania się i ryzyka, trzeba wyjść z definicji prawdy egzystencjalnej. Prawda, według Kierkegaarda, wyrażona przez sąd teoretyczny, jest tylko prawdą cząstkową albo wcale nią nie jest. Dopiero kiedy ją utożsamię ze samym sobą w życiu przez ciągłe stawanie się i działanie, wtedy prawda stanie się moją prawdą. Życie zatym, egzystencja i prawda pokrywają się.

W świetle tych rozważań staje się rzeczą jasną, dlaczego Kierkegaard łączy zawsze patos (uczucie) z prawdą i egzystencją. Jeśli naucza, że wszelka prawda jest uczuciem, to znaczy dla niego, że prawda musi być przeżywana. Uczucie jest punktem kulminacyjnym subiektywności i w następstwie najdoskonalszym wyrazem egzystencji. Stąd prawda ma z konieczności charakter dramatyczny lub według wyrażenia Kirkegaarda charakter dialektyczny.

Prawda, działanie (engagement) i ryzyko idą w parze. Prawdę bowiem można sobie przyswoić tylko przez działanie nawet za cenę ryzyka. Ludzie robią, powiada Kierkegaard, wiele hałasu koło swych prawd. Lecz chcesz się przekonać, czy wierzą w głoszone przez się prawdy, popatrz jak żyją; zauważ, czy żyją według nich aż do ostatecznych konsekwencyj bez zostawienia sobie furtki jak pocałunek Judasza w ostatniej chwili". (Conc. de l'Angoise, str. 200).

Następnie prawda jest absurdem i paradoksem, co jeszcze w większym stopniu pociąga za sobą ryzyko działania, ponieważ muszę wybierać coś, co nie jest zupełnie jasne dla rozumu. Przypomina to do żywego zakład (le pari) Pascala.

Drugim zasadniczym warunkiem egzystencji jest subiektywność. Kierkegaard rozumie przez nią nietylko przyswojenie sobie prawdy w życiu lecz także, i to w większym stopniu, niepewność obiektywną. Nie osiągamy prawdy przez zwrócenie się do obiektywności. Jest więcej prawdy w niewiedzy Sokratesa niż w obiektywności systemu heglowskiego. Typem zaś doskonałym tei niepewności obiektywnej jest dla Kierkegaarda wiara, będąca zgodnie z definicją protestancką, absurdem i paradoksem. Tę definicję wiary przenosi Kierkegaard na wszelką egzystencję. „Niepewność obiektywna, przyswojona w stanie subiektywnym oto prawda, najwyższa prawda dla jednostki egzystencjalnej" (Post-Scriptum str. 134—5). Kierkegaard zauważa jeszcze, że im więcej prawda obiektywna, pojęta jako zbiór dowodów, wzrasta, tym mniejsza staje się jej pewność. „Ileż w naszych czasach przedsięwzięto nadzwyczajnych wysiłków metafizycznych i logicznych, aby dostarczyć nowego, absolutnego i pewnego dowodu na nieśmiertelność duszy a tymczasem pewność ta jest mniejsza" (Conc. de l'Angoisse str. 201).

Niepewność zatem obiektywna polega na niemożności demonstracji naukowej. Dalej, co jest ważniejsze dla Kierkegaarda, pewność obiektywna, gdyby nawet była możliwa, nie wystarcza a co więcej nie determinuje. Natomiast determinuje nas zgodność prawdy z najgłębszymi wymogami naszej osobowości to znaczy rzeczywistość

---

[1]) Jolivet — L'Existentialisme de Kierkegaard, libr. Tequi 1947.

moralna. W tym sensie znowu tylko wiara stanowi prawdę, ponieważ motywem działania nie jest tu ani oczywistość, ani prawdopodobieństwo lecz tylko moja decyzja wyboru pierwiastków wiecznych i nieskończonych we mnie. Wszelka inna zaś prawda nosi na sobie taki sam charakter. Pewność zdobywamy tylko na drodze działania i przez próbę życia, ponieważ to nie rozum tylko cała istota jako taka wznosi ku prawdzie.

W ten sposób Kierkegaard wysuwa na czoło wybór (choix), jako zasadniczą cechę wszelkiej egzystencji. Za nim pójdą wszyscy egzystencjaliści dzisiejszych czasów. Dla racjonalisty, powiada Kierkegaard, pojęcie wyboru jest rzeczą łatwą. W rzeczywistości, kiedy chodzi o wprowadzenie w ruch pojęć, wszystko jest łatwe, nie dopuszczające żadnego wyjątku. Lecz kiedy wchodzi w grę konkretna decyzja woli, wtedy rzeczy nie przedstawiają się w tak prosty sposób. Na pole walki wchodzi teraz uczucie i namiętność: wybór, dotychczas problem abstrakcyjny, staje się dialektyką życia. Stąd żaden wybór nie dokonuje się bez niepokoju i lęku, stąd także dramat jednostki, bo istnieć to wybierać.

Można także jeszcze ściślej powiedzieć, że cechą egzystencji jest wybór siebie samego. Do pewnego stopnia bowiem jestem twórcą samego siebie, swej własnej esencji przez ciągłe stawanie się. To się zaś dzieje przez wybór i wybór tego wyboru (l'acte de choisir et choisir le choix) to znaczy wolny wybór siebie samego stanowi definicję egzystencji.

Samotworzenie się, według Kierkegaarda, nie posiada cech dowolności, inna rzecz, że w skutkach swych prowadzi do anarchizmu etycznego. Sartre np. głosi zupełny nihilizm etyczny. W sztuce Les Mouches, Orestes, który zabija Egista i Klitemestre, pozbywa się wyrzutów sumienia i kończy swój występ gestem teatralnym w stronę Dzeusa „Skoro raz wybuchła wolność w duszy ludzkiej, bogowie nic nie mogą uczynić przeciwko człowiekowi".

Kierkegaard uczy, że wybór jest równocześnie wolny i konieczny, libertas contradictionis et non contrarietatis w znaczeniu jednak obowiązku. Na czym polega ta konieczność lub obowiązek absolutny, mający determinować nasz wybór? Na wyborze tego, co u nas jest wieczne i nieskończone. A zatem pewien ideał jest przed wolnością i wyborem, Tym ideałem to kategoria „przed Bogiem", jako kategoria najbardziej autentycznej egzystencji ludzkiej. To odwoływanie się Kierkegaarda do pierwiastków wiecznych i nieskończonych przypomina powiedzenie Spinozy: „Sentimus et experimur nos aeternos esse" z tą różnicą, że w przeciwieństwie do panteizmu Spinozy, Kierkegaard przyjmuje Boga osobowego. Kierkegaard uważał, że kategoria „przed Bogiem i Chrystusem" jest najwyższą kategorią egzystencji ludzkiej. Służbie dla tej idei poświęcił najlepsze swe siły i najlepsze lata. W służbie dla tej kategorii egzystencji ludzkiej sterał swe siły, walcząc o niesfałszowane i autentyczne chrześcijaństwo na wzór Chrystusa.

A wreszcie trzecia charakterystyczna cecha każdej egzystencji jest rozpacz (désespoir) i niepokój (angoisse). Pojęcia te, które mają tak szeroki podkład psychologiczny w życiu Kierkegaarda, dostały się do słownika wszystkich współczesnych egzystencjalistów, nawet katolickich. Gabriel Marcel, najwybitniejszy egzystencjalista katolicki, zna także rozpacz i niepokój zwłaszcza ten, jaki wywołuje myśl o śmierci. Poczucie absurdalności i wywołana przez nią rozpacz, wydają mu się naturalne. Marcel uważa rozpacz za „punkt centralny metafizyki, którego definicja człowieka, jaka daje tomizm, nie uwzględnia". (Etre et Avoir 132).

Przypatrzmy się bliżej rozpaczy i niepokojowi Kierkegaarda. Dotychczasowa filozofia, jego zdaniem, nie brała pod uwagę niepokoju i rozpaczy a przecież łączą się one z konieczności z egzystencją ludzką to jest z winą, obowiązkiem wyboru i wynikającym z niego ryzykiem. Pewnie, że nie każda rozpacz zbawia, rozpacz np. demoniczna jest samounicestwieniem. Tylko „dobra" rozpacz jest negacją absolutną i definitywną skonczoności, to jest wszystkich przyjemności ziemskich. Taka rozpacz jest stopniem do wyższej egzystencji, ponieważ kto wybiera rozpacz, wybiera samego siebie pod kątem widzenia swej wiecznej wartości. Czyż nie lepiej nazwać to poprostu skruchą chrześcijańską!

Każda egzystencja, zdaniem Kierkegaarda, musi podlegać rozpaczy, brak jej równałby się nicości. Kto mówi świadomość, duch, refleksja, ten ma również na myśli rozpacz, ponieważ suponuje wybór a co to znaczy wybierać, jeśli nie rozpaczać, że się jest skończonym a chciałoby się być doskonałym i nieskończonym? Rozpacz zatym zbawienna jest uświadomieniem sobie równocześnie skonczoności i nieskonczoności. Taka rozpacz wywołuje zerwanie i skok do wyższego stadium egzystencji. W ten sposób rozpacz rośnie wraz z pogłębianiem się świadomości i odwrotnie, świadomość i sumienie wraz z natężeniem rozpaczy. Zrozumiemy teraz słowa Kierkegaarda „Zachęcam cię do rozpaczy, pojętej nie jako konsolacja, jako stan, w którym powinieneś trwać lecz jako akt, przez który zdobywasz całą siłę, prawdę i skupienie duszy, gdyż na tym polega twoje zwycięstwo nad światem. Wszelki człowiek, który nie zakosztował goryczy rozpaczy, zawsze się myli w ocenie życia nawet, gdyby poznał jego piękno i radość (Altern. 184).

Niepokój jest czemś innym. Podczas kiedy rozpacz łączy się z fiaskiem i bankructwem, niepokój wyprzedza grzech i łączy się z możliwością i wolnością. Jeśli według egzystencjalizmu człowiek jest najprzód tylko możliwością a później staje się tym lub owym (existence precede l'essence), to można powiedzieć, że każdy człowiek stoi niejako nad przepaścią nicości, która go równocześnie pociąga i odpycha. Niepokój jest zatem pożądaniem czegoś, czego się obawia a równocześnie obawą przed tym, czego pragnie. Niepokój jest sympatią antypatyczną i antypatią sympatyczną.

Cechą każdej egzystencji jest także niepokój, który wyprzedza każdy akt wolny. Z wszystkich kategoryj niepokój jest kategorią najstraszniejszą. Przez nią „przerażenie, zatracenie i ruina idą ręka w rękę razem z człowiekiem".

Przedstawiliśmy w krótkości egzystencjalizm Kierkegaarda, którego znaczenie rośnie z każdym dniem. Stąd uważałem za rzecz ważniejszą, niż napisanie tego informacyjnego artykułu, zestawienie zupełnej bibliografii o Kierkegaardzie. Sądzę, że niejednemu czytelnikowi przyda się to bardzo.

BIBLIOGRAFIA[1])

Dzieła Kierkegaarda w tłum niem.

Gesammelte Werke. Unverkürzt herausgegeben von Hermann Gottsched u. Christoph Schrempf, Bd. I — XII, 1909.

Erbauliche Reden. T. III. Leben u. Walten der Liebe 1924 t. IV. Christliche Reden.

Zwei ethisch-religiöse Abhandlungen von S. Kierkegaard. Übersetz von Julie Reincke 1902.

[1]) Por. dzieła Wahl'a, Joliveta i Ruttenbecka.

Der Begriff des Auserwählten. Übersetzung und Nachwort von Th. Hacker 1917.
Sören Kierkegaards Angriff auf die Christenheit. Übers. von A. Dorner u. Chr. Schrempf 1896.
Kritik der Gegenwart. Übers. von Th. Haecker 1922.
Die Krisis u. eine Krisis im Leben einer Schauspielerin mit Tagebuchaufzeichnungen des Verfassers. Übers. von Th. Haecker 1922.
Zwölf Reden von S. Kierkegaard, zusammengest. von A. Barthold 1875.
Die Lilien auf dem Felde und die Vögel unter dem Himmel. Drei fromme Reden. Hoherpriester, Zöllner, Sünderin. Drei Beichtreden von S. Kierkegaard zusammengest. von Barthold 1879.
Was wir lernen von den Lilien auf dem Felde und den Vögeln unter dem Himmel. Drei Reden von S. Kierkegaard, frei bearbeitet von A. Puls 1891
Christiliche Reden. Aus dem dänischen übersetz von Julie von Reimcke. Mit einem Anhang: Kierkegaarde Familie u. Privatleben nach den persönlichen Erinnerungen seiner Nichte H. Lund II. 1909.
Am Fusse des Altars. Christliche Reden, übers. von Th. Hacker.
Der Pfahl im Fleisch.
Übers. von Th. Haecker 1914.
Die Sünderin.
Übers. von Th. Haecker 1919.
Religiöse Reden.
Übers. von Th. Haecker 1922.
Gotter Unveränderlichkeit.
Übers von Th. Haecker 1919.
Kritik der Gegenwart.
Übers. von Th. Haecker 1922.
Gottes Bedürfen des Menschen höchste Vollkommenheit. Übers. von E. Hirsch, 1923.
Die Reinheit des Herzens. Eine Beichtrede, überstetzt von Lina Geismar, 1924.
Aus den Tiefen der Reflexion. Etwas für den Einzelnen aus S. Kierkegaards Tagebüchern, 1833—55, übers. von F. Venator 1901.
Buch des Richters. Seine Tagebücher 1833—55 im Auszug von K. Gottsched, 1905.
Kierkegaard im Kampf mit sich selbst. Eingeleitet und herausgeg. von Chr. Schrempf, 1922.
Die Tagebücher. In 2 Bänden ausgewählt und übers. von Th. Haecker, 1923.
S. Kierkegaard: Verhältnis zu seiner Braut. Brief u. Aufzeichnungen von H. Lund. Deutsch v. E. Rohr 1923.
S. Kierkegaard und sein Verhältnis zu „ihr". Aus nachgelassenen Papieren. Herausgeg. im Auftrag der Frau Schlegel u. verdeutscht von R. Meyer 1905.
S. Kierkegaard: Ein Verfasser-Existenz eigner Art. Aus seinen Mitteilungen zusammengest. von A. Barthold 1873.
Lessing u. die obiektive Wahrheit. Aus Kierkegaards Schriften zu sammengest. von A. Barthold 1877.
S. Kierkegaard: Ausgewählt u. bevorwortet von A. Barthold. Erster Teil: Die Werke.
Erster Teil: Die Werke. Ausgewählt u. übers. von Herm. Ulrich 1925.
Religion der Tat. Leipzig " " " " "
S. Kierkegaard: Zweiter Teil: Die Tagebücher., 1832—39. Übers. u. herausgeg. von H. Ulrich, Berlin 1930.
Das Evangelium des Leidens. Christliche Reden, übers. von. Kütemeyer.

Tłumaczenia francuskie

Le Journal du séducteur trad. Gateau, Stock, 1929.
Le concept de l'angosse. trad. Tisseau, Alcan, 1935.
Le Traité du désespoir. trad. Gateau, Ed. Alcan 1933.
La Répétition. trad. Tisseau, Ed. Alcan 1933.
Le Banquet. trad. Tisseau, Ed. Alcan 1933.
Leconcept de l'angoisse. trad. Tisseau, Alcan, 1935.
Crainte et tremblement trad. Tisseau ed. Aubier, 1935.
La pureté du coeur. trad. Tisseau 1934.

Pour un examen de conscience. trad. Tisseau 1934.
Le droit de mourir pour la vérité. Le Geńie et l'apotre. Trad. Tisseau, 1935.
Le Souverin Sacrificateur. Le pécheur. La pécheresse. tr. Tisseau 1934.
Les lis des champs et les ciseaux du ciel. — tr. Tisseau, Alcan 1935.
L'Ecole du christianisme. tr. Tisseau.
Fragmente du Journal. tr. Gateau, 1927.
L'Alternative. 2-e partie I. La vileur esthetique du mariage. II. La formation de la personalité. Tr. Tisseau 1940, Bazog-en Pareds Vendée.
Coupable? Non Coupable? Tr. Tisseau 1942, tamże.
Point de vue explicatif de mon ouvre. Trad. Tisseau, 1940, tamże.
L'Evangile des souffrances. Trad. Tisseau 1937.
La vraie prière. Trad. Tisseau 1937.
Journal (Extraits) 1934—46, trad. Ferlov et Gateau, Gallimrd 1941.
Prières et Christ Trad. Tisseau, 1937, 1940. 2 vol. ed. Bazog-en-Pareds.
Fragments. trad. Tisseau, Foi et vie. 1934.
Les kiens filosophiques. trad. Ferlov et Gateau, Gallimard 1934.
L'Existence et réalité. trad H. Petit, Mesures, 1937.
Le Post-Scriptum. trad. H. Petit Gallimard 1941.

Tłumaczenie angielskie.

Philosophical Fragments, with introduction and notes by D. F. Swenson Oxford, Univ. Press, 1937.

B. Literatura o Kierkegaardzie.

Georg Brandes: S. Kierkegaard, ein literitische Charakterbild. Leipzig 1879.
Deleuran: Esquisse d'une étude sur S. Kierkegaard. Paris 1897.
H. Höffding: S. Kierkegaard als Philosoph. Übers. von A. Dorner u. Chr. — Schrempf, 1892, 1902, 1922.
Delacroix: Sören Kierkegaard (Revue de métaphysique 1900).
Basch: Un indyvidualiste religieux: Sören Kierkegaard. 1934.
Kasner: Neue Rundschau, maj 1906.
Chr. Schrempf: S. Kierkegaard. Ein unfreier Pionier der Freiheit 1907.
P. Hoffmann: Kierkegaard et la certitude religieuse. Genéve 1907.
P. Monrad: S. Kierkegaard, sein Leben u. seine Werke. 1909.
G. Niedermeyer: S. Kierkegaard u. die Romantik 1910./H. II der Abhandlungen zur Philosophie u. Geschichte.
Ch. Nielsen: Der Standpunkt Kierkengaards innerhalb der Religiospsychologie. 1911.
Ed. Asmussen: Entwicklungsgang u. Grundprobleme der Philosophie Rasmus Nielsens, 1911.
Wilh. Bauer: Die Ethik S. Kierkegaards, 1912.
Th. Haecker: S. Kierkegaard u. die Philosophie der Innerlichkeit, 1913.
H. Reuter: Kierkegaards religionsphilosophische Gedanken im Verhältnis zu Hegels religions-philosophischen System, 1914.
Höffding: S. Kierkegaard (Revue de Métaphysique 1913).
Bellesort: Le Crépuscule l'Elseneur, Revue des deux Mondes 1914.
Sodeur: Kierkegard u. Nietsche, 1914.
C. Dallago: Über eine Schrift S. Kierkegaards u. die Philosophie der Innerlichkeit, 1914.
M. Slotty: Die Erkenntnislehre S. Kierkengaards, 1915.
H. E. Weber: Zwei Propheten des Irrationalismus, Joh. G. Hamann u. S. Kierkegaard als Bahnbrecher der Theologie des Christusglaubens 1917.
W. Rodemann: Hamann u. Kierkegaard 1922.
C. Dallago: Der Christ Kierkegaards, 1914, 1922.
G. B. Muttius: Kierkegaard u. das heutige Deutschland, Zeitwende, 1925.
T. Bohlin: Luther, Kierkengaard u. die dialektische Theologie (Z. Th. K. 1926).
H. Barth: Kierkegaard u. die dialektische Theologie (Z. Th. K. 1926).
A. Gilg: S. Kierkegaard, 1926.
G Niedermeyer: S. Kierkegaard u. der Corsar (Zeitwende 1926).

A. Paulsen: Religiosität oder Glaube. Eine Einführung in S. Kierkegaard, 1926.
R. Guardiani Der. Ausgangspunkt d. Denkbewegung S. Kierkegaards (Hochland 1926—27).
J. Himmelstrup: S. Kierkegaards Sokrates-Auffassung, 1927..
T. Bohlin: Kierkegaard als Apologet, 1927.
T. Bohlin: Kierkegaards dogmatische Anschauung in ihrem geschichtlichen Zusammenhange, 1927.
S. Geismar: S. Kierkegaard. Seine Lebensentwicklung u. seine Warksamkeit als Schriftsteller, 1927.
W. Kümeth: Die Lehre von Sünde, 1927.
G. Niedermeyer: Ostern bis Pfingsten 1848, Die Wende in der neuen religiösen Krise S. Kierkegaards, zugleich seine erste u. entscheidende Berührung mit Luther, 1927.
Th. Haecker: S. Kierkegaard, 1924 (Christentum u. Kultur 1927).
Th. Haecker: S. Kierkengaards Altarreden, 1922.
Przywara: Das Geheimnis Kierkengaards. München 1929.
Ch. Schrempf: S. Kierkegaard. Eine Biographie, 1927.
G. Diem: Methode der Kierkengaards-Forschung (Zw. d. Zeiten 1928).
F. Voigt: S. Kierkegaard im Kampfe mit der Romantik der Theologie u. d. Kirche, 1928.
K. Warmuth: S. Kierkegaard, ein Prophet der Innerlichkeit. Monatschrift f. Pastoraltheologie. Dezember 1928.
T. Bohlin: S. Kierkegaard u. d. religióse Denken d. Gegenwart, 1923.
Höftding: Pascal et Kierkegaard, Revue de Métaphysique, 1923.
Ed. Geismar: Das ethische Stadium bei S. Kierkegaard, 1923. (Zeitschr. f. systematische Theologie).
A. Bämler: Hegel und Kirkegard (Deutsche Vierteljahrschr. f. Literatur u. Geistesgeschichte, 1923).
Brandes: Kierkegaard u. andere skandinavische Persönlichkeiten, Dresden 1924.
E. Brunner: Das Grundproblem d. Philosophie bei Kant u. Kierkegaard (Zw. d. Zeiten 1924).
Th. Haecker: S. Kierkegaard (Hochland 1924—25).
A. Gemmer: S. Kierkegaard, sein Leben u. sein Werk, 1923.
T. Bohlin: S. Kierkegaards Leben und Werden, 1925.
M. Trust: Das Marionettentheater S. Kierkegaards (Zeitw. 1925).
H. Barth: Kierkegaard, der Denker. München 1926.
K. Löwith: Das Individuum in der Rolle des Mitmenschen, München, 1928.
A. Vetter: Frömmigket als Leidenschaft, 1928.
R. Dollinger: Das Existentielle bei Kierkegaard. (Die Furche) 1929.
G. Jacob: Der Geistbegriff bei Gogarten u. Kierkegaard (Christl. Welt 1928).
G. Diem: Philosophie und Christentum bei S. Kierkegaard, 1929.
W. Ruttenbeck: S. Kierkegaard, Der christliche Denker und sein Werk, Berlin 1929.
Fuglsand-Dangaard: Pascal et Kirkegaard Revue d'Histoire et de Philosophie religieuse, maj 1930.
Käte Nadler: Der dialektsiche Wiederspruch und das Paradox des Christentums, Leipzig, 1930.
Hirsch: Kierkegaard-Studien, Bertelsmann, Gütersloh, 1930.
Trust: Kierkegaard, der Dichter des Religiösen, München 1931.
Haecker: Der Begriff der Wahrheit bei Kierkegaard, Brenner, 1932
Fr. Fischer: Die Nullpunkt-Existenz, dargestellt an der Lebensform S. Kierkegaards, München 1933.
Geismar: La personalité de Kierkegaard, Revue de Metapsychique, 1923.
Löwith: Kierkegaard u. Nietsche, Frankfurt 1933.
Wiesengrund: — Adorno: Kierkegaards Konstruktion des Aesthetischen, Tübingen, 1933.
Tisseau: L'Adolphe de B. Constant et la Répétition de Kierkegaard, (Revue de Littérature comparée, avril 1933.
Tisseau: La confession de Mussat et son influence sur le Banquet de Kierkegaard. (Revue de litterature comparée, lipiec 1934).
Meerpohl: Die Verzweiflung als metaphysisches Phänomen u. die Philosophie S. Kierkegaards. Würzburg 1934.
Bespalof: La répétation, Revue de Philosophie, 1934.

Löwith: L'achévement de la philosophie, Recherches philosophiques, 1934.
Kütemeyer: Kierkegaard, der Einzelne u. die Kirche. Kierkegaard über Luther und Protestantismus, Berlin 1934.
Carl Koch: Sören Kierkegaard, trad, par Nicolet, Paris 1934.
Conger: Kierkegaard et Luther, (La vie intelectuelle, 1934).
Bespalof: Crainte et tremblement, Revue Philosophique.
Lis. Richter: Der Begriff der Subjektivität bei Kierkegard. Würzburg 1934.
Lowtzki: Kierkegaard, Wien 1935.
Dempf: Kierkegaards Folgen, 1935.
Saurat: Kierkegaard, Marsyns, listopad 1935.
J. Segond: Compte rendu du Crainte et tremblement, (Les Ètudes philosophiques, 1935, str. 163.
Press: A propos de Kierkegaard (Revue d'Histoire et de philosophie religieuse, 1935.
R. Bastide: Kierkegaard et le christianisme social, (Le Christianisme social 1937).
L. Schuwer Un témoin de la vie intérieure, (Hippocrate, luty 1934).
Lavelle: L'individu et l'absolu (Le temps, 1936).
B. Fondane: La conscience malheureuse, Denoel et Steels 1936.
B. Fondane: Héraclite le Pauvre ou Nécessité de Kierkegaard (Cahiers du Sud 1936).
De Rougemont: Forme et transposition ou l'acte selon Kierkegaard (Hermes, styczeń 36).
De Rougemont: Kierkegaard en France (Nouvelle Revue de France 1936).
Chestow: Kierkegaard et la philosophie existentielle, Aubier, 1936.
Lowtzki: Kierkegaard. (Revue de Psychoanalyse, 1936).
Buber: Die Frage an den Einzelnen, Berlin 1936.
Fr. Lombardi: Kierkegaard, Firenze 1937.
J. Wahl: Ètudes Kierkegaarddiennes, Aubier 1938.
Regis Jolivet: Introduction á Kierkegaard, Ed. de Fontenelle, abbaye St. Wandrille 1926.
Regis Jolivet: L'existentialisme de Kierkegaard w L'existentialisme, Libr. Tequi, Paris 37.
Arnou R.: L'existentialisme á la manière de Kierkegaard. (Gregorianum, vol. 27. I. 1946).
H. Lefebvre: L'existentialisme, Paris 1946.
B. Suchodolski: O wielorakości i jedności egzystencjalizmu Przegl. (Fol. 1947).
Ks. Sawicki: S. Kierkegaard — Przegl. Powsz. 1948.
Kubisz J.: Nieznany myśliciel (S. Kierkegaard) Dziś i Jutro 1946.
Malewska H.: S. Kierkegaard, Znak 1946.

K. W. Zawodziński (Toruń)

DOŻYWOCIE FREDRY

ORYGINALNOŚĆ I POMIJANE WŁAŚCIWOŚCI KOMEDII

W odradzającym się od trzech lat życiu kulturalnym Polski wymieniona w tytule komedia Fredry kilkakrotnie stawała się aktualną. Jednym z pierwszych osiągnięć Teatru Wojska Polskiego po wojnie było wystawienie Dożywocia z takim sukcesem, iż zapadła słuszna decyzja umieszczenia go wśród reprezentacyjnych utworów sceny polskiej, przeznaczonych na jego występy zagraniczne. Niestety, o realizacji tego postanowienia jakoś nic stąd nie słychać. Ostatnio wznowiono znowu Dożywocie w Krakowie, nie wiem z jakim powodzeniem. Recenzja, która wpadła mi w ręce, pisana jest z tak widocznym brakiem odczucia zalet utworu, ze nie wydaje mi się miarodajnym także i sąd w niej wyrażony, o dzisiejszej formie Solskiego w roli Łatki, która należała niegdyś do czołowych w bogatym repertuarze sędziwego mistrza. Do najświeższych nowości rynku wydawniczego należy wydanie Dożywocia ze wstępem i objaśnieniami prof. Szweykowskiego (Biblioteka Arcydzieł Polskich i Obcych spółdzielni wyd. „Książka"). Punkt wyjścia głównej tezy prof. Szweykowskiego, o tendencji przeprowadzonej przez Fredrę w tym utworze jest związana z ujęciem jego jako „komedii obyczajowej", co jest jednym z moich wniosków, w przedstawionej poniżej pracy, napisanej podczas okupacji, w 1943 r. Powstała ona również jako wstęp do wydania komedii, dziś jednak, gdy do realizacji tego przedsięwzięcia przychodzi, okazała się konieczność wprowadzenia ze względów pedagogicznych, znacznych uproszczeń w wykładzie i odciążenia zbyt skomplikowanej w pierwszym rzucie problematyki. Z myślą, że istnieją czytelnicy dla których zaryzykowane tam pomysły będą posiadały jakąś wartość, choćby jako punkty wyjścia do dyskusji, ogłaszam znaczny fragment swojej pracy; część jej, dotycząca wersyfikacji Dożywocia została już poprzednio ogłoszona w łódzkim czasopiśmie „Zagadnienie Literackie" (styczeń — luty 1946), niestety, z licznymi błędami, których sprostowanie znajdzie czytelnik w następnym zeszycie tego pisma.

I. Dożywocie w chronologii utworów Fredry

Dożywocie, wystawione po raz pierwszy we Lwowie 12 czerwca 1835 r. powstało zdaniem Eugeniusza Kucharskiego, umotywowanem w jego rozprawie, poświęconej szczegółowej chronologii komedyj Fredry na krótko przed tem. Data 1829 w dochowanym autografie, poprawiona w ostatecznej redakcji na 1835 jako „pierwszy rok golizny" Leona — nie ma, zdaniem tegoż uczonego fredrologa, większego znaczenia; praca nad tą komedią w 1829 r. sprzeciwiałaby się zresztą zauważonemu przez niego „prawu": kolejnego następstwa w twórczości naszego wielkiego komediopisarza okresów jej intensywności i zupełnego zaniedbywania pióra. Tak więc wszystkie komedie przez Fredrę w okresie publikowania jego dzieł, od Pana Geldhaba zaczynając, zostały napisane w latach: 1818 — 1823, 1825 — 1827 i 1832 — 1835. Po każdym takim napięciu energii twórczej następował jej upadek, „wakacje pisarskie", „hiatus", jak mówi Kucharski, po „latach płodnych", „lata głodne", w których powstają tylko jakieś drobnostki w rodzaju sztuki konwersacyjnej Koncert, lub drobne wiersze. Trudno w istocie przypuścić, że na taki czteroletni „hiatus" pisar-

ski 1828 — 1831 przypada Dożywocie, utwór tak polotny, pisany jakby jednem pociągnięciem pióra, z jego werwą, łatwością stylu, która u Fredry, nie lubiącego ani przerabiać z gruntu, ani zbytnio oszlifowywać swych dzieł, nie może być rezultatem długotrwałego wysiłku, podjętego w myśl przyświecającego innym pisarzom celu, „by swym własnym potem zaoszczędzić potu czytelnikowi". Utwór taki nie mógł powstać invita Minerva, za cenę przymusu, w okresie wyschnięcia weny pisarskiej lub zmęczenia talentu.

Pod tym względem Dożywocie nie wydaje się w najmniejszym stopniu „pracą wypoczynkową", wbrew określeniu jednego z komentatorów. Jest natomiast rzeczą powszechnie znaną, nie tylko w odniesieniu do Fredry, jeśli chodzi o psychologię twórczości, a nawet w ogóle pracy, wymagającej odpowiedniego usposobienia i dyspozycji nerwów, że w chwili napięcia energii człowiek może zdobyć się na wysiłek płodniejszy w rezultaty (mimo, że krótkotrwały) — niż w okresie upadku duchowych sił produkcyjnych choćby w materialnym czasie znacznie bardziej rozciągłym. Wynika stąd, w braku dowodów przeciwnych (aczkolwiek, pomimo wyjaśnień E. Kucharskiego, data 1829 autografu zawsze jest niepokojąca i wymaga dodatkowego wytłumaczenia), że Dożywocie, najpóźniej wystawione ze wszystkich opublikowanych za życia utworów Fredry i wydrukowane w ostatnim, V tomie zbioru tych dzieł, razem z Zemstą, jest istotnie ostatnią ze wszystkich komedii Fredry przed „złamaniem pióra" napisanych, tym samym rozpędem twórczym, co o rok wcześniej wystawiona Zemsta, dwa lata wcześniej ostatecznie wykończone Śluby, jeszcze rok przedtem wystawiony Pan Jowialski.

Kucharski, biorąc również pod uwagę Ciotunię, mniej popularną i dość tajemniczą w niektórych szczegółach treści, stwierdza, że „w omawianym okresie... talent Fredry osiąga pełnię swej dojrzałości... Wielkiemi i płodnymi można zaiste nazwać te lata jego autorskiego żywota, skoro za najsłabszą z komedyj tego okresu trzeba poczytać dopiero... Pana Jowialskiego". Tak pisze specjalny ostatnio wymienionej komedii miłośnik: stąd możemy wnioskować o wartości innych i uważać za rzecz pewną, że talent czterdziestoletniego wówczas pisarza jest w tych latach nietylko w pełni dojrzałości, lecz, że jego linia rozwoju wznosi się nieustannie, aż do chwili nagłego przerwania działalności pisarskiej pod wpływem okoliczności zewnętrznej. Jest to więc nietylko ostatnie w serii jego utworów do zamilknięcia napisanych, ale zarazem, tak à priori możemy sądzić, szczytowe osiągnięcie jego talentu przed „złamaniem pióra", tym bardziej nie przewyższone przez żadną z komedii pośmiertnych, z których nawet Wielki człowiek do małych interesów wraz z Panem Benetem nie zapewniłyby autorowi miejsca w czołowym szeregu komediopisarzy polskich, zajętego przezeń od Pana Geldhaba i do dziś dnia nie kwestionowanego.

II. Fluktuacje renomy

Wśród najrozmaitszych równoczesnych i po sobie kolejno następujących ocen wybitnego pisarza lub dzieła, które przetrwało jednodniową popularność, i do którego wracają potomni, można zdaje się znaleźć ocenę najbardziej miarodajną, najwięcej odpowiadającą obiektywizmowi, tak pożądanemu w historii literatury. Stanowisko to ustala się na pewien dłuższy lub krótszy okres czasu,

gdy po opadnięciu nadmiernych entuzjazmów, po uspokojeniu się osobistych animozji, po złagodzeniu ostrej w poprzedzającym momencie walki między „ojcami a dziećmi", po kilku zmianach smaku, gdy odejdzie w przeszłość i ten, który nas odstręczał od wczorajszej mody, od zachwycających tak niedawno szmatek, jeszcze nie oddanych do muzeum, wiszących tymczasem w rupieciarni lub na ramionach nędzarza. Można obliczyć, że moment krystalizacji takiego obiektywnego sądu o dziele lub pisarzu następuje po upływie mniejwięcej pół wieku. Zatarła się już do tego czasu sprzeczność pomiędzy dwoma następującymi po sobie pokoleniami literackiemi, i synowie nabrali już pobłażliwości w swym negatywnym stosunku do ojców; doszło do głosu następne pokolenie, pokolenie wnuków, w myśl tejżesamej zasady przeciwstawiające się swym ojcom, a nawracając do dziadów (Norwidowe: „syn minie pismo lecz ty spomnisz, wnuku!"); okres to jednak nie za długi, by nie pozostali i nie mogli zabrać jeszcze głosu współcześni autora i dzieła, rozumiejący istotne jego znaczenie na tle rowieśnej mu produkcji literackiej. Obecność tych autentycznych świadków jest konieczna, aby miarkować zapędy entuzjazmu i zbyt bujnej pomysłowość późniejszych komentatorów, gdyż jest rzeczą oczywistą i sprawdzoną na kilku jaskrawych przykładach, że przy odpowiedniej pomysłowości Pana Geldhaba można przedstawić jako nowego Fausta, a Damy i Huzary wyłożyć jako bolesną satyrę na militaryzm. Czego bowiem nie wypisano o Hamlecie lub o Don Kiszocie po dwustu latach od powstania tych arcydzieł, korzystając z nieobecności żywych świadków; którzyby mogli zaświadczyć, iż w ich rozumieniu, a więc pewno i w świadomej tendencji autorów tej sensacyjnej hstorii królewicza duńskiego lub tego dowcipnego persyflażu romansów rycerskich, nie powstały nigdy skojarzenia jakie znalazła w nich egzegeza potomnych, choćby, jak się to ma w odniesieniu do obydwóch utworów, świadczyła ona o ich wewnętrznym bogactwie, dając jednocześnie miarę twórczej inwencji esseistów, obciążających te dzieła symbolicznym znaczeniem, charakteryzującym styl myślenia czasów, w których te ujęcia się zrodziły.

Tak więc równoczesna aktywność na polu krytyki literackiej przynajmniej trzech pokoleń [1]) (jakby przez analogię do dialektycznej trójki: tezy, antytezy, syntezy) jest momentem odpowiednim do wypośrodkowania sądu najbardziej miarodajnego narzucającego się obiektywnemu historykowi literatury, oczywiście przy zachowaniu innych warunków np.: nieprzerwanego żadnym kataklizmem życia kulturalnego, znalezienia bystrego umysłu do wyprowadzenia syntezy itd. My w tej chwili jesteśmy lub zbliżamy się do momentu, w którym może być wydany najsprawiedliwszy sąd o spuściźnie „Młodej Polski", już spopularyzowanej przez dwa po sobie następujące pokolenia. Ósme dziesięciolecie ubiegłego stulecia było momentem równie dogodnym dla sprawiedliwego ustosunkowania się względem utworów Fredry, przynajmniej powstałych do 1935 r. („pośmiertnych" bowiem żyjącego jeszcze i ukrywającego je autora, nie znano), gdy Tarnowski, przedstawiciel w stosunku do niego trzeciego pokolenia, jako krytyk epoki pozytywizmu [2]), życzliwiej usposobiony do

---

[1]) Pamiętając jednak o rozciągliwości pojęcia „pokolenie literaturze".

[2]) O czem się zwykle zapomina. St. Tarnowski, tkwiący w pamięci ogółu przedewszystkiem jako późniejszy filar konserwatyzmu galicyjskiego, jest przecie w dniach młodości powstańcem, bratem Juliusza poległego w tym rewolucyjnym bądźcobądź ruchu; potem publicystą z pod sztandaru rozsądku, boć ruch stańczykowski był jedną

klasyków" niż do rozwichrzeń romantycznych, wygłaszał swoje odczyty, znakomite nietylko podbijającym do dziś dnia urokiem doskonałej prozy polskiej, ale i trafnością sądu urodzonego krytyka we wszystkich znaczeniach: rozumnego i subtelnego czytelnika raczej, niż uczonego badacza literatury.

Miarę przenikliwości, czy wnikliwości krytycznej daje poruszenie, a przynajmniej napomknienie czy przeczucie wszystkich problematów, rozwijanych pół wieku później w najrozmaitszych „obrachunkach" fredrowskich i w efektownych, a niespodziewanych oświetleniach utworu naszego komediopisarza promieniami najnowszej psychologii, czy też najbardziej irrewencyjnego sądu o przeszłości. Czy gdy chodzi o Pana Jowialskiego, czy Męża i żonę, u Tarnowskiego wszystko jest powiedziane, bez upraszczania zawiłości, bez banalizowania drastyczności, bez zamykania oczu na przykre sprawy, a z naśladowania godnym umiarem zdrowego rozsądku w rozstrzyganiu trudności. Sąd o kolejno rozpatrywanych utworach Fredry jest, mimo przyjaznych stosunków z żyjącym jeszcze autorem, daleki od panegiryzmu i bardzo wielka skala różnic między komediami pod względem artystycznym — bez ogródek naznaczona. Hierarchia tych wartości przyjęła się naogół u późniejszych historyków literatury i monografistów Fredry, a jeżeli gdzie została, jak zobaczyć my, zmieniona, to bez istotnych racji, i spodziewać się można, że potomność raczej powróci do sądów Tarnowskiego.

Jeśli chodzi o Dożywocie, ocena jego jest bardzo pochlebna. Jest ono zaliczone do „tych czterech wielkich komedii (razem z Jowialskim, z Zemstą i Ślubami panieńskiemi, którym z dawniejszych jedna tylko jest równa Mąż i Żona". Prawda, natychmiast następuje zastrzeżenie: (jest dziełem) „najmniejszem i najmniej znaczącem, a najobfitszem w błędy"; ale te ostatnie wyrazy tłomaczą się „nieprawdopodobieństwem założenia": a poprzedzające wynikają prawdopodobnie z braku w tej komedii tych walorów społecznych, patriotycznych (cechujących Zemstę, a w formie satyry ukrytych rzekomo w Jowialskim), czy ogólnoludzko-psychologicznych, których Tarnowski wraz z wielu swymi następcami dopatruje się w Ślubach. Jak widzimy, źródła tych zastrzeżeń leżą poza dziedziną czysto artystycznej oceny, dla której, jak zobaczymy później np. nieprawdopodobieństwo założenia może być raczej dodatnim czynnikiem, wzmagającym fantastyczną werwę utworu. To też, po wypowiedzeniu zastrzeżeń, Tarnowski stwierdza, „że może w żadnej innej komedii dowcip Fredry nie jest tak błyszczącym, tak niewyczerpanym w sytuacje wielkiego komicznego efektu i w koncepta, w słowa i zwroty nieprzewidziane a klasyczne... Co do figur... są jedna w drugą znakomite... na figurze głównej, która jest osią akcji, uwydatnia się wyraźnie wielki talent dramatyczny Fredry, dar stopniowania sytuacji coraz bardziej zajmujących, efektowych, coraz komiczniejszych. Jego pierwsza scena z Filipem jest doskonałą ekspozycją jego własnego charatkeru i sztuki... ostatnia scena, w której Łatka oddać chce Leona sądowi i pod straż, potem mu prawi o powabach świata

z najważniejszych i najodważniejszych reakcji antyromantycznych. Nawet arystokratyzm hrabiego Tarnowskiego jest tak zakryty surowym i patryotycznym sądem o własnej sferze, wypowiadanym przy nadarzającej się okazji, że i cechy demokratyzmu, właściwej wszechstanowym bojownikom pozytywizmu nie można odmówić temu potomkowi magnatów.

i życia, potem o Bogu i zbawieniu duszy, jest punktem kulminacyjnym roli, najbardziej efektowym ze wszystkich komicznych efektów, bukietem, który godnie kończy ten świetny fajerwerk dowcipu"... Wysokość tej oceny uwydatnia bezpośrednio po niej następujący sąd o Panu Jowialskim, któremu odmawia zasadniczych zalet artystycznych („zła komedia... pozbawiona dramatycznego węzła i zajęcia; to co je zastępuje to uszłoby ledwie w komedii dla dzieci, ludzie niemożliwi, jakich nigdzie niema..."), w czem innem dopatrując się jej znaczenia i głębi.

W ciągu następującego półwiecza ocena Dożywocia ulega powolnej ale dającej się niewątpliwie na tej przestrzeni czasu zauważyć zniżce. Wciąż jeszcze zaliczana do kanonu największych dzieł naszego komediopisarza, omawiana jest jednak coraz krócej, coraz pobieżniej, i ta szczupłość miejsca jej poświęconego np. w książce Ignacego Chrzanowskiego, sama starczy za znak lekceważenia, pomimo pochwał w tekście. Stanowisko to już bez ogródek zajmuje Stanisław Windakiewicz, stwierdzając mimochodem jako sprawę przeszłości, że „komedia ta niegdyś się bardzo podobała...", że „uchodziła długo za dzieło pierwszorzędne", podczas gdy „nie jest to studium zasadniczej wady natury ludzkiej, ale polotna komedia na temat śmiesznej czułości lichwiarza o zdrowie ofiary... Komizm niższego rzędu, właściwy raczej farsie...". Ale najbardziej deprecjonuje utwór w oczach uczonego badacza porównanie z jego pierwowzorem, jakim ma być rzekomo Skąpiec Moliera.

Co jednak jeszcze bardziej zadziwia niż omylne być może sądy estetyczne polonistów, to równoległy spadek popularności utworu u szerokiej publiczności teatralnej: rola Łatki, jedna z najgenjalniejszych kreacji największego być może aktora polskiego wszystkich czasów — Solskiego, zaszczytnie wyróżniona w jego repertuarze, nie mogła go skłonić do więcej jak jednokrotnej próby wznowienia tej sztuki za czasów dyrygowania Teatrem Narodowym, próby nie uwieńczonej widać dość długą serią przedstawień „kasowych", bo sztukę wkrótce zdjęto z repertuaru. Dlaczego, skąd ta oziębłość publiczności szukającej gdzieindziej tylko śmiechu, którego tyle w najprzedniejszym gatunku dostarcza Dożywocie, trudno odpowiedzieć: habent sua fata comoediae".

III. Oryginalność Dożywocia i stosunek do Skąpca Moliera

Jeśli jednak chodzi o polonistów, to walną przyczyną ich lekceważenia jest przekonanie o nieoryginalności Dożywocia: w najgrubszej formie powiedziawszy, ma ono być spolszczeniem Skąpca. Tarnowski już napomyka o podobieństwie: „Łatka jest bratem, może nawet bliźniakiem Harpagona, ale nie jest kopią. Pierwszeństwa zapewne musi mu ustąpić, jako starszemu; ale oprócz tej różnicy wieku, czy jest gdzie w literaturze dramatycznej świata figura im równa, którąby mogła być godnie in diesem Bunde die dritte?" Tarnowski nie chciał pewno nic więcej powiedzieć, możemy ufać pięknej otwartości jego sądu, ale mimowoli rzucił ziarno zwątpienia w duszę niejednego swego ucznia lub czytelnika. Wśród jego następców, w epoce mody na studia genetyczne i porównawcze, wskazane przez niego podobieństwo traktowane było poprostu jako zależność, chociaż przeważnie sub rosa, w towarzyrzyszeniu komplementów dla naszego komediopisarza. Nawet tak przenikliwy i niezależny krytyk, jak Boy-Żeleński, twierdzi że „odnajdujemy Skąpca

w *D o ż y w o c i u*... dowodem geniuszu naszego pisarza, iż, podjąwszy ten temat po Molierze potrafił go spożytkować tak oryginalnie i z taką świeżością". Najdobitniej i najbardziej otwarcie stanowisko to zajął Windakiewicz, traktując *D o ż y w o c i e* jako płód „pracy wypoczynkowej", gdy „po szczytowym wysiłku umysłu... dla wytchnienia zwrócił się (Fredro) do ulubionych studiów nad Molierem... W ten sposób z powszechnie znanej i wysoce cenionej sztuki Moliera... powstało *D o ż y w o c i e*... Z wszystkich sztuk Fredry najbardziej pewną oznaczoną komedię mistrza przypomina".

1. Rzekome podobieństwa.

Na czem polegają rysy podobieństwa? Sam Windakiewicz stwierdza, że Łatka „nie jest tradycyjnym typem skąpca jak Harpagon Moliera. Z praktyk lichwiarskich pierwowzoru zachował tylko jeden rys: lubi czerpać z swego magazynu zastawniczego i zbytecznemi fantami obdarzać dłużników. Ale to byłby jeszcze bardzo nikły dowód zależności", śpieszy jednak dorzucić uczony badacz. „Ważniejszą jest okoliczność, że Łatka, jak Harpagon, myśli się żenić (nie jest to chyba nikomu, kto jest kawalerem lub wdowcem, choćby nawet zajmował się lichwą, wzbronione. Uwaga moja) i narzeczonej przy pierwszym poznaniu ofiaruje kosztowną obrączkę (powszechnym obyczajem zaręczynowym. Uwaga moja), jak równie czyni syn Harpagona w imieniu ojca, starając się pozyskać względy narzeczonej dla siebie. (Ofiaruje pierścień wbrew woli ojca, podczas gdy Łatka natarczywie wpycha swój dar wybrance serca; oto chyba uderzająca różnica! charakterystyka Moliera kładzie jeszcze raz akcent na skąpstwo, podczas gdy Fredro maluje raczej małomieszczańskie i dorobkiewiczowskie maniery swego bohatera. Uwaga moja). Ta druga zbieżność byłaby silniejszą poszlaką... ale jest jeszcze trzeci dowód zależności... Łatka tę wielce pożądaną i umyślnie do siebie sprowadzoną narzeczoną odstępuje z gotowością osobie trzeciej, byleby nie ponieść szkody materialnej, jak także czyni u Moliera bohater tytułowy, chcąc odzyskać skradzioną szkatułkę". Istotnie jest to poważny rys podobieństwa, zaczerpnięty niewątpliwie, przynajmniej przez Moliera, od wspólnego ojca tego pomysłu, Plauta, jeśli już jesteśmy przy podobieństwach, to i nastrojem ogólnym i charakterystyką bohatera, *D o ż y w o c i e* bliższe jest plautowskiej *A u l u r a r i i* niż *S k ą p c a* Moliera; ale dawność tradycji zrobiła z tego pomysłu poniekąd dobro niczyje, szablon nasuwający się w momencie potrzeby komediopisarzowi, jeśli mając do czynienia z bohaterem, przywiązanym do materialnych dóbr świata, chce uzasadnić, bez odcienia tragizmu, jego rezygnację z projektów matrymonialnych, które, w myśl równie obowiązującego szablonu, powinny ustąpić miejsca szczęśliwemu połączeniu się młodej pary, „tryumfowi młodości", jak to, nieco przesadnie obciążając rzecz filozoficznem znaczeniem, krytyka podnosi za każdym razem u Moliera.

2. Różnice

W przeciwstawieniu do tych niezbyt licznych, a mało znaczących analogji, różnice nasuwające się przy porównaniu, tak utworów w całości, jak i naczelnych bohaterów, są bardzo uderzające. Rejestruje ich wiele już sam Windakiewicz.

Zaczyna się od różnic między Harpagonem i Łatką, podkreślając acz niedostatecznie, dystans szczebla społecznego oraz odmienność pola oddziaływania ich przywar, w pierwszym — dom własny przede wszystkim i tyranizowana rodzina, w drugim — przypadkowe środowisko hotelowe. Podnosi u Łatki, który, słusznem zdaniem jego, „nie jest doskonałym wyobrazicielem skąpstwa, jako jednej z podstawowych przywar natury ludzkiej". „komizm ustawicznych zabiegów koło... Leona", słowem, komizm akcji i sytuacji. Dalej zwraca uwagę na podział efektów komicznych u Fredry między głównego bohatera, a takich nieocenionych komparsów jak Twardosz, Lagenowie, „figury z nowszego życia wzięte i prawdopodobnie lekturą Goldoniego nasunięte". „W tym obrazie stosunków, które zarysy komedji moljerowskiej zupełnie zmieniły" pozostał, zdaniem Windakiewicza, jeden rys zdradzający niewątpliwie pochodzenie Dożywocia, i tu jeszcze raz podkreślona zostaje analogia w planach matrymonialnych obu protagonistów. Stwierdza zresztą dalej słynny specjalista od genetyki, że „w sztuce polskiej o studium skąpstwa nie chodziło. Fredrę bawiły bardziej komiczne troski Łatki i bezmyślne hulanki Birbanckiego... [Fredro] nie był... zwolennikiem studiów nad odwiecznemi typami charakterów ludzkich... był twórcą lekkich i wesołych komedyj z życia obywatelstwa polskiego i na taką komedię Skąpca przetworzył... nigdy [mu] o współzawodnictwo z Molierem nie chodziło... [w Dożywociu] mamy przemianę wykończonego przez Moliera typu obyczajowego na polski miejscowy typ lichwiarza z prowincji...".

Widzimy więc, że zarejestrowane różnice odnoszą się i do bohaterów i do typu literackiego utworów; są dość liczne, można je wszakże i pomnożyć i uplastycznić, aż się ukaże całkowita illuzoryczność rzekomych dowodów zależności.

a) Harpagon a Łatka

Podobieństwo ich jest kaimeniem węgielnym całego wywodu genetycznego; ale czy jest ono tak wielkie? Obaj skąpcy, choć i to nie tak pewne, chyba, żebyśmy określenia tego używali w dość szerokim sensie, „grzechu głównego łakomstwa" na określenie zarówno chciwego, człowieka przywiązanego do pieniędzy, starającego się ze zbić na jakiejkolwiek drodze, jak i przesadnie oszczędnego, starającego się zachować je unikaniem wydatków, więc wykorzystaniem jaknajskromniejszem każdego okrucha posiadanych jak najdłużej wszelkich zapasów materiałowych, sprzętów etc. Harpagon jest dość wszechstronnie, odpowiednio do całej zawartości wyżej podanej pojęcia „skąpiec", oświetlony, ale Łatka? Wiemy, że jest napewno jak i Harpagon lichwiarzem, ale widywało się przecież rozrzutnych lichwiarzy, a natomiast „skąpców" w węższem znaczeniu, nie pożyczających na procenty, i wogóle, poza swoją przywarą, ludzi zupełnie przyzwoitych. Chyba że przywara ta jest posunięta do manii, do natężenia namiętności psychopatalogicznej, tak jak jest u Harpagona: wszakże to wielki pan — otoczenie licznej służby, konie (choćby okradane własnoręcznie z owsa) w Paryżu i karoca, która w owych czasach była nie tylko oznaką zamożności ale i przywilejem stanu — a przecież zajmuje się potajemnie lichwą z namiętności, z manjactwa, chciwości i skąpstwa zarazem, traktując ją jakby „sztukę dla sztuki". Podobno Molier miał przed oczyma rzeczywiste wzory, których nazwiska wymieniano: „scena ojca lichwiarza znajdującego klienta w swym synu utracjuszu była... autentyczna: aktorami jej mieli być prezy-

dent de Bersy i jego syn" (Boy-Żeleński we wstępie do Skąpca w wyd. B. N.). Trzeba zaznaczyć, że scena ta jest jedną z tych wynikłości psychozy Harpagona, któremi komedia ociera się o tragedię; a jak zasadniczą, to widać z tego, że jeden z najdalszych przeobrazicieli sztuki Moliera, Puszkin, zachowuje ten motyw w swej tak odmiennej pod każdym względem „małej tragedii" Skąpy Rycerz.

Otóż bez tego tragicznego konfliktu obywa się Dożywocie. Pomimo że Łatka nie śmieje się, lecz martwi przez cały czas akcji, śmiejemy się z trosk jego niewymuszonym niezmąconym żadną odrazą do psychozy śmiechem, nie wyczuwając w nich nic tragicznego „Łatka Fredry, to jeden z najbardziej uroczych tworów jego fantazji, w której nawet ta najsuchsza, najwstrętniejsza z przywar przybiera kształt jakiegoś niewinnego, poetycznego niemal szaleństwa". (Boy-Żeleński l. c.). Kto widział obie role w interpretacji tego samego genialnego aktora, ten mógł podziwiać olbrzymi dystans jaki stworzyła intuicja Solskiego w pojmowaniu tych znakomitych postaci.

Ciężko przychodzi nam uśmiech na widok psychopaty, choćby znajdującego się w sytuacjach (niezależnie od jakości jego przeżyć) komicznych; z Łatki śmiejemy się beztrosko, choć przy refleksji niejedno w jego położeniu zasługiwałoby raczej na nasze współczucie. Cech „skąpstwa" w węższem znaczeniu znajdujemy w nim niewiele; oszczędzanie na wotach, napiwkach — to raczej rysy meskinerji małomieszczańskiej szanującego grosz dorobkiewicza; przeciwnie, gdzie trzeba, wydaje Łatka bez wahania, na lekarza i lekarstwa np.: w jego marzeniach matrymonialnych mamy zarys swoistego dobrobytu, a jeśli na wyprawę swej przyszłej żony chce zużyć własny skład fantów, zastawionych przez dłużników — to tylko rozumna praktyczność w gospodarowaniu zapasami. W gruncie rzeczy — to ubogi prawdopodobnie z pochodzenia człeczyna, ciułacz, który dąży do oprocentowania swych ciężko zdobytych pieniędzy („to za moje koszta, znoje"), chciwy, ale znów nie tak bardzo ponad normę, łyk, taki sam jak dziś każdy prosperujący sklepikarz, każdy dorabiający się kmieć. Uprawia lichwę — ale, przy staroświeckich poglądach na sprawy finansowe, to pojęcie wymaga jeszcze analizy: gdy bowem wszelki procent był zakazany przez etykę chrześcijańską, za lichwiarza mógł ujść każdy, kto w czasach rozkwitającego kapitalizmu zajmował szanowne stanowisko w świecie finansów i bankowości [1]). W epoce dzieciństwa gospodarki pieniężnej, lichwa dla Łatki jest najdostępniejszą, doraźną formą produkcyjnego użycia kapi-

[1]) W owych czasach w Polsce, wobec nieistnienia pewnych, na społecznych zasadach opartych banków, kto nie chciał pieniędzy trzymać w pończosze, lub zakopywać w garnku pod starą gruszą, lokował u wielkich panów, jeśli miał z nimi stosunki i jeśli był rolnikiem, by móc wyzyskać otrzymany niekiedy w takim wypadku zastaw — ziemię oddaną mu w dzierżawę. Współczesna prawie Dożywociu, Latarnia Czarnoksięska Kraszewskiego pokazuje ilu drobniejszej szlachty padło ofiarą nieuczciwości „panów" i swego do nich zaufania. Co do prawnie zabezpieczonych i nie hańbiących potem form lichwy, możnaby przytoczyć działalność różnych spółek „pożyczkowo-oszczędnościowych", popularnych u nas, zwłaszcza przed pierwszą wojną światową, na terenie Kongresówki: po opłaceniu „wpisowego", „udziału", procentów z góry, potrąceń na koszty itp., podpisujący obligę na 500 rubli otrzymywał jakie 250 gotowego grosza, na tak krótki termin, że po jego upływie musiał znowu na zapłacenie tego długu powtarzać operację, powiększając zobowiązanie nowemi procentami (od płacenia udziału i wpisowego był już oczywiście zwolniony).

tału. Na spekulacji z dożywociem wychodzi źle: zapłacił, sądząc z cyfr wymienianych przy licytacji in minus z Twardoszem, ostatnie ustępstwo Łatki na 50 tys.) — jakie 30—40 tysięcy, przy maksymalnym dochodzie rocznym (przecież Birbancki, sądząc z jego otoczenia i poułałych stosunków ze szlachciurą Orgonem, nie należy do sfery magnatów) jakichś 12 do 15, jeśli nie wielokrotnie mniej; ostatecznie wróciłoby mu się po kilku latach, ale sztuka, jak się domyślamy, przedstawia sytuację krótko po zawarciu tranzakcji, najwyżej bowiem przez parę miesięcy mogło trwać incognito „Sylfidy". Że wychodzi źle — nic dziwnego: to nerwowiec, typ raczej czułego, miękkiego uczuciowego człowieka — nie wszystko w jego manierach musi być obłudą, zresztą człowiek, udając ciągle, przejmuje się swoją rolą i jest nawpół szczery. To nie Twardosz, który na pogróżki odpowiedziałby „strzelaj się", lub drewnianem milczeniem — i wygrałby sprawę; Twardosz, to dopiero jest typ lichwiarza z natury i powołania, takiego, który naprawdę jest groźnym kontrahentem poszukującego pieniędzy człowieka. Łatkę, zwanego „przyjacielem młodzieży" widzimy całego w jego działalności na podstawie sprezentowanego w komedii przykładu i wiemy ile słuszności jest w tem ironicznem przezwisku; widzimy go wieszającego się przy pijackich kompanjach, aby przy sposobności popić i przyżreć, a pożyczającego z moralizowaniem, ze wzdychaniem nad utracjuszostwem hulaków, pieszczotliwie po imieniu nazywanych i nad swoją ofiarną gotowością dzielenia się „ostatnim groszem".

b) Dożywocie a Skąpiec: „komedia intrygi" a „komedia charakteru" par excellence

Łatka na dożywociu robi zły interes. Jest to nieudana spekulacja, i jako taka, niezależnie od tego czy robi ją skąpiec, czy kto inny, zawiera w sobie element komizmu, w formie najprostszej: mijanie się z celem. Spudłowałem do zwierzyny; skacząc przez rów wpadłem, do rowu: otoczenie się śmieje. „Znalazłem się w śmiesznej sytuacji, wsiąkłem" powie sam o sobie rozsądny, poza tym i przyzwoity człowiek, który np. kupił tanio majątek, wymagający ciągłych wkładów, o wiele przenoszących dochody, lub kamienicę, grożącą zawaleniem się bez natychmiastowego, może przewyższającego cenę sprzedażną, remontu. Nie trzeba być skąpcem, żeby się martwić w takim położeniu: nikt, kto zaczyna interes, nie chce na nim stracić!! Ale Fredro chciał wyzyskać do dna komizm tej sytuacji i podmiotem takich zmartwień uczynił człowieka szanującego nad miarę może, swoje uciułane grosze.

Oderwany schemat nieudanej spekulacji wypełnił poeta konkretną treścią — historią dożywocia kupionego przez lichwiarza; możliwości sytuacyjne ukryte w tej specjalnie spekulacji, Fredro wydobywa z genialną pomysłowością, łącznie z tkwiącą w tej transakcji sposobnością do szantażu ze strony dożywotnika; Łatka uchwycony w kluby konsekwencji swego przedsięwzięcia, wije się jak piskorz, śmiesząc nas — w myśl najprostszych i najpewniejszych zasad komizmu — sprzecznością swych, wynikających z konieczności sytuacyjnych, czynów, sprzecznością ze swym charakterem i podstawowymi pobudkami działania. Zmuszony do troski o jak najdłuższe życie Leona, staje się jego opiekunem, więc z przysłowiowej „pijawki" i „złego ducha" młodego hulaki — jego czułym guwernerem, tajemniczym dobroczyńcą i aniołem stróżem. Każda ozna-

ka zdrowia i siły pupila, choćby odczuta na własnej skórze, przejmuje go radością, każdy objaw upadku jego sił fizycznych i moralnych wprawia w rozpacz tego, z założenia, nic nie mającego z altruizmu człowieka i jest przyczyną przesadnych alarmów. Zamknięty w tej paradoksalnej sytuacji z obawą utraty całości włożonego kapitału, popędzany jeszcze potem biczem szantażu ze strony ofiary własnego wyzysku, sam przechodzi od jednego, paradoksalnego z punktu widzenia zwykłej logiki życiowej, postępku do drugiego, jeszcze bardziej paradoksalnego: zamyka młodzieńca w pokoju sam na sam ze swoją własną narzeczoną, własną pierś wystawia na wszystkie grożące jego życiu niebezpieczeństwa...

Trudno dalej iść w zamknięciu błędnego koła; żeby się zeń wyrwać — a nie trzeba być skąpcem, by nie chcieć stracić wszystkich zaryzykowanych na spekulację pieniędzy, by pragnąć uratować coś niecoś — Łatka miota się w komicznych wysiłkach, komicznych dlatego, że odnosimy je do takiego właśnie jak on osobnika: byłby on tragiczny, i budziłby współczucie, gdyby nie małość i lichość, w które zaopatrzył go jego twórca, tem się od Stwórcy żywych ludzi na obraz i podobieństwo własne różniący, że twory jego fantazji są w swych najdoskonalszych egzemplarzach jakby jakieś istoty dwuwymiarowe, płaskie sylwetki genialnie wycięte z kartonu, a przecież ruchliwe i pełne swoistego życia; jeszcze lepiej — cudowne chińskie cienie. Nierealność, a zarazem cenną artystycznie swoistość ich życia uchwycił w świetnem ujęciu postaci Papkina E. Kucharski, niesłusznie tylko zaliczający go do „podludzi", więc istot niższych, gdy przeciwnie, unoszą się one raczej w nadziemskiej sferze ideału, w sferze czystej sztuki.

Ale o tem potem. Wracajmy do sytuacji, w której, jak w szczelnej klatce zamknięty miota się Łatka, a z której wyjść może tylko, w najlepszym razie, tracąc połowę kapitału, włożonego w ryzykowną spekulację, z dodatkiem narzeczonej na dokładkę, co — tradycyjnym sposobem komedii — urządza szczęście dwojga młodych. Trzeba przytem zauważyć, że tę daninę szablonowi intrygi komediowej Fredro potraktował tu arcy-pobieżnie i nawet nad swój zwyczaj dwuwymiarowo, a więc, minimalnym udziałem w całości budowy, nie obciąża ona jej oryginalności znaczniejszym udziałem elementów banalnych.

Intryga jest skonstruowana tak logicznie, z tak przekonywującą artystyczną prawdą, iż pojmuje ją bez wysiłku każdy widz lub czytelnik, utrzymywany w ciągłym napięciu zainteresowania poprzez umiejętne stopniowanie efektów, tak trafnie podkreślone przez Tarnowskiego w powyżej cytowanem studium. Przed tą artystyczną prawdą sytuacji muszą ustąpić względy prawdopodobieństwa realnego z punktu widzenia prawnego, które subtelnie i obszernie podważa Tarnowski na początku poświęconego tej komedji ustępu. Ale to nie ma znaczenia: wszak w żadnem ustawodawstwie współczesnem umowy niemoralne nie cieszą się opieką prawa, a ile świetnych facecyj jest na nich opartych, ile komedyj możnaby z nich wysnuć! Przecież nie tylko dziś, ale pewno i w sądach renesansowej Wenecji Shylock nie znalazłby forum dla swego powództwa, tak wielką rolę odgrywającego w kompozycji sławnego utworu Szekspira.

Intryga D o ż y w o c i a, jej doskonała budowa i olśniewający, paradoksalny dowcip pomysłu odgrywają tak wielką rolę w efekcie artystycznym całości,

że sztukę tę nazwać możemy „komedią intrygi" *par excellence*, nie stosując tego określenia w sensie nagannym zwyczajem niektórych krytyków, tych samych, którzy tytułu „komedia charakteru" używają jako najwyższego stopnia pochwały. Z pośród znakomitych komedii Fredry intryga tylko w *Dożywociu* odgrywa tak decydującą rolę. Jeśli ograniczymy pole porównania do wspomnianych na początku sądu Tarnowskiego o *Dożywociu* „czterech wielkich komedii" Fredry, czy nawet o *Zemście*, nawet jej miłośnik, który kilkakrotnie oglądał ją w najlepszej obsadzie, bez namysłu i przygotowania poda nam coś więcej z jej perypetii ponadto, że starzy kłócą się o mur graniczny, a młodzi kochają się, co sprowadza wreszcie powszechną zgodę. Subtelne walory kompozycyjne komedii, wydobywane przez krytykę, ujdą napewno jego uwadze, a to, co zapamiętał ostatecznie, wystarczy jako więź pysznych charakterystyk i zabawnych scen. Tak samo ze *Ślubami*: zapytajmy expromtu o ich intrygę — nie usłyszymy napewno nic ponad to, że panny przyrzekły sobie nie wychodzić zamąż, ale dzięki podstępowi Gucia muszą zdradzić się ze swymi uczuciami i złamać przyrzeczenie. O *Jowialskiego* nawet nie pytajmy: nawet jego lubownicy nie potrafią wskazać węzła akcji, która zresztą, zdaniem takiego kompetentnego i życzliwego krytyka, jak Tarnowski, świeci nieobecnością, a to, co ją zastępuje, „to uszłoby ledwie w komedii dla dzieci".

Jeśli od tego szczupłego materiału porównawczego przeniesiemy się z *Dożywociem* na szerokie pole literatury powszechnej, to i tak (gdy weźmiemy teatr zgrubsza jej współczesny, nie sięgając w porównaniach do nowszych prób oparcia efektu teatralnego na niezwykłym pomyśle) znajdziemy mało utworów trzymających się siłą własnej intrygi, obywających się bez sztucznych, ale tak konwencjonalnych i zwykłych, że aż niezauważalnych, podpórek szablonowej historii dwojga młodych zakochanych, napotykających przeszkody do połączenia się w śmiesznościach starych, właśnie przezwyciężanych w toku komedii. Bez takiej podpórki, gdzieindziej potrzebnej jak tyczka dla grochu lub chmielu, obywa się *Dożywocie*: Rózia zjawia się dopiero w połowie sztuki, nad uczuciem jej do Leona i wzajemnie niebardzo rozwodzi się autor, traktując całą tę historię jako jeden z epizodów, ukazujących konsekwencje spekulacji Łatki. Tak samo bez historii miłosnej — jeśli nie liczyć niepoważnych umizgów Chlestakowa po pijanemu, obywa się jedno z największych arcydzieł teatru rosyjskiego, a bodaj i europejskiego w XIX w., *Rewizor* Gogola, w którym również dowcip zasadniczego węzła akcji, obok satyrycznego obrazu prowincji rosyjskiej, wzdłuż tej akcji rozwijanego, odgrywa tak wielką rolę w całości efektu i donioslości artystycznej utworu; to też *Rewizor* wraz ze współczesnem mu prawie dokładnie *Dożywociem* (wystawiony po raz pierwszy 19. IV. 1836, gdy Dożywocie 12. VI. 1835) jest przykładem „komedii intrygi", jeśli taki typ utworów można wyodrębnić i przeciwstawić „komedii charakteru".

Tej ostatniej właśnie *Skąpiec* jest przykładem; i to tak klasycznym, że jako rzadki w swej czystości wzór tego typu komedii bez zawodu cytowany jest w każdym podręczniku teorii literatury, gdy o takim podziale rodzajów komedii jest mowa, mimo że nie uchodzi przecie ani za najlepsze, ani tembardziej za najoryginalniejsze dzieło twórczości Moliera, specjalisty jakoby od „komedii charakteru". A więc i pod tym względem nie zachodzi żadne podobieństwo pomiędzy temi utworami i, choćbyśmy zmartwili tych, którzy tytuł „komedii cha-

rakteru" uważają za wysoce zaszczytny komplement dla autora, Dożywocie nią nie jest: na tym punkcie możemy mówić raczej o przeciwstawności.

Trudno bezpiecznie przysięgać na zupełną niezależność Dożywocia od jakiegoś nieznanego nam wzoru z komedii XVIII w., gdy na tle spraw spadkowych powstało tyle znakomitych utworów i tyle zapomnianych już dziś ich naśladownictw, z których jedno mogło przypadkiem zainteresować Fredrę, bywalca teatrów i teatrzyków francuskich owoczesnych; przypadek może odsłonić nam źródło pomysłu w jakiejś dziś nigdy nie czytanej powieści lub noweli. Jeśli jednak chodzi o Skąpca, zależność Dożywocia od niego nie jest ani taka, jak Sarmatyzmu od jego pierwowzoru, którego jest genialnem spolszczeniem, ani takim, jak Balladyny od arcydzieł Szekspira, których motywy zostały skomponowane w fantastyczną mozaikę przez Słowackiego, ani takim nawet jak Pana Tadeusza od kilku powieści W. Scotta. Ostatni stosunek przedstawia analogię do stosunku Dożywocie — Skąpiec w tem, że niepodobieństwo jest wzmocnione przez użycie w polskich dziełach mowy wiązanej, co zresztą, przynać trzeba, mniejszą odgrywa rolę w utworze teatralnym, o wiele więcej obstawionym konwencjami, niż swobodny tok powieści, a tem samem mniej zmieniającym się od zastosowania jednej jeszcze konwencji — wiersza w przedstawieniu mowy żywych ludzi

IV. Role charakterystyczne i komedia obyczajowa

Właśnie żywa mowa osób działających, żywa w rzadko spotykanym stopniu i charakteryzująca wraz z akcją uczestników komedii — choćby to były epizodyczne, drugoplanowe sylwetki, stanowi jeden z najważniejszych walorów Dożywocia. Bo chociaż nie „komedia charakteru", jest ono, podobnie jak inne utwory Fredry polem, na którym rozwija się niezwykły jego talent [1]) w charakterystyce kilku rysami trafnie dobranemi sylwetek ożywionych twórczym jego tchnieniem. Brak w niej szablonowych obojętnych pod względem charakterologicznym osób. Wszystkie żyją specyficznym życiem dzięki wspaniałej charakterystyce choćby czasem jak to zobaczymy mijającej się może z intencją autora. Takie rozminięcia się można by wskazać przy przeglądzie osób działających zaczynając od najgłówniejszej od Łatki, tak przecie omnium consensu genialnie narysowanej [1]) — jeśli brać na serio pod uwagę epigraf motto komedii, jak zawsze wzięte z aforyzmów Andrzeja Maksymiliana Fredry, gdzie właśnie o skąpcu tylko mowa. Wiemy jednak, że motta te dobierał hrabia Aleksander przez pietyzm rodzinny, nie zawsze jednak zupełnie trafnie i nie zawsze wyrażając niemi całkowity swój zamiar autorski. Zauważa to Ign. Chrzanowski, słusznie zdumiony mottami Zemsty, Przyjaciół, Odludków i poety, poświęcając tej sprawie dłuższy ustęp swej książki: „dopiero po napisaniu... [Fredro] szukał stosownej dewizy; a jeżeli nie mógł znaleźć stosownej, poprzestawał na niestosownej". Tak i w stosunku do Łatki, jak już o tem była mowa, zbyt mało jest rysów podkreślających jego skąpstwo, w porównaniu

[1]) Rodzinny widać, gdyż brat jego, Maksymilian, był wybitnym ilustratorem o zacięciu karykaturzysty.

[1]) Prototyp dobrze musiał być przestudiowany za dni hulaszczej młodości przez Fredrę, który wyprowadza także w jednoaktówce Nikt mnie nie zna lichwiarza Łapkę; zwraca uwagę podobieństwo, niemal identyczność nazwisk.

do całej bogatej charaketrystyki jego oblicza duchowego. Uczuciowiec, syn wielkiego miasta, wzrosły w jego nerwowym ruchu, nie wśród uspakającej ciszy wiejskiej, ulegający wciąż zmiennym wrażeniom nerwowiec; jego gwałtowna i bogata gestykulacja zewnętrzna (w targach z Twardoszem np., lub w ostatniej scenie) i wewnętrzna (ujawniana w modulowanej nieustannie sprzecznemi afektami mowie, pełnej wykrzykników i przedrzeźniań, zaklęć i przekleństw, zdrobnień i hiperbol), zdradza w nim południowca — jakoż jest on przedstawicielem najbardziej południowego z wielkich miast Polski; przedstawicielem jego ludu, drobnomieszczaństwa, choć już dziś wzbogacony kamienicznik i „kapitalista". Pomimo długoletniego obcowania z hulaszczą złotą młodzieżą („przyjaciel młodzieży), obcy jest nie tylko jej choćby najskromniejszemu i najbardziej powierzchownemu polorowi umysłowemu (stąd też pewno nieraz ‚brany na fundusz", w takich żartach, jak z „Sylfidą"), jej wyobrażeniom o punkcie honoru i konwenansach światowych (jak się to pokazuje przy sposobności kompromitujących rewelacji w domach Lagenów), ale i całej jej epikurejsko-desperackiej postawie życiowej; przeciwnie — nie schodzący z gruntu moralności katechizmowej, wypowiadanej w formułkach zdawkowego, powierzchownego religianctwa, uzgodnionego z ubogą mądrością zdrowego rozsądku, i szczupłych, ale pewnych podstaw: wytycznych zasad filisterskiego rozumu. Zasady te, jak np. nieśmiertelne „szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie", są komiczne nie tylko w odniesieniu do osoby Łatki, ale i „jako takie" przez swoje sformułowanie i przez idealną płaskość treści, ubraną w solenną banalność — na równi, że znów poszukamy analogji w literaturze powszechnej, z maksymami prawie współczesnych fikcyjnych „pisarzy", uosobień literackich filisterstwa: Josepha Prudhomme'a i Koźmy Prutkowa. Tchnący pańszczyzną w manierach (np. w zalotach do Rózi), mizerny, zupełnym brakiem gestu hojności i poufaleniem się ze służbą (z którą np. nie gardzi dzielić się napiwkami), Łatka to skończony okaz „łyka", ten śmieszniejszy w swych specyficznych właściwościach w tamtej epoce, tak dla szlacheckiej przeważnie publiczności czytającej ówczesnej Polski, jak i dla arystokratycznego swego twórcy.

Przykładem jeszcze jaskrawszym mijającej się z intencją autora — a mimo to, lub raczej może wskutek tego, tem bogatszej i oryginalniejszej charakterystyki —jest Łatki zwycięski w miłości rywal, antagonista, grożący mu zaocznie kijami, a później karzący odebraniem wydartego dożywocia, Leon Birbancki. Wnosząc z przydzielonej mu w szablonowym fragmencie intrygi — w historji miłosnej — roli, polecony naszym sympatjom, „jeune premier", indywidualizowany, sądząc z mówiącego nazwiska i z głosów o nim współaktorów komedji — na hulakę utracjusza, trzpiota w rodzaju Gucia ze Ślubów, szaloną głowę („co do twojej bratku głowy, chyba chirurg co poradzi, jak tę zdejmie, inną wsadzi"), ale złote serce („zawsze miałeś głowę — Boże zmiłuj się — lecz serce złote", mówi Orgon, dawny jego przyjaciel i opiekun). Do tej, wyraźnie zamierzonej charakterystyki trzeba przedewszystkiem dorzucić rysy niesprzeczne, wynikające z czasu akcji, choć mniej już może świadomie dodane: romantycznego młodzieńca posługującego się romantyczną frazeologią, (gnomy, sylfy), gardzącego spalanem gorączkowo życiem i ziemską egzystencją, wszelką jej pospolitością, wylatującego nad poziomy", przenośnie i do-

słownie, nawet realnie, przynajmniej w zamiarze — jazdy balonem; słowem młodzieńca z pobliża 1830 roku. Czy chciał mu Fredro nadać ten koloryt czasu", czy też sam, w tyradach Leona, wypowiadał swój romantyzm, ostatnio tak często mu przypisywany — kwestja to ciemna. Można zresztą pominąć zagadnienie czy Fredro był romantykiem, czy nieobce mu było romantyczne „światoodczucie": w związku z dytyrambem Leona na cześć balonu można również nie dyskutować czy to jest jedno jeszcze ujęcie poetyckie „wzlotu nad poziomy", czy też mimowolna lub świadoma tegoż parodia. Wystarczy zwrócić uwagę na znaczenie tej „kwestji" Birbanckiego w akcji sztuki, gdzie ona bezpośrednio poprzedza uciążliwą dla Łatki gestykulację czy żart (podobny do umyślnego a niby niezamierzonego trzymania stopy na odcisku sąsiada) podpitego młodzieńca opierającego się łokciem o ramię wzgardzonego, pozwalającego drwić z siebie człowieka, na którego więc, jak to wyraźnie autor zaznacza w scenariuszu, nie zważa, traktuje go p e r n o n e s t, żartując sobie z morałów nieproszonego opiekuna, jednocześnie pozując przed nim na jeszcze większego wroga własnej osoby, niż nim jest i na przeciwnika filisterskiego rozsądku. Widać, że Leon „ma złośliwe wino", że użyjemy francuskiego wyrażenia: świadczy to, zgodnie z wynikami wiekowego doświadczenia w ojczyźnie szampana i burgunda, o złośliwem dnie charakteru. Całe to więc pozowanie na romantycznego ryzykanta jest złośliwym figlem i nieświadomą jeszcze (bo o roli Łatki w swych sprawach finansowych dowiaduje się Leon dopiero w następnym akcie) formą szantażu. Ten szantaż staje się zupełnie świadomy pod koniec sztuki, gdy groźbą samobójstwa Birbancki odbiera od lichwiarza dożywocie, z narzeczoną na dokładkę. Robi na tem zupełnie niezły interes: nie licząc poczciwej i gospodarnej żony, otrzymuje spowrotem regularne środki utrzymania, wzamian za zwrot połowy otrzymanej sumy, a raczej obietnicę zwrotu, co z ust Leona jeszcze nie równa się chyba wypłacie i nikt z jego otoczenia tegoby nie twierdził, mimo pochlebnej przed chwilą, ale świadomie fałszywej rekomendancji Łatki: „jego słówka jak gotówka". Obliczmy: cała spekulacja nie trwa zbyt długo, Łatka najwyżej otrzymał kilka miesięcznych rat dożywocia, a Leon za otrzymane 30 — 40 tysięcy, zwracając ich połowę odzyskuje straconą resztę; czysty jego zarobek, choćby już przehulany do tej chwili — wynosi kilkanaście tysięcy. Ale w tym wypadku, zaślepieni w dodatku antypatią do lichwiarza, moglibyśmy zasłonić Leona, jako narzędzie ukarania ujemnej postaci sztuki, zgodnie z konwencjonalną potrzebą akcji komediowej: na tem jednak nie kończą się rysy złośliwego figlarza, nie zawsze pozostającego w zgodzie z etyką: bileciki do żon Lagenów, których on, być może, ograł z nienależących do nich pieniędzy poprzedniej nocy, przedtem naciągnąwszy na przyjacielskie pożyczki — są jeszcze mniej znaczącym przykładem jego nielojalności w przyjaźni, przynajmniej w stosunku do kamratów od butelki i kart; natomiast zbyt pobieżnie — żeby nie wprowadzać motywu dramatycznego — i po komedjowemu, jako okazja dla świetnej dowcipem i charakteryzującej Łatkę sceny — potraktowana sprawa rogów, które, jak się okazuje, Leon przyprawił obu braciom, świadczy o dość wyraźnym braku zasad, a choćby normalnie obowiązującej solidarności koleżeńskiej w jakiemś określonem środowisku.

Że na te rysy spryciarza i złośliwego figlarza w niezamierzonej charakterystyce Birbanckiego nie zwrócono dotychczas uwagi, nic dziwnego. Należy

on do wiecznego, bardziej rozpowszechnionego niż się zdaje i godnego uwiecznienia w specjalnie poświęconem temu studium charakterologicznem, w „komedii charakteru" jakiegoś nowego Moliera, typu ludzi, w których zewnętrzne formy „szalonej pałki" i pozory wiecznie ruchliwe naturalnej zdawałoby się otwartości pokrywają w tym stopniu egoistyczne, brutalne i wyzbyte ze wszystkich skrupułów wnętrze, że ludzie ci przechodzą przez życie niepoznani do gruntu przez nikogo, mylą się co do nich ich najbliżsi przyjaciele, łudzą się nawet rodzeni rodzice z ciała, lub z ducha, jak właśnie Fredro, w stosunku do Leona.

Również i tyrady Orgona, niewątpliwie wyrażające zamiar autorski nie powinny zwodzić czytelnika. Na tym punkcie zresztą trafne spostrzeżenia dawno zostały poczynione, a mianowicie przez tegoż znakomitego krytyka Fredry, przez Tarnowskiego. Orgon zdaniem jego, „nie jest zgodny z tym charakterem, jaki mu autor dać chciał", a lichość wewnętrzna szlagona ukazana jest w słusznych choć może zbyt surowych słowach moralisty. Biją one dalej niż jego zamiar: poprzez osobę Orgona, już zewnętrznie nie tylko przez wąsiska, czamarę i kasztecik czworokątny (tak, częściowo podług wskazówek scenariusza, częściowo domysłem i z tradycji, komponują powierzchowność jego inscenizatorzy D o ż y w o c i a), ale i przez głośne panegiryki ku czci własnej ,gromy rzucane na świat nowożytny, na życie miejskie, zdradzającego swą niewątpliwą genealogię, potępienie rozciąga się na sarmatyzm w bardzo szerokim sensie, na świat staroszlachecki w jego najtypowszych objawach, i na całe jego, choćby najdalsze i najbardziej z pozoru przeistoczone dziedzictwo moralne.

Pamiętniki Paska, to arcydzieło samochwalstwa osobistego i narodowego oraz naiwnej, groźnej właśnie w swej naiwności, ślepoty moralnej, zarówno w sferze czynów osobistych (np. branie, wyłudzanie i wymuszanie łapówek), jak i w działalności publicznej, ślepoty połączonej z fanatyczną wiarą w przychylność potęg niebieskich, zobowiązanych formami obrzędowości religijnej do zasłonięcia ufnego i umiłowanego ich dziecięcia przed skutkami jego lekkomyślności i niedomyślenia konsekwencji postępowania — oto jeden ze wcześniejszych pomników w szeregu świadectw historycznych i literackich tej m o r a l i n s a n i t y sarmantyzmu, którego wiernym przedstawicielem w swej sztuce czyni Fredro Orgona. Związek jego ze staroszlachetczyzną, uzewnętrzniony nie tylko w powierzchowności, ale i w pewnych rysach, nawet dodatnich, cha-

[1]) We wstępie do niedawnego wydania D o ż y w o c i a („Bibl. Pis. Pol." Sp. Wyd. „Książka") prof. Z. Szweykowski kładzie szczególny nacisk na „zawarty w komedji krytycyzm autora do cywilizacji mieszczańskiej". Fredro, ukazany tu jest jako wielbiciel życia ziemiańskiego i zjadliwy wróg miasta, „jako świata zupełnie obcego naszej kulturze". Przy nadarzającej się sposobności „logika akcji będzie polegała na skompromitowaniu przedstawicieli wad ludzi z miasta, nad którymi — w ten czy inny sposób — ostatecznie tryumfuje ziemianin czy żołnierz". D o ż y w o c i e ma być specjalnie znamienne dla tego stosunku do miasta, stanowiąc satyrę nietylko na Łatkę i Twardosza, ale i na Birbanckiego z towarzyszami. Że taka tendencja przebija w tyradach Orgona — niema wątpliwości: Wiemy jednak, co trzeba sądzić o nim jako o ideale ziemianina i człowieka. Jeśli chodzi o wydźwięk sztuki, to w jej zakończeniu tryumf przypada ostatecznie Birbanckiemu, którego przecież prof. Szweykowski włącza do miejskiego kręgu potępieńców. Jeśli uznamy nawet, że taką była tendencja społeczna D o ż y w o c i a, to przyznać należy jednocześnie, że została ona wcielona w kształt artystyczny dziwnie nieprzekonywująco i nielogicznie.

rakteryzujących ówczesnego „szlachcica" („szlachciurę", jak się sam nazywa, jednofolwarcznego właściciela, wieśniaka), jak Paysan de Danube, szorstkiego weredyka (bo przywykłego do codziennego obcowania z niższymi, ze służbą, z poddaństwem), gardzącego wymaganiami mody i miękkim fircykowstwem, obcego snobizmowi, oszczędnego (z musu, gdyż w tych — trzeba przyznać ciężkich dla rolnictwa naszego — czasach jest zrujnowany i odłużony ponad wartość realną posiadanego majątku) — jest niewątpliwie z zamierzenia autorskiego ukazany. Nie zamierzone jest jednak światło spływające z tego reprezentanta na moralne oblicze reprezentowanej sfery. Mało wykształcony (nie umie po francusku, co w owych czasach równało się prawie przynależności do półinteligencji), ale przecie, jak z przemówień jego sądzić można, niegłupi i wygadany, zrujnowany, jak sądzi, z winy własnej uczciwości — choć my wiemy, że nie tyle uczciwość, co niezaradność, a pewnie i dawniejsze skłonności do małomiasteczkowej hulanki, mogły go zrujnować — ma niewyczerpane pretensje do świata („świecie, ty krętoszu stary, świecie, świecie, bez czci, wiary"), sprzysiężonego w jego, egocentryka, pojęciu przeciw niemu; ma równie niezachwianą pewność swej nieskazitelnej cnoty („jestem powiem śmiało, człowiek prawy i bez skazy"), która to cnota nie przeszkadza mu sprzedawać córkę za sześć tysięcy reńskich, potrąconych przez lichwiarza z długu („samej lichwy", według szczerego samego sobie wyznania Łatki), dla ocalałego zagrożonej swej posiadłości i dla przyszłości młodszego rodzeństwa, którego Rózia jest przecie opiekunką, napewno dla ich moralnego oblicza w przyszłości ważniejszą od majątku. Ale dla Orgona, mimo filipik przeciw pieniądzom (złoto, złoto") one są najważniejsze, jak i dla wielu innych wspaniałych przedstawicieli samartyzmu [1])

Wskazaliśmy przed chwilą na rys charakterystyki Rózi, który daje się wyłowić z tekstu komedji. Że „godna to osoba, gospodarna i stateczna", to widzimy nie tylko z jej własnego napomknienia, lecz także z pełnego rozsądku i godności zachowania się wobec Łatki, pomimo posłuszeństwa woli ojca i bezgranicznego, ślepego poświęcenia się jego widokom, wreszcie z wyzbytego zalotności, prostego i skromnego stosunku do podobającego się jej Leona (oby tylko jej nie zawiódł w przyszłości!). Jest tych rysów, jak widzimy, o wiele więcej, niż potrzeba do utworzenia szablonowej lalki, która zwykle figuruje jako partnerka w „podpórkowej" (jak już wyżej była o tem mowa) intrydze miłosnej komedji: więcej rysów i niespodziewanych, pewno znów niezamierzonych.

Ten przykład postaci, nad którą, ze względu na małe znaczenie tej czy innej jej charakterystyki dla toku akcji, albo nie zastanawiano się wcale, albo zaliczano do nieudanych figur komedji (tak St. Tarnowski), dowodzi, że w Do-

---

[1]) Ciekawy przykład z literatury staropolskiej znajduje się w M. Borzymowskiego Morskiej nawigacji do Lubeka z 1662 r., gdzie postawiona na wysoki piedestał cnoty postać kapitana okrętu, nagle w oczach współczesnego czytelnika upada moralnie przez czyn, którego szpetoty autor poematu najwidoczniej nie dostrzega. Mianowicie, gdy na mocy przysługującej mu na morzu władzy kapitan zakuwa w kajdany i postanawia oddać po wylądowaniu w ręce kata młodego i zasługującego na pobłażliwość winowajcę, nie odstępuje od swego surowego wyroku na żadne instancje pasażerów, aż przynoszą mu bogate dary i sumę w gotowiźnie; to go dopiero udobruchało i ocaliło występnego uwodziciela.

żywociu niema zupełnie figur szablonowych, tak pospolitych zwłaszcza wśród mdłych amantów komediowych. Jeśli przypomnimy sobie znany podział uzdolnień aktorskich, a raczej specjalności, oddawna branych pod uwagę przy rekrutowaniu trup wędrownych — wszystkie role w Dożywociu powinny się dostać „charakterystycznym". Bogactwo charakterystyki takiego Filipa, tak odmiennego działaniem w akcji od tradycyjnych służących komediowych, już przez Tarnowskiego zostało znakomicie ujęte. Nie mniejszych pochwał doczekali się u wszystkich krytyków naszej komedji bracia Lagenowie, zbyt już, może również ponad zamierzenie autorskie, zaopatrzonych w rysy nie tylko nałogowych knajpiarzy i pantoflarzy, ale i zupełnych durniów. Ale weźmy taką postać, jak doktor Hugo, którego rola jest tylko funkcją przydzielonej mu sprężynki w budowie akcji: a przecież i on nie jest szablonowym lekarzem, którego wzory tak łatwo można by zaczerpnąć od Moliera i jego naśladowców. Ten młody eskulap jest współkompanem całego tego hulaszczego towarzystwa, „konsyliarzem" z przyjaźni dla Leona; nie odmawia się też od wychylenia z nim razem kieliszka, nie bardzo jego pacjentowi z punktu widzenia doktryny medycznej wskazanego, a napewno pobłażliwość swą usprawiedliwia starą naksymą: medico praesente nihil nocet[1]).

Doktor Hugo jest przykładem wzajemnego oddziaływania intrygi i charakterologji: wchodzi między osoby działające przywołany potrzebą lekarza w akcji, jako jedno z jej niezbędnych kółek, ale przedstawia się nie tylko jako cząstka bezdusznego mechanizmu, lecz jako żywy człowiek, zaobserwowany w rzeczywistości, taki, jakiego obecność w danym środowisku jest prawdopodobna i oczekiwana. Szereg takich współdziałających ze sobą postaci, związanych węzłem wzajemnych uczuć lub pokrewieństwa, stosunkami towarzyskimi, wspólnotą ekonomiczną, zlokalizowanych miejscem spotkania — tworzy środowisko, posiadające wspólny habitus, wspólny charakter, jakby sumę charakterów indywidualnych, a za sobą zaplecze szerszej kultury i społeczeństwa, z właściwą mu obyczajowością. Artystyczny, w formie komedji, obraz tego środowiska, tej obyczajowości zasługuje na nazwę „komedji obyczajowej" („comédie de moeurs"), stosownie do klasycznej, francuskiej klasyfikacji), choćnie koniecznie w sensie, z jakim związała się ta nazwa we Francji pod koniec XVII w., a następnie przeszła za jej granice, m. i. do nas, tj., gdy analogicznie do „satyry obyczajowej", chłostała pewne zdrożności obyczajów swego czasu, koncentrując je w specjalnie opanowanych przez te zdrożności głównych osobach działających, zwykle nadających tytuł utworom (Ceremonjant, Zabobonnik, Frant, Pieniacz; również i nie w sensie ukazania obycza-

[1]) Wszystkie powyższe spostrzeżenia, odnoszące się do niezamierzonej charakterystyki postaci Dożywocia są tylko jaskrawym przykładem dawno zauważonego w literaturze zjawiska, którego najkrótsze sformułowanie z jakiegoś innego powodu otrzymałem niedawno w liście pewnego wybitnego działacza literackiego: „u dobrego pisarza postaci, po początkowym postawieniu ich przez autora, zaczynają żyć życiem samoistnem, już niezależnem od niego: prawda artystyczna zaczyna dominować nad jego zamiarami czy tezami". Z wyznań, może nieco przesadnych, niektórych powieściopisarzy wiemy, że stworzone przez nich postaci napastowały ich wyobraźnię, żyjąc samodzielnem życiem do tego stopnia, że widzenie ich przez autorów dochodziło do stanów halucynacji a przynajmniej męczącej obsesji. Cała sylwetkowość postaci Fredrowskich, ich charakterystyka niewielu rysami, nie przeszkadza im jednak, jak widać, w tem samodzielnem życiu, niezależnem od wyraźnych skądinąd intencji autora.

jowości bardzo specyficznej, niepowtarzalnej poza granicami danej epoki i terytorium, takiej, jaką jest np. sarmatyzm, obyczajowość czasów „kontuszowych", przedstawiana przez naszą literaturę „tradycyjną", której jednym ze wcześniejszych, a w teatrze nieprześcignionych wzorów jest Zemsta. Poza tym utworem, nawet Ignacy Chrzanowski, tak skłonny do podnoszenia narodowych stron poezji polskiej, nie znajduje u Fredry zbyt wiele „rysów jaskrawie narodowych", a tem samem egzotycznych dla cudzoziemca. On też w stosunku do Dożywocia przytacza jego określenie u Chmielowskiego jako „komedii obyczajowej, o cechach mniejwięcej kosmopolitycznych". Istotnie, środowisko w tym utworze odmalowane, choć da się konkretnie oznaczyć, nie ma w sobie nic specyficznego, niepowtarzalnego; da się wyodrębnić w każdem społeczeństwie w pewnych warunkach rozwoju demograficznego, ekonomicznego, pojęć etycznych itd. Dożywocie zagrane w dobrym przekładzie francuskim, może być zlokalizowane przez wyobraźnię francuskiego widza w jakiejś Tuluzie; nawet Orgon, nie sprowadzi tych, któreśmy powyżej wskazali, skojarzeń historycznych, doskonale może ujść za zrujnowanego materialnie, a tępego moralnie szlachcica wiejskiego, gaskończyka — nawet jego tranzakcja z córką w tradycyjnie zmaterjalizowanem społeczeństwie francuskim mniej będzie raziła. Dla uprzystępnienia utworu cudzoziemcowi nie trzeba więc dokonywać transformacji analogicznej do tej, jakiej uległa komedja Hauteroche'a pod piórem genialnego poety — transformatora Zabłockiego, by po całkowitem spolszczeniu stać się Sarmatyzmem. Wystarczy dobry ścisły przekład, któryby jednocześnie oddawał równoważnemi środkami doskonałość formy Dożywocia: o to zresztą, zwłaszcza w stosunku do utworu w mowie wiązanej, niełatwo.

V. Forma Dożywocia

Chodzi tu oczywiście o formę zewnętrzną; wewnętrznej, która pokrywa się z kompozycją utworu, nie zmieni najlichszy nawet tłumacz, byle nie był radykalnym przerabiaczem. Zalety formy wewnętrznej tj. budowy utworu, zaczynając od świetnej, pełnej naturalności ekspozycji, poprzez etapy umiejętnie stopniowanych efektów, aż po logiczne rozwiązanie, podnosił Tarnowski w tylekroć cytowanej swej pracy i oddanie im sprawiedliwości przez niniejsze rozważania mieści się w uznaniu Dożywocia jako komedji intrygi par excellence. Forma zewnętrzna tj. szata językowa z jej właściwościami stylistycznemi i dźwiękowemi, dla której znalezienie równoważnego odpowiednika w obcej mowie jest właśnie zadaniem tłumacza — (jakże niełatwem zwłaszcza jeśli przekład ma być wierszowany; a i z pominięciem struktury metrycznej oddanie wszystkich walorów stylistycznych orginału świadczyć będzie o niemałym talencie pisarskim przekładacza) — w Dożywociu zasługuje na szczególną uwagę i pochwały pod każdym względem.

1. Zalety dialogu

Słowo w utworze dramatycznym jest prawie wyłącznie (jeśli chodzi o artystyczne jego użycie) materiałem dialogu: a za mistrza dialogu Fredro uchodzi zdawna i słusznie. Wśród zalet dialogu Dożywocia przede wszystkim rzuca się w oczy, i przez Tarnowskiego specjalnie został podkreślony — jego dowcip: „może w żadnej innej komedji dowcip Fredry nie jest tak błyszczącym, tak

niewyczerpanym ...w koncepta, słowa, zwroty nieprzewidziane a klasyczne. Jak często w potocznem życiu mówimy wyjątkami z Dożywocia ...wszystko to już stało się własnością publiczną, wszystko przeszło w przysłowie. Pan Jowialski dzisiaj musiałby już umieć na pamięć niejeden wyjątek z Dożywocia...". Dowcip, czy to w sensie najwłaściwszym, „dowcipnej", przytomnej, zwięzłej repliki, charakteryzującej bystrego, inteligentnego. więc, przy archaicznem użyciu słowa, „dowcipnego" człowieka, takiego jak doktor Hugo, czy w sensie, niezamierzonego przez wypowiadającego, komizmu słów w ustach Łatki czy Lagenów, cechuje prawie każdą „kwestię", mówiąc po teatralnemu, każde odezwanie się osoby działającej. Jeśli poprzednio podnieśliśmy u niego ten jakby rodzinny talent rysownika-karykaturzysty, to teraz trzeba dorzucić, że ten rysownik umie przytem sam dopisać ten, zwykle znajdujący się u dołu rysunku, krótki dialog objaśniający i podnoszący efekt komiczny utworu plastyka: jakby na zawsze ujmujący go mnemoniczną formułką słowną.

Następną zaletą, którą należy podnieść, a raczej którą już w innym związku, gdy mowa była o charakterologii Dożywocia, podnosiliśmy, jest charakterystyka postaci za pomocą ich mowy. Nie tylko działanie, ale każde odezwanie się przyczynia do zindywidualizowania osób działających: dowcipne słowa doktora, głupkowato-bezładne — Lagenów, gburowate — nie dającego się nabić w butelkę spryciarza, bezczelnego sługusa Filipa, romantyczna frazeologia Leona, katońsko-sarmackie zrzędzenie Orgona, nieugięty lakonizm Twardosza, a nade wszystko przedziwne, nawpół obłudne, na wpół szczere, sentymentalnie-wielomówne moralizatorstwo Łatki — tyleż barw „właściwych", „lokalnych", jakby powiedział malarz, wysłowienia, dających rozpoznać wygłaszającego ze słów jego, bez zaglądania do oznączeń tekstu.

Charakterystyka językowa postaci jest właściwie częścią składową ogólniejszej zalety dialogu fredrowskiego: jego realizmu. Każde odezwanie się Łatki jest prawdziwe, odpowiada naszemu wyobrażeniu o jego wysławianiu się, nie tylko dlatego, że jest zgodne z jego indywidualnym charakterem, ale i dlatego, że Łatka mówi tak, jak w rzeczywistości ludzie mówią: nie okresami krasomówczymi, nie tyradami poetyckimi, nie językiem ścisłej nauki, lecz językiem potocznym, zdaniami tyle tylko rozwinętemi, ile w konwersacji to jest zwyczajne, przemówieniami tak tylko długiemi, ile rozmówca jego w życiu wytrzymałby bez przerywania. Z drugiej strony autor nie popada w przeciwną przesadę: dzielenie wiersza na pojedyncze słowa, przerzucane dowcipnie, jak piłka przez siatkę, czem lubił się popisywać kunszt klasycznej dramaturgji w stylu francuskim; ani też nie ucieka się jego wzorem do „stichomitji", kolejnego na dłuższej przestrzeni przekazywania słowa innej osobie z każdym wierszem, co stwarza nową regularność formy, pożądaną może z punktu widzenia deklamacji, ale, jak wszelka regularność, sprzeczną z surowym żywiołem realnego życia. Jeśli z komedji klasycznej zostały zachowane konwencje monologu i „słów na stronie", to ich użycie jest bardzo skromne, w dodatku przeważnie umotywowane realistycznie, np. jako dalszy ciąg wzburzonego przemówienia do partnera w poprzedzającej scenie, lub u Orgona, najdłużej i najwięcej monologizującego, jako naturalne u szczerego i gadatliwego wieśniaka „burczenie", wywnętrzanie się na głos, przy gwałtownym napływie wrażeń miejskich. Nigdzie w komedji nie odczuwamy przymusu, nienaturalności wysłowienia z czyichkolwiek ust. Nigdzie, w przeciwstawieniu do wielu innych

dawniejszych swych utworów, Fredro nie odzywa się tym konwencjonalno-literackim językiem, którego przykłady cytuje Ign. Chrzanowski („Jakiż, piękna Zofio, twojej prośby skutek"? Zrzędność i przekora); dobitnie on zresztą podkreśla u Fredry świadomą dążność do realizmu w dialogu i na dowód właśnie do Dożywocia często się odwołuje, niekiedy nawet, jak zobaczymy, w tej dążności poszukując (bez wielkiej słuszności) wyjaśnienia niektórych odstępstw od regularności wersyfikacyjnej naszej komedii.

Trzeba bowiem dodać, iż realizm ten jest jest tem bardziej zadziwiający, że rozkwita w komedii wierszem, na tle języka skrępowanego więzami metrum. By zrozumieć, jak to się dzieje, musimy baczniej przyjrzeć się istocie wiersza w Dożywociu *).

---

*) W artykule zachowano pisownię Autora.

Edward Rzeszowski

STEFAN ŻEROMSKI A LITERATURA ROSYJSKA

Jednym z najbardziej zamiłowanych czytelników literatury rosyjskiej był u nas Stefan Żeromski; a jednocześnie z tegoż powodu — stałym „cierpiętnikiem", najżywiej reagującym na piękno tej literatury i niemożność bezstronnego jej omawiania na forum publicznym. Od lat gimnazjalnych Żeromski wszedł w bliższe stosunki z piśmiennictwem rosyjskim i przez całe życie pilnie śledził rozwijające się tam kierunki, rozmyślał o nich, cieszył się i rozpaczał. W tym „ciążeniu" do artystów rosyjskich i jednoczesnym „odpychaniu" odegrały przemożną rolę nie tylko ówczesne nastroje w Polsce, ale w większym jeszcze stopniu — przeżycia osobiste, związane z wypadkami rodzinnymi.

Już podczas egzaminu wstępnego do gimnazjum Żeromski przekonał się o niesprawiedliwym traktowaniu uczniów Polaków. Niepowodzenie i gorycz lat szkolnych łagodziła matka, ale po jej śmierci, gdy stary ojciec wprowadził do domu macochę — cudzoziemkę. Stefan był świadkiem gorszących scen rodzinnych, wskutek których jego starsza siostra, najbardziej przezeń kochana, opuściła dom i, wbrew jego tradycjom powstańczo-patriotycznym, wyszła zamąż za przypadkowo poznanego Rosjanina, po czym wyjechała z nim na wschód, gdzie wszelki ślad po niej zaginął. Cios ten należy do najdotkliwszych w życiu Żeromskiego i, jako wyjątkowo silny uraz psychiczny, występuje w całej jego późniejszej twórczości, zmuszając go stale do zajmowania się sprawą wynarodowienia i repolonizacji.

W związku z tym dawne od lat szkolnych spoufalenie się z literaturą przeradza się w namiętne zgłębianie jej istoty, co było psychiczną namiastką zastępczą w poszukiwaniu kochanej siostry na niezmierzonych obszarach rosyjskiego imperium. Oprócz ulubionego Lermontowa i tajemniczego Dostojewskiego, młody Żeromski studiuje z niepokojem utwory rosyjskich „narodników" i „socjałrewolucjonistów".

Rozczytywanie się w rosyjskich społecznikach zaciążyło na pierwszym okresie twórczości Żeromskiego: naśladując ich hołduje krańcowości w analizie dobra i zła, najdrastyczniejsze opisy naturalistyczne łączy z wybujałym liryzmem, szczęście osobiste bohaterów przeciwstawia nieszczęściom społecznym, tropi zaciekle i piętnuje, wzorem Rosjan, pragnienie szczęścia osobistego, jako zakałę „mieszczańską", chętnie przedstawia w ludziach i świecie dysharmonię i rozstrój, daleki od ładu i spokoju epickiego. Jeszcze bliższy mu się staje Wsiewołod Mich. Garszyn (1855 — 1888), pisarz żyjący wiarą w altruizm i twórcze znaczenie cierpienia ludzkiego. Zapoznanie się Żeromskiego z utworami Garszyna sprzyjała wielka popularność tego ostatniego po wojnie rosyjsko-tureckiej, nieproporcjonalna ani do liczby jego dzieł, ani do ich rozmiarów i znaczenia.

Imperializm carskiej Rosji po wojnie z Turcją i konferencji berlińskiej, ukrywając swe niepowodzenia dyplomatyczne w sprawie Dardanell, wystąpił

z programem pokoju powszechnego i pacyfizmu. Odpowiednio do tego Aleksander III dokonał istotnych zmian w tradycjach dyplomatycznych swego kraju, zbliżył się do Francji, wywołując tam entuzjazm do wszystkiego, co rosyjskie, a chcąc wygrać na czasie oraz wpłynąć uspakajająco na nurtujące jego poddanych wrzenie rewolucyjne, groźnie zamanifestowane zabójstwem Aleksandra II, nakazał propagandę pacyfizmu, przy każdej okazji podkreślając swoją „pokojotwórczość".

Do zamierzonej propagandy świetnie się nadawały nowele Garszyna, przedstawiające okropności wojny, cierpienia żołnierza i bezmyślność straszliwej rzezi („Cztery dni", „Z notatek szeregowca Iwanowa" i inne). Pobocznym zaś rezultatem propagandy była popularność innych, altruistycznych opowiadań Garszyna. Zwłaszcza „Czerwony kwiatek" zdobył sobie niezwykłe powodzenie najpierw w Rosji, gdzie zjawiło się w roku samobójczej śmierci pisarza mnóstwo artykułów literackich, zebranych później i ogłoszonych w książce pamiątkowej ku czci Garszyna pod tytułem „Czerwony kwiatek". Krytyka zaczęła dopatrywać się w tych nowelach symbolów, a ponieważ wówczas w innych krajach, Francji, Norwegii, Szwecji, dużo mówiono o symboliźmie, jako jedynej wielkiej sztuce, nazwisko Garszyna, nieoczekiwanie, stało się znanym na Zachodzie.

Wybitny krytyk i teoretyk nowego kierunku Ola Hanson napisał studium o Garszynie, wydał je po niemiecku, sugerował nim kółko młodych literatów niemieckich, zgrupowanych koło St. Przybyszewskiego, i w ten sposób nazwisko rosyjskiego pisarza spleciono z nazwiskami „reformatorów" sztuki: Baudelaire'a, Rimbaud'a, Verlaine'a, Ibsena z ostatniego okresu i wielu innych. (St. Przybyszewski: „Moi współcześni" t. I).

Przybyszewski, pod wpływem przyjaciela O. Hansona, wysoko cenił Garszyna, a po przybyciu do Krakowa i objęciu patronatu nad „Młodą Polską" gorliwie rozdzwaniał sławę rosyjskiego pisarza ku pokrzepieniu nowego kierunku w sztuce. Dzięki temu skromny Garszyn, mający w całym swym dorobku kilka nowel i niezakończonych szkiców powieściowych, awansował na egzotycznego pisarza „tajemniczych dreszczów", i niespodziewanie stanął nad kolebką nowej sztuki w Polsce... Niespodziewanie, gdyż nigdy się za symbolistę nie uważał i skromnie uprawiał tradycyjny realizm w stylizacji rosyjskich ludowców... Ze ścisłym realizmem potraktował też wypadki, opowiedziane w „Czerwonym kwiatku", dając autentyczny opis kliniczny swych przeżyć i wypadków podczas pobytu w szpitalu psychiatrycznym w Charkowie w roli pacjenta, chorego na rozdwojenie psychiczne. Realistyczne odtworzenie w noweli szału obłąkańczego, niezmiernie ciekawe dla psychopatologa, symbolistom zagranicznym wydało się „„ostatnim krzykiem rodzącego się symbolizmu". Garszyna postawiono naiwnie w jednym rzędzie z Dostojewskim i Nitschem. Fantaści z kółka Przybyszewskiego dopatrywali się w „Czerwonym kwiatku" dalszego ciągu „Kwiatów zła" Baudelaire'a...

Żeromski, dobrze znający twórczość rosyjską i dorobek Garszyna, nie mógł bez sceptycyzmu traktować krakowskich symbolistów, nadużywających superlatywów. Stąd częściowo pochodzi ten ciekawy krytycyzm Żeromskiego do organizującej się Młodej Polski, która go nie potrafiła znęcić swymi manifestami. Popularność Garszyna na zachodzie może cieszyła Żeromskiego, ale znaczenie

rosyjskiego pisarza widział nie symboliźmie, lecz w czymś innym. Podczas pierwszego wyjazdu zagranicę (1898) starał się otrzeźwić atmosferę krakowską przez wtajemniczenie kolegów w arkana rzeczywistych wartości sztuki rosyjskiej wogóle i sztuki Garszyna osobliwie. Właśnie wtedy pracował nad „Ludźmi bezdomnymi", którzy ukazali się w druku r. 1900.

Szerzonym w Krakowie hasłom „Sztuka dla sztuki" krytycznie usposobiony dla Krakowian Żeromski, jak to widać z jego listów do żony, przeciwstawił Garszynowskie pojmowanie zadań literatury. W tym celu sięgnął do Garszynowskiego opowiadania pt. „Artyści", poświęconego specjalnie tej sprawie, i wystylizował dużą powieść w duchu „ludowo-socjalistycznym", ilustrując swe opozycyjne stanowisko wobec symbolistów z ich teorią „Sztuka dla sztuki" przekonywującym materiałem ze smutnej polskiej rzeczywistości. Garszyn dzielnie wsparł Żeromskiego w naświetleniu tej polskiej rzeczywistości, ujawnionej w „Ludziach bezdomnych".

Kontrowersja młodego, szukającego nowych dróg Żeromskego z tworzącą się Młodą Polską znalazła świetny odpowiednik w dwu typach artystów, przedstawionych w opowiadaniu Garszyna. Jeden znich, Diedow, to zwolennik sztuki dla sztuki, drugi, Riabinin, to bliski sercu młodego Żeromskiego społecznik, podporządkujący naukę, sztukę i szczęście osobiste potrzebom pokrzywdzonych i wydziedziczonych.

Diedow, oddany całkowicie sztuce, jako najwyższej wartości, jest aspołeczny, chociaż dba o utrzymanie jaknajlepszych stosunków z ludźmi, zwłaszcza wpływowymi. Dzięki nim ma powodzenie, zdobywa coraz większą popularność, opracowuje tematy pogodne. Pilnie pracuje, doskonali się, chociaż zdaje sobie sprawę, że jego kolega Riabinin jest bardziej utalentowany.

Po ukończeniu akademii sztuk pięknych przed obu artystami otwiera się powabna droga do sławy. Obaj pracują wytrwale i służą tej sztuce, jaką poznali w akademii; obaj cenią swoje powołanie, zwłaszcza Riabinin, który zdobył tytuł artysty-malarza kosztem wielkich wysiłków, przedzierając się w nędzy i głodzie z dołów społecznych na promienny Parnas.

Pod względem okoliczności życiowych Riabinin podobny jest do Dr Judyma, który również całkowicie oddany jest swemu powołaniu, marzy o największych osiągnięciach i służy medycynie z takim samym zapałem, jak Riabinin malarstwu.

Podczas przechadzki na przedmieściu Petersburga Riabinin przypadkowo styka się z życiem fabryki. Szczególnie przykuwa jego uwagę okrutna praca kotlarzy. Jeden z robotników, pięknie zbudowany, najsilniejszy, wchodzi do kotła i skurczony deską podtrzymuje od wewnątrz, ile sił starczy, nity, w które walą młotami jego koledzy z zewnątrz. Za każdym uderzeniem młotów „głuszec" wzdraga się od bólu, ale nieustępliwie podtrzymuje założone nity; pokracznie skurczony w kotle, oblewa się potem i pojękuje od potężnych uderzeń.

Riabinin nie może się oderwać od bolesnego widoku tej nieludzkiej pracy. Całym uczuciem zespala się z potężnym „głuszcem", podziwia jego naprężone mięśnie i nieludzki wysiłek. Podobnie dr Judym jest olśniony pięknem mięśni kowala i zgnębiony do głębi torturą fizycznych wysiłków. Obaj pisarze podkreślają piękno i grozę pracy fizycznej w fabryce z ekspresją, nieznaną dawniej w literaturze.

Riabinin pod wpływem upiornego widoku kotlarza zmienia zapatrywania na sztukę i swe obowiązki. Jest tak wzburzony obrazem „głuszca", iż nie może się uspokoić. Opowiada o widzianej okropności znajomym i... spotyka się z obojętnością. Tym boleśniej po takim zawodzie pogrąża się w dręczących rozmyślaniach i postanawia namalować owego „głuszca", aby realizmem swego obrazu obudzić sumienia widzów. Musi to uczynić, gdyż wizja cierpienia ludzkiego targa mu duszę, spędza sen z powiek...

Podobnie działa dr Judym. Przekonawszy się w czasie praktyki lekarskiej, jak okropne są warunki higieniczne pracowników fabrycznych, występuje w towarzystwie lekarzy z referatem, pełnym współczucia dla pokrzywdzonych. Zdaje mu się, jak i Riabininowi, że wzruszy kolegów... Lekarze referat chwalili, ale projektowaną reformę leczenia potraktowali, jako rzecz zbędną, niepraktyczną.

Obraz Riabinina pod tytułem „Głuszec" przykuwał uwagę widzów na wystawie. Tłumy podziwiały siłę wyrazu, ale krytycy potraktowali pracę początkującego malarza, jako wybryk zbędny i niepraktyczny.

Dr Judym po referacie traci pacjentów i musi opuścić Warszawę. Riabinin po stworzeniu „Głuszca" nie może malować dla przyjemności ludzi sytych, rozstaje się ze sztuką, porzuca Petersburg, aby oddać się pracy, która — jego zdaniem — jest bardziej pożyteczna, szerzeniu oświaty w zapadłym kącie na prowincji.

I nie tylko ze sztuką rozstaje się rosyjski bohater: podobnie jak dr Judym wyrzeka się również ukochanej narzeczonej... Nie umie pogodzić ofiarnej pracy dla społeczeństwa z własnym szczęściem. Boi się, aby „mieszczańskie" potrzeby rodziny nie odwiodły go od ideału „służenia ludowi".

Analogia fabuły i perypetii dramatycznych w obu utworach jest oczywista. Nieumotywowane zerwanie dr. Judyma z Joasią wywołuje w polskim czytelniku zawsze zdumienie, bo nie ma wytłumaczenia... bez uwzględnienia noweli Garszyna, który, jako rosyjski „narodnik" lat 70-ych, uważał postępek swego bohatera za jedynie logiczny, nie wymagający wyjaśnień wobec ówczesnych rosyjskich ludowców.

Żeromski, opracowując Garszynowski problem w szerszych niż nowela ramach powieści, rozszerzył znakomicie obraz „Głuszca", malując nędzę proletariatu w Warszawie, zacofanie chłopów w Cisach i wyzysk górników w Dąbrowie. Zło, skoncentrowane przez skłonną do symbolizmu wyobraźnię Garszyna w „Głuszcu", postarał się Żeromski uplastycznić w szeregu naturalistycznych obrazów zebranych z różnych połaci Polski.

Nie tylko fabuła, nie tylko problem, ale i dynamika wewnętrzna głównych bohaterów jest niemal identyczna. Analiza przeżyć dr Judyma i Riabinina jest jednakowo umotywowana. Obaj bohaterowie, pomimo różnic w czasie i środowisku, mają jednakowe odczuwanie świata, mają to samo, jak się wyrażają Rosjanie, „mirooszczuszczenije". Toż w ślad za Garszynem Żeromski formułuje przekonanie, że „zło jest niewątpliwie tylko jedno-krzywda bliźniego, a granica krzywdy leży w sumieniu, w sercu ludzkim".

Jak u Garszyna, tak i w powieściach i nowelach Żeromskiego, refleksja góruje nad akcją, analiza doznań, przeżyć i wstrząsów moralnych dominuje nad opisami świata zewnętrznego, a często fragmenty świata materialnego — krajobrazy, wnętrza fabryk i mieszkań — są wprowadzone do utworów jako znaki

symbolizujące te lub inne nastroje, celem uwypuklenia przełomów i walk duchowych.

Problematyka w „Ludziach bezdomnych” szerzej została opracowana, niż w „Artystach” Garszyna. U naszego pisarza dochodzi do głosu organizujący się w Polsce socjalizm oraz wpływ modnego wówczas H. Ibsena, którego dr Stockman z „Wroga ludu” podpowiada dr Judymowi, jak się ma zachowywać i walczyć w zakładzie uzdrowiskowym, Cisach.

Pomijając różnicę epoki i środowiska, trzeba przyznać, że ogólny ton powieści „Ludzie bezdomni”, jej strona liryczna najbliższe są tej nieograniczonej ofiarności i samopoświęcenia jednostki, które z taką wnikliwą szczerością wyrażał w swych utworach Ws. Garszyn.

Pokrewieństwo duchowe Żeromskiego z Garszynem nie ogranicza się do „Ludzi bezdomnych”.

Garszynowska koncepcja zła, najświetniej zobrazowana w słynnej noweli „Czerwony kwiatek”, przewija się w większości utworów Żeromskiego. Dość przypomnieć, że główni jego bohaterowie — Borowicz, dr Judym, dr Piotr, Czarowic, Sułkowski, Rozłucki, Nienaski, C. Baryka — zachowują się tak, jak Garszynowski szaleniec, czyhający na zerwanie czerwonego kwiatka, w którym skupiło się całe zło świata...

Podobnie, jak u Garszyna, często przedmioty materialne otrzymują w kontekście Żeromskiego znaczenie symbolu np. wieża ariańska, jako arka przymierza między nowoczesnym socjalizmem a pogłębioną etyką starochrześcijańską.

Wewnętrzny niepokój, tak charakterystyczny dla Garszyna i jego bohaterów, jest również stałą cechą postaci powieściowych, w których Żeromski widzi swoje alter ego. Niepokój ten zależy nie tyle od ich sytuacji zewnętrznej, ile od jakichś irracjonalnych czynników, ostrzegających ciągle przez hańbą bezczynności wobec rozwijającego się w świecie zła.

Rozlewny smutek Garszyna, jego altruizm, łaknący ofiarnej walki z egoizmem, Chrystusowy pacyfizm, cicha rezygnacja wobec ułomności ludzkich, głębokie odczuwanie cierpienia, zwłaszcza umyślnie tworzonego na wojnie, te wszystkie właściwości bliskie są Żeromskiemu, który, podobnie jak Garszynowski bohater z „Czterech dni”, z niezwykłą precyzją bada cierpienia żołnierza i batalistykę oświetla ze stanowiska okropności oraz brzydoty, bez tradycyjnej romantyczności.

Jak zaznaczyłem już, Żeromski, bardziej niż jakikolwiek nasz powieściopisarz był spoufalony z literaturą rosyjską: czytał ją pilnie, jako uczeń gimnazjum; zagłębiał się w roztrząsanie teoretyczne socjalistów rosyjskich różnych odłamów, jako student i korepetytor; interesował się rozwojem poezji rosyjskiej już po zdobyciu naczelnego stanowiska w powieściopisarstwie ojczystym. Podczas pobytu w Szwajcarii miał okazję osobistego zbliżenia się z rewolucjonistami rosyjskimi różnych odcieni. Że programy ich blisko brał do serca, świadczy o tym zerwanie wieloletniej przyjaźni z najbliższym kolegą szkolnym, Radkiem Machajskim, z powodu rozbieżności zapatrywań na przyszłość Rosji i kwestię wynarodowienia.

Jako świadectwo rozczytywania się Żeromskiego w autorach rosyjskich mogą służyć cytaty z utworów rosyjskich, entuzjastyczne wzmianki o twórczo-

ści niektórych Rosjan, np. Lermontowa, a także rozsiane w korespondencji prywatnej opinie o piśmiennictwie wschodniego sąsiada. W sprawie rosyjskich wpływów literackich Żeromski wykazywał świetną orientację zarówno co do najnowszej poezji rosyjskiej, jak i dawnej ludowej; stykał się wreszcie z artystami i publicystami rosyjskimi, a z najpopularniejszym z pisarzy, M. Gorkim spędzał wspólnie wywczasy na Capri i prowadził ożywione dyskusje.

Stosunki polsko-rosyjskie interesowały Żeromskiego od młodości, co więcej były jego bolączką, wyraźnym urazem psychicznym, który sprawiał, że stale w twórczości swej nawracał do Rosji. W magnetycznym polu tego urazu z czasów młodości (ucieczka siostry, zerwanie z Machajskim) układały się aktualne zagadnienia, koncepcje twórcze oraz okruchy codzienności. Słowem, ,,kompleks rosyjski" miał rozstrzygający wpływ na całą postawę życiową Żeromskiego (co zaznacza się również w jego stosunku do ówczesnych partyj politycznych w Polsce).

Już w pierwszej drukowanej pracy: ,,Rozdziobią nas kruki i wrony", Rosja ujęta jest jako przemożna siła fatalna, z którą powstańcy walczą w poczuciu obowiązku patriotycznego bez nadziei zwycięstwa.

W następnym druku:: (,,Syzyfowe prace") widok rusyfikacji jest motywem przeżyć bolesnych bohatera, a pierwsza miłość Borowicza doznaje klęski, ponieważ ukochana, pochodząc z mieszanego małżeństwa, musi należeć oficjalnie do prawosławia. Borowicz poddaje się urokowi literatury rosyjskiej, zachwyca się jej pięknem, a zarazem spostrzega, że traci zaufanie przyjaciół. Z goryczą musi się cofnąć z drogi estetycznych uniesień w imię owej ubogiej, zdeptanej i zacofanej narodowości ,,tubylców".

Rozczytywanie się w ,,Wojnie i pokoju" L. Tołstoja podsuwa Żeromskiemu myśl stworzenia ,,Popiołów", powieści na tle tej samej epoki i nie bez analogii w kompozycji.

Z rozmyślań nad historią stosunków polsko-rosyjskich wypłynęła ,,Duma o Hetmanie". W niepowodzeniach Żółkiewskiego autor widzi dramat nie tylko Polski, ale i Moskwy. Gorycz z tego powodu wyraża w wierszu, ułożonym na wzór ruskich ,,starin" i ,,pieśni historycznych" ze ścisłym zachowaniem ich swoistej metryki i obrazowania. Pierwszy to chyba pisarz polski, który wyzyskał staroruskie ,,byliny" dla celów artystycznych mowy polskiej.

Przedstawiona w ,,Dumie o Hetmanie", ,,Wolna, kresu nie znająca dusza polska" potraktowana jest tak, jak u Garszyna symboliczna ,,Attalea princeps", która osiągnięcie wolności musi okupić utratą życia.

Sprawie wynarodowienia poświęcona jest ,,Uroda życia". ,,Walka z szatanem" jest ilustracją zła, rozkrzewionego na podłożu animozyj narodowościowych i państwowych. Sprawy rosyjskie potrącane są w dramatach Żeromskiego, ostatnia zaś jego powieść ,,Przedwiośnie" maluje związki polsko-rosyjskie ze szczególnym pogłębieniem.

Jak już z powyższego wynika, żaden z naszych pisarzy nie jest tak zaobsorbowany Rosją, jak Żeromski; wśród pisarzy polskich, interesujących się życiem narodu rosyjskiego, Żeromski zajmuje czołowe miejsce; trudno więc zbadać i ocenić całokształt jego dorobku artystycznego bez najpełniejszego uwzględnienia jego związków z literaturą i kulturą rosyjską. Źródłowe ich badania metodą porównawczą są niezbędne dla wyczerpującego monograficznego opracowania twórczości Żeromskiego.

Czesław Zgorzelski (Toruń)

O stosunkach literatury polskiej i rosyjskiej w latach 1810 — 1830

1

Rozwój wydarzeń politycznych w pierwszych latach XIX w. nie sprzyjał nawiązywaniu ściślejszych kontaktów między pisarzami Polski i Rosji. Literatura w Polsce miała już za sobą bogatą tradycję kilku wieków istnienia, w Rosji zaś przeżywała jakby pierwszą swą młodość: uboższa w doświadczenie rzemiosła literackiego i zacieśniona do węższego zakresu przyswojonych gatunków [1]), szła jednak szybciej od naszej krokiem, wyprzedzając ją znacznie we wprowadzaniu haseł nowych prądów literackich. Toteż ze skrzyżowania głównych linii twórczości poetyckiej obu krajów mogły wypłynąć korzyści znaczne i obustronne. Nastąpiło ono — w szerszym zakresie — dopiero w epoce romantyzmu i związało się przede wszystkim z imionami Mickiewicza oraz Puszkina. Zetknięcie to wszakże nie było pierwsze. Poprzedziło je — jeśli pominiemy już okres dawniejszych stosunków — kilkanaście lat wzajemnych, coraz liczniejszych i coraz bardziej ożywionych kontaktów. One to stanowiły podłoże, na którym rozwinąć się mogły późniejsze triumfy poetyckie Mickiewicza w Rosji, torując mu drogę do tak nieoczekiwanego — zdawałoby się — choć w pełni zasłużonego uznania ze strony obcego społeczeństwa. Stały się także podstawą nowego okresu wzajemnych odziaływań literackich, urwanych już wkrótce wskutek zmiany nastrojów po wybuchu powstania listopadowego.

Ten właśnie okres pierwszych lat XIX w. zakreśla granice czasowe poniższych uwag. Celem ich jest zebranie wiadomości, uzyskanych w wyniku studiów dotychczasowych i wytknięcie głównych linii, którymi szło wzajemne oddziaływanie polskiej i rosyjskiej twórczości literackiej w przededniu poezji romantycznej i w okresie początkowych etapów jej drogi.

2

Liczniejsze i bliższe zetknięcia społeczeństwa rosyjskiego ze sztuką i literaturą polską dokonały się dopiero po roku 1812. Przemarsze wojskowe przez tereny Rzplitej i długotrwałe kwaterunki w większych ośrodkach Polski dostarczyły niemało okazji do bliższego poznania jej życia. Posiadało to wagę tym większą, iż w szeregach ówczesnego wojska rosyjskiego znalazły się jednostki, które już wkrótce odegrać miały dość znaczną rolę w rozwoju literatury rosyjskiej.

Tak właśnie zawędrowali do Polski i Gribojedow, i Rylejew, i ks. Wiaziemski, i Denis Dawydow, i wielu innych. Z bywalców w salonach warszawskich rekrutują się także obaj znani nam dzisiaj wielbiciele Mickiewicza, dzięki którym poeta nawiąże później zażyłe stosunki ze światem literackim Moskwy: pułkow-

---

[1]) Por. np. uwagi W. Czernobajewa, Ignacy Krasicki w literaturze rosyjskiej, Pamiętnik Literacki, XXXIII, str. 41 i nn.

nik Pochwisniew i oficer sztabu, J. Poznański [2]), tłumacz kilku utworów poety. Przez Polskę przejeżdżają w owym czasie i mniejsi, i więksi pisarze. Tędy — przez Brześć nad Bugiem — powraca do kraju Czaadajew z podróży po Europie w latach: 1823 — 1826 [3]). Zna zresztą Polskę z wcześniejszego pobytu, kiedy to w r. 1814 w Krakowe przyjęty został do wolnomularstwa [4]). Tędy również przejeżdża w swych wyprawach wojennych Teodor M. Glinka, który wrażenia z tych podrżóy opisze w Listach oficera rosyjskiego [5]), informując o Polsce z sympatią, szacunkiem, a nieraz nawet z entuzjazmem.

Działo się to w czasach, gdy głucho było jeszcze na ziemi polskiej o romantyzmie, a berło władzy poetyckiej dzierżył w Warszawie Niemcewicz. On też głównie — wraz z gronem przodujących pisarzy epoki Stanisławowskiej — wysuwa się na czoło literatury, którą prezentowano wówczas obcym przybyszom, jakonajbardziej znamienne zjawiska naszej poezji. Toteż zanim przyjdzie czas na poetów romantycznych, a nawet równocześnie z pierwszym etapem ich oddziaływania na literaturę rosyjską, spotykamy w Rosji raz po raz objawy zainteresowania naszym dorobkiem pisarskim z okresu Oświecenia i klasycyzmu. Już Karpiński zanotuje w swych Pamiętnikach znamienny przykład popularności poetów stanisławowskich w Rosji [6]). Opowiada m. in. o epizodzie z gen. Hlebowem, który znał nazwisko swego gospodarza z artykułu ogłoszonego w jednym z periodyków moskiewskich, gdzie pisano o rozkwicie literatury polskiej w okresie rozbiorów, wymieniając m. i. nazwiska Naruszewicza, Krasickiego i Karpińskiego. Z biegiem lat zainteresowanie to poczyna wzrastać. Tak np. A. Biestużew donosząc w liście do Bułharyna z r. 1821 o swych postępach w nauce języka polskiego, pisze, iż czyta dzieła Naruszewicza, Niemcewicza i Krasickiego [7]). Naruszewicz i Krasicki pojawiają się także w tekście wodewilu Gribojedowa, pisanego na współkę z Wiaziemskim p. t. Kto brat, a kto siostra [8]). Tenże Wiaziemski staje się również wytrawnym tłumaczem wielu bajek „księcia poetów" [9]). Rylejew już w czasie pobytu w korpusie kadetów uczy się języka polskiego i próbuje swych sił poetyckich na tłumaczeniu Sofiówki Trembeckiego.

---

[2]) W. Mickiewicz, Żywot A. Mickiewicza, Poznań 1929, I. 232.

[3]) Por. Piśma P. J. Czaadajewa i z za granicy k bratu, izd. A. A. Wiłkow, Warszawa 1912. Przez Warszawę wraca także Küchelbecker. Tam też zostaje aresztowany, gdy po zamachu grudniowym w r. 1825 próbuje ujść zagranicę.

[4]) Por. Lednicki W., Mój Puszkinowski „Table Talk", Puszkin, 1837 — 1937, Kraków 1939, I. 404.

[5]) Piśma russkogo officera o Polsze... s podrobnym opisanijem pochoda Rossijan w 1805 i 1806 g., ...także wojny z 1812 po 1815 g., Moskwa 1815 — 1816. Do Listów tych włączył także zarys biograficzny Kościuszki, który w r. 1821 ukazał się w Wilnie osobno w przekładzie polskim: Niektóre rysy życia Tad. Kościuszki. O Listach Glinki zob. Lednicki, Przyjaciele Moskale, Kraków 1935, s. 329.

[6]) Pamiętniki, Bibl. Dzieł Wyborowych, Warszawa 1898, s. 155 — 156.

[7]) W. Lednicki, Gribojedow a Polska. Z zagadnień kulturalno-literackich Wschodu i Zachodu, Kraków 1933—34, s. 343.

[8]) Ib. s 337—8.

[9]) Por. W. Czernobajew, l. c., s 54—7. M. in. przetłumaczone zostały przez Wiaziemskiego nast. bajki: Pan i pies, Ptaszki w klatce, Osieł i wół, Owieczka i pasterz. Niektóre z nich (jak np. ostatnia) opracowywane były dwukrotnie (w r. 1822 i w r. 1826). Na wielu własnych bajkach Wiaziemskiego znać ślady wpływów Krasickiego (por. K owieczkam, Wołki i pastuchi).

Tłumaczeń z literatury polskiej jest zresztą coraz więcej. Zwłaszcza utworów Krasickiego. Już w r. 1794 niejaki G. Zielnicki dokonał w Kałudze przekładu jego Historii. W kilkanaście lat później, w r. 1807, ogłoszono w piśmie pt. Wiestnik Jewropy tłumaczenie artykułu O romansach. Jest to jednocześnie pierwsza oznaka wpływu Krasickiego na rozwój powieści rosyjskiej, zjawisko tym bardziej zadziwiające, iż pojawia się w okresie triumfów takich utworów powieściowych, jak Biedna Liza Karamzina i podobne jej rówieśnice. Na dostarczenie czytelnikom rosyjskim co przedniejszych okazów polskiej powieści sentymentalnej przyjdzie czas później, mniej więcej po roku 1831 [10]), gdy gatunek ten w Rosji staje się już objawem literatury „masowej". Krasicki natomiast odgrywa bardzo znaczną rolę w okresie narodzin rosyjskiej powieści dydaktyczno-moralnej z przewagą akcentów satyry. Oddziaływa zaś nie tyle za pomocą wpływu bezpośredniego, ile raczej drogą szerokiej popularności pierwszych utworów Bułharyna, w których znaleźć można wiele śladów lektury Krasickiego [11]).

3

Nierównie szerszy oddźwięk uzyskała w Rosji twórczość Niemcewicza. Po części wynikało to zapewne z przodującego stanowiska, jakie zajmował w opinii czytelników polskich sprzed r. 1822. On też patronuje wszystkim niemal osobistym i literackim kontaktom pisarzy obu krajów, zanim przyjdzie mu na zmianę autor Sonetów krymskich. I nie bez wymowy symbolicznej jest fakt, że pierwsza wymiana listów między obu tymi reprezentantami poezji polskiej w Rosji dokona się za pośrednictwem Rosjanina, przyjaciela obu poetów, zawsze pilnie zabiegającego o utrzymanie stosunków z Polakami, wspomnianego już wyżej ks. P. A. Wiaziemskiego. „Miałem okazję — powiada w jednej ze swych notatek — pogodzić dwie szkoły, dwie znakomitości przeciwległe, w osobach starego Niemcewicza i młodego Mickiewicza, którego poznałem w Moskwie. Udało mi się nawiązać pomiędzy nimi korespondencję" [12]). Już samo zestawienie obu tych postaci i wyznaczenie im stanowiska przywódców dwu ścierających się kierunków starej i nowej szkoły świadczy dowodnie, jak wysoko w opinii literackiej Rosji stawiano wówczas twórczość Niemcewicza.

To przodujące stanowisko Niemcewicza wśród poetów okresu przedmickiewiczowskiego stało się zapewne jednym z czynników, które przywiodły doń obu wspomnianych już wyżej poetów rosyjskich: Gribojedowa i Rylejewa. Wszech-

[10]) Kropińskiego Julia i Adolf pojawia się w przekładzie Połowcowa w r. 1831, Bernatowicza Pojata w przekładzie Gajewskiego — w r 1832, a Malwina Wirtemberskiej — w r. 1834.

[11]) Por. Czernobajew, l. c., s. 59—62. Wpływ Krasickiego na powieść Bułharyna pt. Iwan Wyżygin zauważył już Strojew, gdy w r. 1829 pisał do Pogodina na podstawie relacji któregoś ze znajomych Polaków, iż „Wyszygin jest kopią Doświadczyńskiego" (cyt. za W. Czernobajewym, l. c., s. 60). Wpływ Krasickiego poprzez utwory Bułharyna wzmocniony był równocześnie dokonanym przekładem powieści T. Massalskiego (Pan Podstolicz..., 1834).

[12]) Połnoje sobranije soczinienij kn. P. A. Wiaziemskogo, S. Pietierburg 1878, t. II, str. IX. Cytuję wg Lednickiego, Przyjaciele Moskale, l. c., s. 149—150. Por. także list Mickiewicza do Niemcewicza z Moskwy, 11/23 listopada 1827 (Dzieła wszystkie, Warszawa 1936, XIII. 326—8).

stronna działalność gatunków, uprawianych przez Niemcewicza, sprawiła, iż obaj ci, tak bardzo różniący się, pisarze, mogli znaleźć w jego dorobku poetyckim utwory, odpowiadające ich własnym skłonnościom artystycznym. Sprawa wpływu Powrotu posła na Gorie ot uma Gribojedowa nie jest wprawdzie udowodniona w sposób rozstrzygający definitywnie, ale zbieżności obu tych utworów zarówno w ugrupowaniu i charakterystyce postaci, jak też w poszczególnych sytuacjach fabuły oraz w głównych tendencjach ideowego stanowiska autorów, tak szczegółowo wynotowane przez prof. W Lednickiego [13]), pozwalają postawić hipotezę o genetycznej zależności Gribojedowa od Niemcewicza.

Bardziej wyraźne i znacznie głębiej sięgające nici związków genetycznych wiążą Dumy Rylejewa z cyklem Śpiewów historycznych. Sam autor przyznaje to zarówno w przedmowie do wydania zbioru, jak i w listach do Niemcewicza [14]). Zależność ta przejawia się nie tylko w ogólnej koncepcji stworzenia cyklu wierszy historycznych o tendencji dydaktyczno-patriotycznej i nie tylko w skrystalizowaniu gatunkowych właściwości utworów tego rodzaju, ale także w ukształtowaniu typu dumy monologowej opartej o wspomnienia, żale, lub śpiew głównej postaci, wprowadzonej w krótkiej, epickiej relacji autora, informującej o szczegółach otoczenia i sytuacji. Wyższość artystyczna Dum jako całości nad cyklem Śpiewów polskich nie może podlegać dyskusji, zauważył to już w r. 1826 Michał Grabowski, gdy w liście do Zaleskiego stwierdzał, że pieśni Rylejewa są „mniej suche" od wierszy Niemcewicza [15]), niektóre z nich jednak stanowią wierne odbicie wzoru polskiego, świadcząc dowodnie o sile jego sugestii.

Wpływ ten staje się tym bardziej ważki, im szerszy rozgłos uzyskały Dumy wśród społeczeństwa rosyjskiego. Według wspomnień N F. Glinki Dumy Rylejewa sprawiły znaczne poruszenie wśród czytelników. Ukazanie się ich w osobnym wydaniu wywołało ożywioną polemikę w czasopismach, zyskując wiele wysokich ocen (np. zdanie A. Biestużewa lub Pletniewa [16]). Niektóre z utworów poczęto przedrukowywać w ówczesnych śpiewnikach wraz z muzyką, dzięki czemu rychło weszły w repertuar popularnych pieśni ludowych. Niemałe echo wywołały także w sferach literackich: takie utwory, jak Küchelbeckera Swiatopołk Okajannyj, Jazykowa Piesń bajana pri naczatii wojny, Piesń barda pro wriemia władyczestwa tatar lub Jewpatij, a nawet Poslednij syn wolnosti Lermontowa — noszą ślady wpływów Rylejewa [17]).

Śpiewy Niemcewicza posłużyły zatem jako wzór próbom zmierzającym do stworzenia nowego gatunku poezji rosyjskiej w okresie wczesnego romantyzmu.

---

[13]) W artykule Gribojedow a Polska, l. c., s. 328—343.

[14]) Por. K. F. Rylejew, Izbrannoje, wwiedienije, ried. tieksta i primieczanija J. N. Wierchowskogo, OGIZ 1946, s. 157—9.

[15]) W liście do B. Zaleskiego w r. 1825, cytowane u Tretiaka, Bohdan Zaleski, Kraków 1911, s. 269.

[16]) Por. A. Cejtlin, K. F. Rylejew, Moskwa 1945, s. 20, wstęp Mordowczenki, w wyd.: K. Rylejew Stichotworienija, Biblioteka Poeta (Leningrad 1947) s. XIX — XX.

[17]) Por. W. Neumann, Geschichte der russischen Ballade, Königsberg 1937 s. 110—111 i A. Cejtlin, l. c., s. 36. W przekładzie polskim Dumy Rylejewa ukazały się dopiero w r. 1829.

Niemałą rolę w nawiązaniu ściślejszych stosunków umysłowych między Polską i Rosją odegrała również działalność petersburskiego Towarzystwa Miłośników Literatury Rosyjskiej z F. N. Glinką na czele. O zainteresowaniu sprawami życia kulturalnego Polski wśród członków tego Towarzystwa (w gronie ich znajdowali się Rylejew, i Gribojedow) świadczy już choćby fakt powołania na członków honorowych Lindego i Lelewela. Do pierwszego z nich zwrócono się także z następującą prośbą: „Najpokorniej upraszamy, by zechciał Pan ozdobić wydawane przez nas czasopismo użytecznymi dla oświeconego społeczeństwa dziełami swymi i donosić nam również o znanych Panu dziełach innych polskich uczonych i pisarzy. Prace te będą przełożone odpowiednio na język rosyjski i z radością zamieszczone przez nas w Soriewnowatielu[18]).

Jak świadczy monografista Rylejewa, W. Masłow, w bibliotece Towarzystwa znajdowały się książki polskie, na zebraniach nieraz odczytywano tłumaczenia z literatury polskiej, lub wygłaszano prace o Polsce i jej życiu kulturalno-umysłowym. Drukowano je potem na łamach pisma, wydawanego przez Towarzystwo p. t. Soriewnowatiel proswieszczenija[19]). M. in. tu właśnie w r. 1822 ogłoszono po raz pierwszy przekład Niemcewiczowskiej Dumy o Glińskim, dokonany przez Rylejewa, z krótką przedmową autora. Sam Rylejew przyjęty został na członka współpracującego za przekład satyry Bułharyna, napisanej w języku polskim p. t. Droga do szczęścia. Tenże Bułharyn zamieszcza w r. 1820 w piśmie, wydawanym przez siebie p. t. Syn otieczestwa, Krótki przegląd literatury polskiej, w którym m. in. podaje sporo wiadomości o Niemcewiczu i innych pisarzach Polski. W innym czasopismie, w Wiestniku Jewropy, redagowanym przez Kaczenowskiego, umieszczono w r. 1821 mowę Niemcewicza, wygłoszoną na pogrzebie Stanisława Potockiego. W tymże czasie znaczne uznanie zyskują naukowe i literackie prace Polaka piszącego po francusku, Jana Potockiego. Przekłady jego dzieł poczynają się pojawiać już po 1823 r.[20]), a echa wpływów jego Rękopisu znalezionego w Saragossie odezwą się niebawem w twórczości Puszkina[21]).

Kontakty między ruchem umysłowym obu krajów zacieśnione zostają jeszcze bardziej wskutek studiów i prac, podejmowanych w owym czasie przez Pola-

[18]) Cyt. wg H. Batowskiego, Mickiewicz a Słowianie do r. 1840, Lwów 1936 s. 58—59.

[19]) W. I. Masłow, Litieraturnaja diejatielnost' K. F. Rylejewa, Kijew 1912. Por. Lednicki, Gribojedow a Polska, l. c., s. 341—2 „Lista tych przekładów i referatów — wg słów Lednickiego — jest wcale pokaźna".

[20]) Pierwsze przekłady Potockiego na język rosyjski: a) Archeołogiczeskij Atłas Jewropejskoj Rossii, tłum. B. Anastasiewicz, Petersburg 1823, b) przekład Voyage dans les steps d'Astrakhan et de Caucas w piśmie Siewiernyj Archiw w r. 1828 i c) Drewnija istorija wołynskoj gubernii, w przekładzie S. Russowa, Petersburg 1829.

[21]) Por. prof. J. Krzyżanowski, Na manowcach „Drogi do Rosji" w Ruchu Literackim, 1934, s. 65—73. Stwierdzono tam, iż Alfons Puszkina stanowi rymowaną parafrazę początkowych fragmentów powieści Potockiego. Por. także uwagi W. Lednickiego o wpływie rękopisu Potockiego na Wystrzał Puszkina i in. jego utwory (Puszkin, 1837—1937, l. c., I. 325—336).

ków w różnych ośrodkach życia naukowego w Rosji. Początkowo zjeżdżają tu jako studenci w celu pogłębienia lub uzupełnienia nauki otrzymanej uprzednio w kraju. Tak np. dość liczne grono Polaków kształci się w petersburskim Instytucie Języków Wschodnich, tu m. in. studiują Al. Chodźko, Spitznagel, Żabowie, Szemiot, Wiernikowski. Wielu zajmować będzie później odpowiedzialne stanowiska w nauce lub dyplomacji rosyjskiej. Grono Polaków pracujących naukowo w Rosji wzrasta zwłaszcza po zesłaniu młodzieży wileńskiej w wyniku procesu filomatów. Józef Jeżowski w latach 1826 — 1827 jako profesor języka greckiego miewa wykłady w uniwersytecie moskiewskim. W tym samym uniwersytecie w charakterze bibliotekarza pracuje również Onufry Pietraszkiewicz. W Petersburgu w latach 1826 — 1828 przebywa Mikołaj Malinowski. Po kilkunastu latach przybędzie tu także Zan jako bibliotekarz Instytutu Górniczego. Poważne stanowisko w orientalistyce rosyjskiej zajmuje Józef Kowalewski, od r. 1833 profesor języka mongolskiego w Kazaniu, członek kor. Petersburskiej Akademii Nauk, uczony, którego prace zapoczątkowały naukowe badania mongolszczyzny. W tymże Kazaniu wykłada również jako profesor języków wschodnich Jan Wiernikowski.

Wielu innych, rozrzuconych tam i ówdzie wśród gubernialnych lub powiatowych miast rosyjskich, musiało oddziaływać na otoczenie i zaznajamiać je z umysłowym i kulturalnym życiem Polski — jak choćby ów nieznany bliżej Szumski z Wilna (zesłaniec, zamieszkały w Czembarze), z którego biblioteki nieraz pono korzystał Lermontow, gdy przebywał u babki w Tarchanach[22]). Pięknym przykładem mogą również służyć prace Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, (Adama Czarnockiego, 1784 — 1825), wielce zasłużonego, choć niedocenionego, a przez uczonych rosyjskich skrzywdzonego badacza przeszłości Słowiańszczyzny, wędrującego po ziemiach Rosji w poszukiwaniu śladów dawnych osiedli słowiańskich[23]).

5

W przeglądzie tym nie sposób także pominąć działalności pisarzy rosyjskich pochodzenia polskiego. Mniejsza o takich, których rody uległy rusyfikacji w pokoleniach z XVII lub XVIII wieku, chociaż i to miało swoje znaczenie, jak świadczą przykłady Gribojedowa (potomka mazowieckiego rodu Grzybowskich herbu Prus II), Glinki (praszczura smoleńskiej linii Glinków herbu Trzaska), lub Boratyńskiego (potomka świetnego rodu Boratyńskich, herbu Korczak). Chodzi tu głównie o tych, którzy wychowani w tradycji polskiej, młodość swą przeżyli w atmosferze kultury ojczystej, a do rosyjskiego społeczeństwa weszli dopiero w sile wieku, mając na widoku względy kariery osobistej.

Odnosi się to przede wszystkim do Bułharyna i Sękowskiego. Obaj odegrali bardzo znaczną rolę w literaturze rosyjskiej okresu Puszkinowskiego, do dziś dnia niezbadaną jeszcze w sposób wystarczający, mimo iż w latach ostatnich po-

---

[22]) Por. I. N. Zacharin (Jakunin), Bielinskij i Lermontow w Czembarie. Wstrieczi i wospominanija, Petersburg 1903, s. 8—11.

[23]) Początkowo sprawozdania z tych podróży ogłaszano także w Polsce, por. Gazeta Literacka, 1822, I. 117—120, doniesienie: Z Moskwy.

jawia się coraz więcej prac, poświęconych ich działalności[24].) Studia te zmierzają przeważnie do rewizji dotychczasowych poglądów, niesłusznie lekceważących literacką pozycję obu tych pisarzy w Rosji. Wpływy Bułharyna opierały się głównie o prasę. W owym okresie (w latach 1820 — 1830) mieli wraz z Greczem niemal dyktatorskie znaczenie w dziedzinie periodycznych wydawnictw. Nie było w tych czasach żadnej imprezy artystycznej, żadnego zjawiska literackiego, które nie znalazłoby oddźwięku na łamach ich pism. Gdy Polewoj spróbował podważyć ten prasowy monopol, otwierając pismo Moskowskij Telegraf, wszczynają polemikę, jakiej nie było dotąd w Rosji i nie będzie później aż do roku 1860. Ale znaczenie Bułharyna w rozwoju literatury rosyjskiej nie kończy się tylko na tym. Jest on także autorem powieści, z których pierwsza p. t. Iwan Wyżygin osiągnęła dużą popularność [25]).

Już w pierwszych recenzjach tej satyryczno-obyczajowej powieści podkreślano jej nowość gatunkową (por. np. recenzję Polewoja w Telegrafie, 1827). Ale główną zasługą autora jest nie tyle próba utworzenia nowej odmiany utworów powieściowych (romanse tego rodzaju pisano już wszakże przed Bułharynem, por. chociażby twórczość Izmajłowa), ile raczej przystosowanie jej do upodobań i poziomu umysłowego najszerszych warstw czytelniczych ówczesnej Rosji. Toteż ukazanie się tej powieści i niebywały sukces jej wśród szerokich rzesz czytelników stały się ważkim wydarzeniem w dziejach życia literackiego. A w przeglądzie niniejszym utwór ten nabiera tym większego znaczenia, iż wyrasta z podglebia literatury polskiej. Zbyt silne nici związywały autora tej książki, honorowego członka wileńskich Szubrawców, z polskim ruchem umysłowym, by twórczość jego nie nasiąkła tendencjami, które znał z literatury ojczystej. O wpływie powieści Krasickiego wspominano już wyżej, tu — dla przykładu jeno — wymienić by jeszcze można ideową zależność Bułharyna od satyry Szubrawców. Sam mówi bez ogródek o zapożyczeniu niektórych szczegółów swej powieści z artykułu Wiadomości Brukowych [26]), a zakres wad, przeciw którym występuje, pokrywa się niemal całkowicie z przedmiotem ataków, przeprowadzanych przez Szubrawców [27]).

Jeszcze większą może rolę w umysłowym i literackim życiu Rosji odegrał znakomity orientalista, utalentowany wydawca i niepośledni pisarz tego okresu, Józef Sękowski. Zanim przeprowadzone zostaną szczegółowe badania porównawcze, niewiele da się powiedzieć o stosunku jego twórczości do spadku odziedziczonego z kultury polskiej. Wdzięczne pole dociekań czeka wciąż jeszcze

[24]) Por. np. książkę Kawierina Baron Brambeus, prace P. Struwe o Sękowskim i A. Pogodina o Bułharynie, odczytane w Białogrodzie w ll. 1932—1933 w Rosyjskim Instytucie Naukowym, oraz interesujące wywody tegoż Pogodina w artykule: Russkije pisatieli — Polaki, w księdze: Z zagadnień kulturalno-literackich Wschodu i Zachodu, l. c., s. 107—121.

[25]) Znacznym powodzeniem cieszyła się także w Polsce. Już w r. 1829 ukazało się w Wilnie tłumaczenie tej powieści na język polski, dokonane przez Jana Radeckiego. W rok później (1830) pojawia się także warszawska edycja Wyżygina w przekładzie St. Mackiewicza, a równocześnie niemal zapoczątkowana zostaje trzecia i czwarta edycja. Ostatnia w tłumaczeniu A. Prokopowicza doczekała się drugiego wydania już w r. 1835.

[26]) W numerze 122 z r. 1818, art. p. t. Wyjawienie sekretów króla Faraona. Por. W. Czernobajew, l. c., s. 60.

[27]) Por. uwagi A. Pogodina, l. c., s. 113.

na trud polonisty. Ale i tu już z góry określić można, iż zależność ta idzie zapewne daleko w głąb utworów Sękowskiego. Jego listy do Lelewela [28]) świadczą wyraźnie, jak silnie związany był z kulturą polską. Dlatego też w pierwszych latach kariery naukowej tak obco się czuł w otoczeniu Rosjan [29]). Na dokładniejsze zbadanie zasługuje również działalność jego jako wydawcy pisma p. t. Bibliotieka dla cztienija. Jego to wpływom udało się przyzwyczaić społeczeństwo rosyjskie do czytywania czasopism. Wydawnictwo swe redagował z myślą o zainteresowaniach przeciętnego czytelnika, a jednocześnie potrafił utrzymać je na takim poziomie i takie nadać mu znaczenie, że nawet najsroższy wróg jego, Bielinski, musiał wreszcie, w r. 1836, przyznać, iż pismo to zajmuje w Rosji przodujące i najważniejsze stanowisko [30]).

6

Petersburg — jako stolica państwa, obejmującego większość ziem Rzeczpospolitej, staje się w tym czasie miastem, w któyrm kolonia polska wzrasta z roku na rok. Jedni jak Józef Emanuel Przecławski, późniejszy redaktor Tygodnika Petersburskiego, lub sławny Kasper Żelwietr, opisany tak szeroko we wspomnieniach Morawskiego [31]), przybywają tu w sprawach majątkowych, dla załatwienia interesów sądowych lub spadkowych. Inni, jak Adam Rogalski, jeden z redaktorów pisma satyrycznego, które się ukazywało w Petersburgu w języku polskim w latach 1830 — 1835 p. t. Bałamut petersburski, znajdują w Petersburgu pracę w charakterze urzędników. Jeszcze innych ściąga tu poszukiwanie odpowiedniego środowiska do rozwinięcia swych uzdolnień artystycznych.

Udział tych ostatnich w życiu kulturalnym Petersburga jest bardzo znaczny. Występują we wszystkich gałęziach sztuki, wysuwając się nieraz między najznakomitszych artystów owego czasu. Muzykę reprezentują Józef Kozłowski i Maria Szymanowska. O uznaniu, jakie pianistka ta potrafiła zdobyć wśrod elity kulturalnej Petersburga, świadczyć może album z wpisanymi dla niej autografami najwybitniejszych pisarzy owego czasu [32]). Jeszcze świetniej reprezentowane jest malarstwo. Dość wspomnieć Aleksandra Orłowskiego, Ksawerego Kaniewskiego lub Józefa Oleszkiewicza. Na studiach w Akademii Sztuk Pieknych przebywają w tymże czasie (od roku 1826) uzdolnieni stypendyści Uniwersytetu Wileńskiego, Walenty Wańkowicz i Wincenty Smokowski.

Jeśli do tego dodamy jeszcze żywy udział artystów polskich w towarzyskim życiu Petersburga, zamykającym się wówczas w dobranym kole elity umysłowej, łatwo uświadomimy sobie wpływ, jaki to masowe wtargnięcie żywiołu polskiego wywrzeć musiało na stołeczne koła społeczeństwa rosyjskiego. Dla kół tych miały swój urok nie tylko zewnętrzny szyk i elegancja ubioru, choć i to stanowiło okoliczność, o której ówcześni Rosjanie wspominają

---

[28]) Ogłoszone w Bibliotece Warszawskiej w r. 1877.

[29]) Por. sąd Kawierina zacytowany u Pogodina, l. c., s. 118.

[30]) Por. Pogodin, l. c., s. 119.

[31]) W Peterburku, Poznań (b. d.), s. 75 i nn.

[32]) Por. W. Lednicki, Przyjaciele Moskale w albumie i zbiorze autografów M. Szymanowskiej, Przyjaciele Moskale, l. c., s. 261-341.

raz po raz [33]). Nierównie ważniejszą rolę dla wytworzenia przychylnej atmosfery wobec kultury polskiej odgrywały zachwyty nad uzdolnieniami narodu, który wydał tylu utalentowanych artystów. Stąd też zapewne wypłynęło owo, zbyt już pochlebne, przekonanie o wyjątkowej muzykalności Polaków, nieraz wypowiadane w ówczesnych czasopismach rosyjskich [34]). Zwłaszcza iż sprzyjały ich ugruntowaniu bardzo dodatnie, a niekiedy nawet entuzjastyczne, świadectwa pisarzy, znających Polskę z własnych podróży. Wystarczy raz jeszcze powołać się na opisy Glinki, lub zdanie Wiaziemskiego, który utrzymywał, że „atmosfera kulturalno-literacka w Warszawie za jego tam pobytu była daleko lepsza i poziom zainteresowań społeczeństwa dla teatru i literatury — wyższy niż w Moskwie" [35]). Być może, iż stało to również w pewnym związku ze zwrotem ku nowym prądom romantycznej poezji i porzuceniem wzorów francuskich. Stąd też zapewne wypływały owe zalecenia starego Dmitrjewa, gdy w r. 1819 nawoływał pisarzy rosyjskich, by zaniechali naśladownictwa literatury francuskiej, a zwrócili się ku twórczości narodów sąsiednich.

W takiej atmosferze wystarczyło, by pojawił się ktoś opromieniony sławą młodego poety — romantyka, w aureoli skazańca politycznego, aby skupił na sobie ogólną uwagę rosyjskiej elity kulturalnej, zwłaszcza gdy ten ktoś umiał wstrząsać do głębi duszami swych słuchaczów, podobnie jak czynił to Mickiewicz w czasie słynnych improwizacji. Entuzjazm stawał się powszechny, budząc wśród artystów uznanie, podziw, szacunek, a nieraz nawet uczucie serdecznej przyjaźni — w szerszych zaś sferach salonowego towarzystwa wytwarzając ogólne, niekiedy może nawet snobistyczne, zainteresowanie wszystkiem, co polskie. Dopiero na tle takiej atmosfery jasne być może, skąd się tak nagle zebrało damom moskiewskim na naukę języka polskiego. Równocześnie ze szczerym podziwem „przyjaciół Moskali" — w szerszych kołach poczęło się wytwarzać coś w rodzaju mody na wszelką polszczyznę i tę właśnie modę miał zapewne na myśli Mickiewicz, gdy pisał z Moskwy do Zana 3. IV. 1828 r.: „Uczę... po polsku niektóre damy. Inter parenthesin wielu tu uczy się po polsku i kurator zamyśla katedrę przy uniwersytecie założyć" [36]).

7.

Mickiewicz i znaczenie jego we wzajemnych stosunkach literackich między Polską i Rosją stanowi zagadnienie, wokół którego narosła już dziś bogata lite-

---

[33]) Ciekawy szczegół może stanowić uwaga Morawskiego o zaniedbaniu w doborze eleganckiego stroju nóg u dam petersburskich sprzed r. 1830 w porównaniu z szykiem obuwia pań polskich (por.: W Peterburku, l. c., s. 170—1), co niezależnie od niego stwierdza także Wiaziemski w wierszu z r. 1828 pt. Stancija, wychwalając pantofelki dam w Polsce.

[34]) Por. np. zdanie jednego z literatów petersburskich, ks. Szalikowa, który tak oto rozpoczął recenzję z koncertu Szymanowskiej: „Prócz Italii nie ma zapewne kraju, gdzieby talenty muzyczne występowały wśród wszystkich warstw narodu z większą siłą niż w Polsce..." (Moskowskija Wiedomosti, 1822, s. 1146, cyt. wg Lednickiego Przyjaciele Moskale, l. c., s. 269). Podobne świadectwo o wyjątkowym zamiłowaniu do muzyki i śpiewów w Polsce wystawia F. N. Glinka (Piśma russkago officera, Moskwa 1815, s. 135—6, por. także u Lednickiego, l. c., s. 330).

[35]) W. Lednicki, Przyjaciele Moskale, l. c., s. 164; por. także Wiaziemski, l. c., t. II., s. X.

[36]) Dzieła wszystkie, l. c., XIII 345.

ratura naukowa[37]). Stwierdzono od dawna, iż rola jego w poezji rosyjskiej — to nie tylko węzły serdecznej przyjaźni, łączącej go z Puszkinem, Rylejewem, Wiaziemskim, Sobolewskim, Boratynskim i wielu innymi pisarzami rosyjskimi, ale przede wszystkim oddziaływanie siły jego artyzmu, który, przyjmowany początkowo jako swoista odmiana poezji romantycznej, rychło stał się w życiu literackim Rosji zjawiskiem, przekraczającym granice jednej tylko epoki, — czynnikiem, żywym do dziś dnia, — symbolem poezji wiecznie aktualnej, podobnie jak twórczość Szekspira, Byrona, czy Goethego, z którymi w Rosji zestawiano niejednokrotnie autora Sonetów krymskich[38]). By zorientować się, jak szeroki był wachlarz pisarzy, objętych kręgiem bezpośrednich wpływów Mickiewicza, wystarczy zacytować z listy jego tłumaczy poetów takich, jak Rylejew, Wiaziemski, Puszkin, Lermontow, Fet, Bieniediktow, Kozłow, Mej, Szewyriew, Ogariew, Bunin, Briusow, Balmont, Antokolski, Asiejew. Pojawienie się każdego z nowych utworów Mickiewicza stawało się doniosłym wydarzeniem w ówczesnym życiu literackim Rosji. Świadczą o tym liczne artykuły w czasopismach, zarówno tych, które pozostawały w zasięgu wpływów Bułharyna, jak i po stronie jego opozycji[39]). Świadczy także pośpiech, z którym tłumaczono świeżo napisane utwory jeszcze przed ogłoszeniem ich w druku. Snadź bardzo szybko rozchodziły się wiersze Mickiewicz wśród jego „przyjaciół Moskali", skoro Rylejew zdążył jeszcze przed zamachem „grudniowym" w r. 1825 jąć się przekładu Rezygnacji[40]).

Mickiewicz staje się epoką w stosunkach literackich polsko-rosyjskich, patronując już odtąd wszystkim zbliżeniom poetów swego kraju z twórczością „przyjaciół Moskali". Zapoczątkowuje kulminacyjny okres tego zbliżenia, przerwanego niebawem wypadkami powstania listopadowego, prześladowaniem carskiej cenzury i wzrostem antypolskich nastrojów wśród Rosjan. Znaczenie Mickiewicza jako zjawiska, które miało swój własny udział w dziejach poezji rosyjskiej, przekracza znacznie ramy niniejszego referatu; odsyłając przeto do zacytowanej literatury, pozostaje tylko zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność.

Pobyt Mickiewicza w Rosji przypadł w okresie młodzieńczej dojrzałości poety. Były to — jak sam stwierdzał — najpiękniejsze lata jego życia. Tam,

---

[37]) Por. prace Spasowicza, Tretiaka, Brücknera, Lednickiego, Blütha, Batowskiego, Łepkiego i innych. Z ostatnich prac por.: J. Tyc, Puszkinowskie przekłady z Mickiewicza w księdze: Puszkin 1837—1937, l. c., II. 3—14, M. Żiwow, wstęp do wyboru poezji Mickiewicza, Moskwa 1946 i Cz. Zgorzelski, Mickiewicz w Rosji, Twórczość 1947, z. 11, s. 94—103.

[38]) Por. np. słynny wiersz Boratynskiego, wypowiedź A. Grigorjewa, cyt. w Twórczości, 1947, s. 96, lub winietkę Berensztama, przedstawiającą Wordswortha, Szekspira, Dantego, Petrarkę, Camoensa i Mickiewicza, zamieszczoną w III tomie „akademickiego" wydania Puszkina (s. 81).

[39]) Por. np. stałe zainteresowanie Mickiewiczem i literaturą polską na łamach Moskiewskiego Telegrafu M. Polewoja; na dowód można by zacytować co ważniejsze pozycje: O sostojanii, duchie i striemlenii nowiejszej polskoj poezii (r. 1826), art. Wiaziemskiego o Sonetach Mickiewicza (r. 1827), kiewiczu przed ogłoszeniem przedmowy O krytykach i recenzentach war- art. o rosyjskim przekładize Sonetów (r. 1829), uwagi o Mickiewiczu przed ogłoszeniem przedmowy O krytykach i recenzentach warszawskich (r. 1829).

[40]) Por. wstęp J. Wierchowskiego do wydania poezji Rylejewa (Izbrannoje, OGIZ 1946, s. 10).

wśród życzliwości, a niekiedy nawet wśród miłości i podziwu ludzi do niedawna mu obcych, w atmosferze wesołego życia i pozornie beztroskiej swobody, w otoczeniu elity umysłowej i towarzyskiej obu stolic Rosji — ale równocześnie w wybuchającej raz po raz tęsknocie do kraju i „swoich", w tajonej głęboko trosce o losy narodu, we wzrastającym poczuciu własnego powołania i odpowiedzialności za przyszłość ojczyzny — dojrzewał talent już nie na miarę jednego pokolenia i jednej tylko społeczności narodowej. Dojrzewał artysta w skali, sięgającej daleko poza granice własnego kraju. W zespole czynników, które oddziaływały na kształtowanie się tego talentu, udział Rosji, jej społeczeństwa i literatów nie był zapewne ani decydujący, ani nawet najważniejszy, posiadał jednak znaczenie tak ważkie, iż bez dokładnego wyjaśnienia wszystkich nici, które związują naszego poetę z rosyjskim życiem literackim, nie dotrzemy do pełnego rozwiązania zagadnień, jakie stoją jeszcze przed nami w zakresie twórczości Mickiewicza.

8

Oddziaływanie literatury rosyjskiej na polską twórczość literacką w okresie Księstwa Warszawskiego nie wykraczało poza charakter sporadycznych, z rzadka jeno przytrafiających się zetknięć. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk stosunkowo niewiele uwagi poświęcało sprawom rosyjskim. Takie fakty jak powołanie Dzierżawina na członka Towarzystwa w r. 1802, lub korespondencja z niektórymi uczonymi rosyjskimi [41]) mogą służyć tylko jako przykłady rzadkich prób nawiązania ściślejszych kontaktów między ruchem umysłowym obu krajów. W czasopismach z okresu pierwszych dwudziestu lat wieku XIX trudno odszukać jakichś śladów żywszego zainteresowania krajem, obyczajami lub życiem w Rosji. Parę takich pozycji pojawiło się w pierwszych latach istnienia *Dziennika Wileńskiego* [42]), kilka innych dałoby się wynotować z czasopism warszawskich już po roku 1815 [43]), ale suma wiedzy, jaką o życiu w Rosji zaczerpnąć można było wówczas z polskiego słowa drukowanego, sprowadzała się jedynie do kilku wydawnictw o charakterze podręczników [44]). Dużą rzadkość stanowiły także w owym czasie przekłady z poezji rosyjskiej. Podobnie jak i wspomniane już artykuły o literaturze rosyjskiej —

[41]) Z. Klarnerówna (*Słowianofilstwo w literaturze polskiej lat 1800—1848*, Warszawa 1926, s. 28) mówi o korespondencji z Keppenem, Sziszkowem i Rumiancewem.

[42]) Por. np. *Ośmioletnią podróż jen. Saryczewa do Syberii* (w rocz. 1805, 1806) lub *Podroż z Moskwy do Trojeckiego klasztoru* (w rocz. 1806). W tymże 1806 r. ukazała się w *Dzienniku Wileńskim* notatka pt. *Literatura rosyjska*.

[43]) Por. np. artykuły Lindego w *Pamiętniku Warszawskim*: *O literaturze słowiańsko-rosyjskiej* (1815—16) i *Obraz systematyczny literatury w Rosji od 1801—1805 r.* (1816). W tymże czasie ukazało się także kilka notatek o literaturze rosyjskiej w *Dzienniku Wileńskim* (*Z literatury rosyjskiej w r. 1817, 1818*, *Pisma periodyczne rosyjskie* — 1818).

[44]) Takich jak np. Ziabłowskiego *Geografia państwa rosyjskiego w teraźniejszym jej stanie*, Wilno 1810, *Historia Rosji krótko zebrana*, lub podręczniki do nauki języka: Michała Butowskiego (Poczajów 1809), Jana Piotra Dworzeckiego (Wilno 1809) i późniejsze: Jana Heyma (Wrocław 1819), Ostrowskiego *Wypisy z autorów rosyjskich* (Wilno 1819) i inne.

pojawiają się one niemal wyłącznie we wschodnich ośrodkach kulturalnego życia Polski, ogarniętych zaborem rosyjskim. Jako przykłady można by tu wymienić takie tłumaczenia, jak Karamzinowskie Listy pewnego ruskiego wojażera [45]), lub Jabieda Bazylego Kapnista [46]), oba utwory trafnie wybrane z szeregu wybitnych dzieł literatury rosyjskiej tego okresu.

Na tym tle wyjątkową pozycję zajmuje Cyprian Godebski. Redagowane przezeń pismo, Zabawy Przyjemne i Pożyteczne, kilkakrotnie zamieszczają informacje o poezji rosyjskiej w rubryce „Literatury zagraniczne" [47]). Trafnie też wyczuł największą sensację literacką owych lat w Rosji, zwracając uwagę czytelników na Słowo o wyprawie Igora. Godebski nie wierzy wprawdzie w jego autentyczność, utrzymując, iż jest to apokryf napisany przez Musin-Puszkina, podkreśla jednak bardzo silne zarówno literackie, jak i historyczne znaczenie poematu, zamieszczając przekład wielu jego fragmentów prozą lub wierszem. Załącza także obszerną parafrazę jednej z pieśni utworu p. t. Żal Eufrozyny Jarosławny; odchodzi w nim jednak dość daleko od oryginału, wskutek wyraźnej tendencji do przybrania go w szaty sentymentalnej tkliwości, odziedziczonej może ze źródła francuskiego, skąd pono [48]) czerpie Godebski zarówno tekst utworu, jak i wiadomości o jego historii. Być może, iż tą samą drogą trafiła z Rosji na warsztat poetycki Godebskiego Czerna, księżna Czerniechowska, ze znamiennym podtytułem „starożytny rosyjski romans". Był to wszakże okres, w którym do literatury, uznawanej oficjalnie na Parnasie warszawskim, wejść można było jedynie przez progi francuskie.

Sytuacja poczyna się zmieniać dopiero około r. 1820; początkowo następuje to w wyniku zmienionych warunków politycznych i wzrastającej z roku na rok znajomości stosunków rosyjskich, do czego niemało się przyczyniają wspomniane wyżej kontakty Polaków i Rosjan w Warszawie i w Petersburgu. Coraz liczniej zaczynają się pojawiać artykuły o Rosji i jej piśmiennictwie, zainteresowanie sprawami rosyjskimi przenikać poczyna do większej ilości czasopism [49]), ukazują się nawet osobne wydawnictwa książkowe, obszernie infor-

[45]) W tłumaczeniu Ignacego Bujzona, Wilno 1802. Zdaze się, że wyszła tylko część I tych Listów.

[46]) W przekładzie M. B. Tomaszewskiego, wydana w Mińsku w r 1808.

[47]) Por. r. 1804, t. III, s. 33, t. IV, s. 62; r. 1805 t. II, s. 21.

[48]) A. Brückner, wstęp do wydania Słowa w Bibliotece Narodowej (Kraków 1928, XVII). Opinia Pilata (Historia poezji polskiej, Lwów 1903, t. IV, część II, s. 36—7) cytuje te objawy rosyjskich zainteresowań Godebskiego jako dowód literackiej niezależności poety.

[49]) Por. np.: Ułamki z podróży do Rosji. Rozmaitości (lw.) 1820, Rzut oka na fizyczny stan Rosji, Dziennik Wileński, 1822; Wyszukiwanie starożytności w Rosji, Rozmaitości (lw.), 1818; Obraz ogólny instytutów w Rosji, Pamiętnik Warszawski, 1821; Cesarska Akademia rosyjska, Dziennik Wileński, 1820; Towarzystwa uczone w Rosji, tamże 1818; Rosyjskie urządzenia oświatowe, Rozmaitości (lw.), 1819; Z Rosji i o Rosji, tamże, 1821 i inne. Por. także artykuły o literaturze rosyjskiej: Z literatury rosyjskiej, Dziennik Wileński, 1817; O stanie literatury rosyjskiej w r. 1817, tamże 1818; Stan literatury rosyjskiej, Rozmaitości (lw.), 1821; T. Bułharyna Kilka słów o literaturze rosyjskiej, Dziennik Wileński, 1824; Pisma periodyczne rosyjskie, tamże 1818 i inne.

mujące o stanie ówczesnej literatury rosyjskiej [50]). Jako przykład wystarczy zacytować Mikołaja Grecza Rys historyczny literatury rosyjskiej, przełożony przez Lindego w r. 1823 wraz ze Spisem literatury rosyjskiej r. 1822 T. Bułharyna i Rzutem oka na starożytną i nową literaturęw Rosji A. Biestużewa. W parę lat później, w r. 1825, Dziennik Wileński drukuje w przekładzie L. Rogalskiego II część artykułu Biestużewa p. t. Rzut oka na literaturę rosyjską w r. 1824 i w początkach 1825 (I. 431 — 441).

Znaczną rolę odgrywały również wiadomości, przesyłane do kraju przez Polaków, przebywających w Petersburgu lub Moskwie, jak wynika to choćby z listu Pełczyńskiego, pierwszego polskiego informatora o poezjach Puszkina [51]). Liczniej pojawiają się także przekłady poezji. Niemal wszystkie dotyczą literatury „starszej", o uznanej pozycji literackiej i reprezentują bądź to upodobania sentymentalne, bądź też tendencje, zbliżone do chwiejącego się już u nas klasycyzmu Szczególną popularnością w latach 1820 — 1823 cieszą się poezje Dzierżawina [52]), w dalszej kolejce idą historyczne i literackie prace Karamzina [53]), a od czasu do czasu pojawiają się także bajki Dmitrjewa lub Kryłowa [54]).

[50]) Por. także książki, wydane w tym czasie o Rosji w ogóle: Bychowiec J., Rzut oka na Rosję pod względem historycznym, statystycznym, politycznym, moralnym, naukowym, Warszawa 1817; Ostrowski, Jeografia cesarstwa rosyjskiego, Wilno 1824; tenże, Krótka historia państwa rosyjskiego, Wilno 1824; Uspienski G., Krótkie opisanie starożytności rosyjskich, w przekładzie Hlebowicza, Wilno 1822 i inne.

[51]) Archiwum Filomatów, część I Korespondencja 1815—1823, Kraków 1913, III. 21 (list z 17 — 19 listopada 1820 r.).

[52]) Oda Bóg w r. 1815, przełożona na łacinę (De Deo, carmen rossiacum latinis elegis explicuit Stan. Czerski, Vilnae 1819) w l. 1821—1830 pojawiła się ośmiokrotnie w pięciu przekładach: Lityńskiego, Ignacego Szydłowskiego, J. K. Wiszniewskego, Trojanowskego, anonima i Zgierskiego. Tenże Zgierski przetłumaczył poza tym w l. 1822 — 1825 cztery inne ody, Lityński zaś — 7.

[53]) Por. Wyjątki z Historii, Tygodnik Wileński 1820, pełny przekład tejże Historii państwa rosyjskiego pióra G. Buczyńskiego, t. 13, Warszawa 1824 — 1827, 1830; Marta Borecka czyli upadek Nowogrodu w przekładzie L. Rogalskiego, Wilno 1827. Wiersze drobniejsze — w czasopismach: Do słowika, Dziennik Wileński 1825, Wyjątki z pism: Wieś, Dzień mój, Tygodnik Wileński 1820. Por. także głosy polskie o Karamzinie: interesujące zestawienie Karamzina z Krasickim w art. Bartoszewicza w Tygodniku Wileńskim 1820, notatkę w Dzienniku Wileńskim 1826, II. 66, i nekrolog w Rozmaitościach Literackich Warszawskich 1828.

[54]) Por. bajki Dmitrjewa: Ryś i kret w przekł. S. Żukowskiego, Tygodnik Wileński 1816, Gołąbki w Dzienniku Wileńskim 1822. Nieco później ukazuje się wydawnictwo książkowe: Dmitrjew, Apologi czterowierszowe w tłumaczeniu B. Reutta, Petersburg 1827 i Jermark w przekł. tegoż autora, Petersburg 1830. Bajki Kryłowa — w Rozmaitościach Literackich Warszawskich 1827, w Pismach F. S. Dmochowskiego (Warszawa 1827, I), w krakowskich Rozrywkach Przyjemnych i Pożytecznych, 1827. Por. także uwagi O bajkach Kryłowa w Rozmaitościach (Lw.), 1826.
o fabułę, zbliżoną do Świetłany Żukowskiego. Jest nią Wieczór św. Anukraińskiego". Rychło jednak, już w krytyce ówczesnej, zarzucono Witwickiemu, iż nik Lubelski, Lublin 1938, III. 172—174, który za pomocą dokładnego zestaskiego, l. c.).

Ale w pobliżu, za drzwiami, stoi już także poezja młodsza — w postaci balladowej twórczości Żukowskiego. Według tradycji, opartej na relacji Ignacego Chodźki i A. E. Odyńca, drzwi te otworzyć jej miała entuzjastyczna prezentacja L u d m i ł y przez Czerniawskiego, syna rusycysty Uniwersytetu Wileńskiego, wobec grona swych młodych kolegów. Tą drogą, poprzez rosyjską przeróbkę L e n o r y Bürgera, dotrzeć miały do Wilna pierwsze jaskółki balladowego romantyzmu Zachodu. Sąd ten — w odniesieniu do narodzin ballady polskiej — byłby przesadny i niesłuszny [55]), ale w zakresie środowiska wileńskiego L u d m i ł a Żukowskiego była istotnie rewelacją poetycką o doniosłym, zapładniającym znaczeniu, stając w ten sposób u genezy balladowej poezji filomackich przyjaciół Mickiewicza. Rozpoczyna ją Tomasz Zan, występując już w czerwcu 1818 r. z przeróbką L u d m i ł y Żukowskiego, nazwaną z litewska imieniem N e r y n y.

Z tegoż wileńskiego środowiska, spod pióra A. E. Odyńca, wyszło w kilka lat później (w r. 1825) tłumaczenie drugiej ballady Żukowskiego, opartej o wątek Bürgerowskiej L e n o r y p.t. Ś w i e t ł a n a. To powodzenie L e n o r y w sentymentalnym przebraniu Żukowskiego wyjaśnia do pewnego stopnia recenzję Fr. Dmochowskiego [56]), który przychylnie oceniając Ś w i e t ł a n ę, wynosi ją ponad balladę Bürgera, jako utwór bardziej zharmonizowany, o pogodnym wydźwięku końcowym, z usunięciem upiorowych elementów grozy w sferę majaczeń sennych i zatuszowaniem zbyt ponurych akcentów L e n o r y. Zarówno Dmochowskiemu, jak i większości ówczesnych czytelników polskich, wychowanych na zasadach poetyki sentymentalnej, literacki krój Żukowskiego przypadał bardziej do smaku, niż styl ludowego prymitywu romantyki niemieckiej [57]).

---

[55]) W owym czasie znano już w Polsce przykłady twórczości balladowej Niemiec i Anglii, choćby w postaci sentymentalnych przeróbek Niemcewicza i licznych, acz nie zawsze udatnych, przekładów z Schillera i Goethego. Nieco później (w r. 1819) pojawi się także przeróbka L e n o r y, dokonana przez K. L. Szyrmę bezpośrednio z niemieckiego oryginału.

[56]) B i b l i o t e k a P o l s k a, 1825, III. 272.

[57]) Cech tych nie posiada natomiast jeszcze jedna z ballad polskich, oparta o fabułę, zbliżoną do Ś w i e t ł a n y Ż u k o w s k i e g o. Jest nią W i e c z ó r ś w. A n d r z e j a Stef. Witwickiego, utwór o rok wcześniejszy od przekładu Odyńca (B a l l a d y i r o m a n s e, Warszawa 1824, I. 115—134). Nosi on podtytuł: „Z powieści ludu ukraińskiego". Rychło jednak, już w krytyce ówczesnej, zarzucono Witwickiemu, iż dopisek ten jest mistyfikacją, a ballada stanowi przeróbkę Ś w i e t ł a n y Żukowskiego (por. M. Grabowski i artykuł w D z i e n n i k u W a r s z a w s k i m). Poeta w odpowiedzi na te zarzuty podtrzymał pierwszą swą informację. Głosy następnych badaczy były rozdwojone: m. in. za tezą o zależności ballady Witwickiego od Ś w i e t ł a n y wypowiedział się W. A. Francew („Ś w i e t ł a n a" W. A. Ż u k o w s k i e g o i „W i e c z ó r ś w. A n d r z e j a" S t e f. W i t w i c k i e g o, Warszawa 1906, s. 5—10), przeciw zaś — Rojek (S t e f a n W i t w i c k i w W a r s z a w i e, Kraków 1908, s. 9—10). Ostateczne rozstrzygnięcie przyniosło studium Ant. Abramowicza (R o z b i ó r p o e t y c k i c h i p r o z a i c z n y c h u t w o r ó w S. W i t w i c k i e g o, P a m i ę t n i k L u b e l s k i, L u b l i n 1938, III. 172—174), który za pomocą dokładnego zestawienia ballady Witwickiego z tekstem odszukanej pieśni ludowej dowiódł, iż niektóre fragmenty W i e c z o r u ś w. A n d r z e j a są dosłownym przekładem tej pieśni i wobec tego nie mamy podstawy wątpić w prawdziwość słów autora. Toteż stanowisko Leona Gomolickiego, który w artykule D r o g a d o R o s j i (K u ź n i c a 1947, Nr 49, s. 8) jeszcze raz powtarza sąd o rzekomej zależności tej ballady od Ś w i e t ł a n y Żukowskiego, sprawia wrażenie anachronizmu, wynikającego chyba z niedostatecznej znajomości literatury przedmiotu.

Równocześnie poczęły się krystalizować zainteresowania literaturą rosyjską na innych terenach Polski. Wprawdzie w Uniwersytecie Krakowskim rusycystyka stawia w owym czasie dopiero pierwsze kroki, gubiąc się wciąż w trudnościach obsady personalnej [58]), ale już we Lwowie poczyna się tworzyć mocny ruch „sławofilski", szukający oparcia o kulturę Rosji. Przewodzi mu Stanisław Jaszowski na łamach Rozmaitości [59]). Spod jego to pióra wychodzi pierwsza obszerniejsza wiadomość o poezjach Puszkina [60]), pisana już w duchu nowej poetyki, po odrzuceniu kryteriów sentymentalizmu, które jeszcze w notatce z r. 1821 w tychże Rozmaitościach [61]) nakazywały zestawiać Rusłana i Ludmiłę z Oberonem Wielanda, by wykazać niedostateczną piękność Puszkinowskiego poematu.

W tymże czasie, niezależnie od Jaszowskiego, powstaje trzeci ośrodek zainteresowań literaturą rosyjską. Koncentruje się on wokół osoby Zaleskiego, ale obejmuje — jak się zdaje — większą ilość związanych z nim pisarzy. Ślady tych zainteresowań we wczesnej twórczości Zaleskiego są bardzo ważne. I co dziwniejsza: prowadzą — podobnie jak i w ośrodku wileńskim — ku przekładom Żukowskiego z poezji niemieckiej. I tu również romantyka Zachodu idzie z rąk pisarza rosyjskiego na warsztat poety polskiego w szacie skrojonej nieco na modłę sentymentalną. Taką właśnie drogą, poprzez wiersz Żukowskiego Toska po miłom trafia do Zaleskiego Des Mädchens Klage Schillera, przybierając kształty wiersza p. t. Ludmiła (1822) i tak również — w przekładzie Żukowskiego — przychodzi doń Harald Uhlanda, by w powiązaniu z pieśnią ludową o Konowczence stanąć u genezy Lubora, pierwszej romantycznej ballady Zaleskiego z r. 1822 [62]). W ten sposób Żukowski raz jeszcze odegrał rolę pośrednika między polską i niemiecką balladą.

Te rosyjskie zainteresowania Zaleskiego nie ustały i w dalszych latach. W korespondencji jego z przyjaciółmi trafiają się raz po raz informacje, świadczące o dość rozleglej lekturze w zakresie poezji rosyjskiej. Raz domaga się od Odyńca, by przysłał mu „poemat Puszkina" i jeden z numerów Moskiewskiego Telegrafu, znajdujący się u Lelewela [63]), kiedy indziej „uprasza o poema Igor Swiatosławowicz Pragskiej edycyi" [64]), a w pół roku później donosi, iż do listu poprzedniego dołączył był „Fantazję" Kozłowa (chyba Noc w Wenecji? [65]). Z tej też lektury wyrasta zapewne jego ballada Śpiewające jezioro, której pewne sformułowania przypominają — według słusznego spostrzeżenia M. Grabowskiego — scenę śmierci Czerkieski

[58]) Por. T. Lehr — Sławiński, Początki rusycystyki w Uniwersytecie Jagiellońskim, Puszkin 1837—1937, l. c. II. 83 i inne. (O rozwoju rusycystyki w Uniwersytecie Wileńskim por. liczne informacje w rozprawie Batowskiego, l. c.).

[59]) Por. M. Jakóbiec, Puszkin w Polsce, Puszkin 1837—1937, l. c., II. 114.

[60]) S. J., Puszkin, Rozmaitości, 1824, s. 390—391.

[61]) Z Rosji i o Rosji, Rozmaitości, 1821, s 126.

[62]) Por. J. Tretiak, Bohdan Zaleski, Kraków 1911, I. 136 i nn. oraz 142 i nn.

[63]) List z 22. 2. 1827, Korespondencja Zaleskiego, Lwów 1900, I. 18.

[64]) List z 2. 4. 1827, ib. I. 19

[65]) List z 25. 11. 1827; ib., I. 20. Por. także prośbę w jednym z następnych listów o zwrot Tygodników Petersburskich.

w Jeńcu kaukaskim Puszkina, ale główna osnowa zapożyczona jest zapewne z jakiegoś innego źródła [66]).

Były to zresztą zainteresowania, które — jak się zdaje — dzielili wraz z Zaleskim najbliżsi jego przyjaciele. Tak by przynajmniej można było wnosić z korespondencji M. Grabowskiego, który przebywając w r. 1825 na Ukrainie z dala od bogatszych księgozbiorów polskich, oddaje się szczegółowym studiom nad utworami wybitniejszych koryfeuszy ówczesnej literatury rosyjskiej: Puszkina, Rylejewa, Biestużewa, Jazykowa i innych. O wynikach tych studiów informuje szczegółowo swych korespondentów cytując fragmenty w języku rosyjskim, a raz przesyłając nawet własny przekład Puszkina Do Eupraksji Wulf [67]).

Przekładów z poezji rosyjskiej jest zresztą coraz więcej, poczynają się Dumy Rylejewa [69]). W r. 1824 Dziennik Wileński ogłasza przekład utworu Biestużewa Hugo von Bracht (IX. 68), a w 1928 r. w Dzienniku Warszawskim opublikowany zostaje Czerniec Kozłowa w tłumaczeniu Ordyńca.

Najliczniej jednak reprezentowana jest twórczość Puszkina. Poczynając od 1824 r. mnożą się przekłady jego poezyj coraz bardziej. W latach 1826 — 1828 ogłoszone zostają aż dwa tłumaczenia Fontanny Bakczysarajskiej: A. Rogalskiego — w r. 1826 i N. F. Zaby — w r. 1828. W tymże czasie ukazują się także tłumaczenia dwu innych poematów Puszkina: Bracia rozbójnicy i Jeniec kaukaski, oba w przekładzie Żaby, a w r. 1829 Dziennik Warszawski ogłasza prozaiczną parafrazę Cyganów. „Lata 1826 — 1828 były szczególnie płodne w Puszkinowskie przekłady — powiada M. Jakóbiec w artykule o Puszkinie w Polsce [70]). Nie bez znaczenia był tu zwyciężający powiew romantyzmu i upodobania we wszystkim, co on Europie przynosił. Duży wpływ mogła tu też odegrać wieść o przyjaźni Puszkina i Mickiewicza, rozchodząca się po kraju szeroko".

Wraz z recepcją utworów Puszkina wchodzimy w nową fazę stosunków literackich między Polską i Rosją. Kształtować się one będą dość różnorodnie. Fala nastrojów popowstaniowych przytłumi je na czas jakiś, osłabiając więzy wzajemnych kontaktów. Wkrótce jednak dawne stosunki, odnowione w innych już nieco warunkach, nierzadko w przymusowym osamotnieniu zesłania, odezwą się echem w twórczości takich poetów, jak Syrokomla, Zieliński lub Żeligowski.

---

[66]) Uwaga Tretiaka o pewnych zbieżnościach w obrazie przyrody kaukaskiej z utworem Żukowskiego K Wojejkowu. Posłanije (l. c. s., 433) nie rozwiązuje jeszcze tego zagadnienia.

[67]) Por. Tretiak, l. c, I. 269. Przekład ten pominięto w bibliografii Puszkinowskiej Toporowskiego, w księdze Puszkin 1837—1937. Przy okazji — jeszcze jedno uzupełnienie tejże bibliografii: parafraza ballady Puszkina Czarny szal z 1847 r. pióra K. Ujejskiego (Poezje, Lipsk 1866, II. 120—123).

[68]) Por. np. Las Marii, ogłoszony dwukrotnie: w przekładzie L...a Z...a w Rozmaitościach (lw.) 1825 i wydany osobno w Warszawie w r. 1827. W r. 1828 Żaba tłumaczy dwa wiersze Żukowskiego i włącza je do Fontanny Puszkina. A. Chodźko przekłada także Żukowskiego (Poezje 1833).

[69]) Wilno 1829.

[70]) Puszkin, 1837 — 1937, l. c., s. 117.

Janina Kowalczykowa (Kraków)

DZIESIĄTY BLOK*)

Fragmenty z pamiętnika lekarza obozowego w Oświęcimiu.

Duża parterowa sala, na pozór niczym nie różniąca się od tylu tysięcy innych sal pracownianych; pod oknem długi stół, taki sam długi stół na środku sali, jakieś szafy i mniejsze stoliki pod bocznymi ścianami. Na stołach szkło laboratoryjne, szeregi próbówek na stojakach drewnianych, lejki, flaszki, całe bataliony słojów, słoików, słoiczków. Dzień jest wilgotny i chłodny, trochę mroczny, tym mroczniejszy, że do sali światło wpada jedynie przez górne części okien. Dolne są zamknięte drewnianymi „koszami", rozwierającymi się ku górze tak, aby nic nie można było zobaczyć przez okna. Deski zbite szczelnie, jeszcze wczoraj zabito listwami ostatnie szpareczki pomiędzy deskami. Można pracować spokojnie. Na sali cicho mimo że pracuje kilka osób. Wszyscy milczą, czasem zadźwięczy tylko szkło epruwetki, czy zasyczy głośniej płomień palnika gazowego. Siedzę nad mikroskopem, nad jednym z nielicznych preparatów histologicznych, który mi dano dzisiaj do oceny. Mam wiele godzin czasu na ten jeden jedyny preparat i patrząc na skraweczek wątroby, usiłuje z martwego strzępka tkanki, odczytać tajemnicze cuda życia i prawa choroby. Pełna życia cisza pracowni pozwala mi zapomnieć o tym, że jestem na dziesiątym bloku, KL-Auschwitz. W pewnym momencie czuję, że cisza stała się jakaś martwa. Czuję, że coś się stało. Podnoszę oczy z nad mikroskopu ażeby zobaczyć w uchylonych drzwiach Fuggera. Fugger stoi wyprostowany jak świeca. Na dopasowanym jak na lalce wystawowej mundurze ss-mańskim niema ani zmarszczki. Jeszcze niezupełnie powróciłam do rzeczywistości z moich mikroskopowych wędrówek i niezupełnie jestem przytomna. Fugger obejmuje wzrokiem całą pracownię. Wszyscy stoją wyprostowani. Fleck jest trochę blady i prostuje się jak może najprościej. Nusia Umschweif patrzy na mnie z wyrzutem, gdzieś w kącie na prawo majaczy mi ciemna twarz i barczysta sylwetka Seemana. Genzi Imre ma twarz pełną szelmowskiego zdziwienia, co z tej niesamowitej historii wyniknie. Ja siedzę dalej i trzymam w palcach śrubę mikrometryczną mikroskopu aby ją puścić wreszcie na jadowicie uprzejmie skierowane do mnie pytanie Fuggera: „Wollen sie nicht aufstehen?" Umyka mi z pod palców śruba mikroskopu i czar pryska. Jestem z powrotem w obozie i automatycznie prostuję się na „Achtung". Ale to jest już niepotrzebne. Fugger daje znak ręką, ażeby powrócić do przerwanej pracy. Wydaje jakieś polecenia, kogoś o coś pyta, i po chwili obrzuciwszy mnie wzrokiem pełnym świętej zgrozy i oburzenia z godnością opuszcza pracownię, des Hygienisches Instituts der Waffen SS SÜD-OST. Pełna przygnębienia cisza trwa do chwili, kiedy wszyscy

*) Dr. Janina Kowalczykowa, prof. Un. Jag. spędziła szereg miesięcy w Oświęcimiu i uwolniona została, dzięki usilnym staraniom, niemal w przeddzień wydania na świat syna. Zdołała ocalić cenne materiały dowodowe o zbrodniach niemieckich i na ich podstawie złożyła wazne zeznania. (Red.).

upewniają się, że Fugger jest już poza blokiem. Zrywają się dwie fale: z jedną płyną głosy oburzenia: „Jak można, jak to wogóle jest możliwe, żeby nie poderwać się na „Achtung" z miejsca, kiedy SS-mann wchodzi do pracowni. Czy to głupia pewność siebie, czy gapowatość?". Z drugą falą płyną wyrazy współczucia i przewidywań co z tego wyniknie. Że karny „Meldung", to nie ulega wątpliwości, tylko nie wiadomo na czym to się w ogóle skończy. I czy z tego nie będzie jakichś przykrości dla wszystkich w pracowni, w której ktoś pozwolił sobie na to, aby zlekceważyć władze obozowe. Obie fale głosów odpływają i mam czas spokojnie zastanawiać się nad swojem przestępstwem obozowym, i nad psychologiczną zagadką, jak chwila skupionej pracy umysłowej potrafi stworzyć zupełne oderwanie się od rzeczywistości.

Kiedy w pierwszym tygodniu po przywiezieniu mnie do Oświęcimia zaprowadzono nas do fotografii do „albumu przestępców" w obozie męskim, zdążył mi szepnąć Alfred Wóycicki: „Strzeż się bloku dziesiątego. Gdyby cię tam chciano przenieść, broń się wszelkimi siłami. Tam robią na ludziach doświadczenia. Strzeż się!" Ja nic z tego nie rozumiałam wtedy. Ale potem Lager pomału nauczył mnie niejednego. Nauczyłam się że niedobrze jest zbyt wiele wiedzieć, bo za to można zapłacić własnym życiem. Niemniej jednak, kiedy wreszcie zostałam lekarzem na bloku dwudziestymczwartym w Birkenau, kiedy sama wygrzebałam się z tyfusu, na który umarła moje towarzyszka, lekarka Czeszka, kiedy z trzech lekarek-Żydówek niemieckich dwie umarły na głodową biegunkę, a trzecia zwariowała, przyznam się, że byłam szczęśliwa, że wzięto mnie na blok dziesiąty. Na bloku szpitalnym w Birkenau, na 500 chorych byłam sama jedna, mieszkając i śpiąc razem z nimi. Kiedy nogi obrzękły mi jak kłody, i byłam u kresu sił fizycznych, byłam zadowolona że wszystko rozegrało się poza moimi plecami, bez konieczności i w ogóle bez możności decydowania o tym co będzie ze mną. Kierownik Higienisches Institut Dr. Weber dowiedział się w Krakowie, że jestem histopatologiem i postarał się, aby mnie przeniesiono do jego pracowni, która mieściła się na osławionym bloku dziesiątym, w głównym obozie męskim. Nic to, że już wiedziałam, że w obozie najlepiej jest najmniej widzieć i najmniej słyszeć i że zdawałam sobie sprawę z tego, że mieszkając i pracując na bloku dziesiątym o niejednym będą miała sposobność się dowiedzieć, a wiadomość ta może mnie wiele bardzo kosztować. To wszystko groziło mi potem, ale już teraz byłam u kresu sił. Po 18 godzinach pracy spałam na jednej pryczy pomiędzy chorymi i choć im nic pomóc nie mogłam naprawdę, ponieważ prawie wszystkie umierały z głodu, nie mogłam nie wstać w nocy i nie udawać, że im pomagam, bo im ta moja obecność naprawdę pomagała. Tylko ja już dalej nie mogłam, nie miałam sił tak dalej pracować. Tymczasem na obozie szepczą, że Niemcy wyszukują pracowników naukowych z pomiędzy więźniów poto, aby wyeksplatować ich umiejętności i postawić ich przed dylematem: czy brać udział w zbrodniczych doświadczeniach na ludziach, czy odmówić posłuszeństwa władzom obozowym. Konsekwencje takiego sprzeciwu więźnia są jasno przewidziane regulaminem. Ale ostatecznie wszystko jedno. Starzy, rozsądni więźniowie, mówią, że i tak wyjdziemy wszyscy na wolność dymem z komina. Inaczej nie wolno rozumować głośno żadnemu więźniowi Oświęcima jeśli nie chce, aby jego towarzysze powiedzieli albo że jest bardzo głupi, albo zgoła niespełna rozumu. Czy nie zgodzić się na zleconą pracę? Czy też pracować i potem wiedzieć za dużo? I tak jest źle i tak niedobrze. Ale ostatecznie czy iść do pieca poprzez bunkier czy SK. czy wprost z bloku dziesiątego, kiedy Standortarzt Wirtz, zawiezie

osobiście własnym autem pod krematorium, jest wszystko jedno, smak cyklonu jest napewno zawsze taki sam. Tylko wygoda większa. Czasami dym nad kominem na tle nocnego nieba płonie czerwonawo, że to niby od krwi, mówią starzy więźniowie. Ja zresztą wiem, że nie od krwi, a od soli litu w palonych kościach, ale to nie jest tutaj ważne. Tutaj ważne jest tylko to, ażeby przeżyć, a ja muszę przeżyć za dwoje. Jestem w V miesiącu ciąży i uparłam się wbrew logice i wbrew zdrowemu rozsądkowi, żeby ciążę utrzymać. Czasami w jakiś irracjonalny sposób przychodzą do głosu w decydujących momentach najpierwotniejsze instynkty. Ja wiem, że moi przyjaciele z męskiego obozu mówią: „ona jest szalona, urodzi dziecko i obydwoje pójdą do pieca", — ja wierzę że się uratuję i uratuję syna, bo to będzie syn.

Ostatecznie to, że nie wstałam na „Achtung", kiedy Fugger wszedł do pracowni, skończyło się właściwie na niczym. A mogło być całkiem niedobrze, bo zważcie, nie wolno sytuacji obozowych ani ludzi obozowych oceniać komuś, kto nie był nigdy w obozie. Tu w obozie są inne prawa, i inna logika faktów. Mogło być niedobrze, a skończyło się na tym, że przydzielono mnie tylko karnie na dwa tygodnie do mycia próbówek i słoików w których przysyłano do badania bakteriologicznego kał chorych na biegunkę, „Durchfall" obozowy. Scharfuehrer Zabel wziął na swoje barki ciężar instruowania mnie przy tej robocie. Nad dużym kamionkowym zlewem były dwa kurki. Jeden z ciepłą, drugi z zimną wodą. Na lewo z boku kosze druciane z brudnym szkłem, na prawo z czystym. Zabel po dłuższym przemówieniu objaśniającym mnie o łagodności władz obozowych, postawił blisko mnie zydel, na który wystawił nogę, oparł się łokciem na kolanie, a dłonią podparł brodę i rozpoczął „nauczanie": „Że to nie trzeba być ani docentem ani profesorem, żeby dobrze myć szkło z gówna. I do tego zupełnie źle szkło myję. Za dużo zimnej wody. Teraz za dużo ciepłej. A za dużo ciepłej wody, to się marnuje dobro państwowe. Bo ja chyba nie zdaję sobie sprawy z tego gdzie jestem i jak się powinien zachowywać porządny Haeftling. I jaki mam numer. Tylko nie na jace a na ręce. Bo na jace może być cudzy numer. A poco kto inny ma mieć karny Meldung, kiedy ja źle szkło myję. Za dużo ciepłej wody. Pokazać szkło pod światło. Jeszcze raz do ciepłej wody". Po dwóch godzinach nauki Zabel znudził się widocznie i wyszedł z sali. Podłoga paliła mnie w opuchłe jeszcze z Birkenau nogi. Z ulgą przysiadłam na zydlu, opuszczonym przed chwilą przez Zabla. Trzeba być tumanem analizuję, żeby się irytować, przecież to się nazywa głupie, psie szczęście, że się tylko na tym skończyło. Nie jestem głodna, nie pracuję zresztą ciężko fizycznie, więc nie muszę znowu tyle jeść. Nie zdzieram resztek sił w fizycznej pracy, wszy mnie nie żrą, nie muszę patrzeć jak giną na rękach najlepsze towarzyszki obozowe. Tylko że ta niepewność co za godzinę, że stale ten szarpiący niepokój co dalej. Ale zresztą ani w bunkrze się nie duszę, ani mnie nikt nie bije, ani . . .

Drzwi od pracowni mają górną deskę zastąpioną przez szybę. Szyba od korytarza jest zasłonięta białą firanką. W chwili kiedy poprawiam się na zydlu, aby usiąść wygodniej, widzę uchylony brzeg zasłony, a w rogu zezowate oczy Zabla, który patrzy cierpliwie, jak spełniam przydzieloną mi pracę. Zeskakuję z zydla i chwytam umazane stolcem słoiki, ale już jest zapóźno. Zabel stoi przy mnie i pyta się o numer. „Zapomniał sobie gdzie mój numer poprzednio zapisał. Bo nie tylko jestem bezczelna „frech" ale i leniwa i nie wykonuję zadanej pracy. Czekam tylko aż Scharfuehrer Zabel odejdzie, ażeby przestać pracować i marnię majątek państwowy, bo biorę za dużo ciepłej wody. I do tego źle myję szkło. Bo nie trzeba

być docentem, żeby z gówna szkło umyć". W pewnym momencie czuję słony smak w ustach a z pasji tyle godzin hamowanej ciemnieje mi zupełnie w oczach. W rękach trzymam mały kwadratowy koszyk z drutu, pełny umytego szkła; — to nawet nie ja tylko moje ręce chcą rzucić tym koszykiem prosto w zezowate oczy Zabla. Mięśnie ramion zwiotczały już, aby potym napiąć się jednym błyskawicznym ruchem. Ręce były uniesione lekko z koszykiem na odpowiedniej wysokości. Nie, nie rzuciłam. Fala wściekłości odpłynęła. W pracowni byliśmy tylko we dwójkę. Zabel i ja. Przez górne, niezasłonięte deskami szyby okienne, wpadł promień jaskrawego zachodzącego słońca. Podniosłam ku górze ku Zablowi moje krótkowzroczne oczy, bez szkieł (okulary straciłam jeszcze na dwudziestymczwartym bloku w Birkenau). Spojrzałam prosto w oczy Zablowi, tym razem rzeczywiście „frech", zrobiłam jeden z najbardziej promiennych uśmiechów i zapytałam moją niegramatyczną, ale podobno dobrze akcentowaną niemczyzną: „Jetztz aber Herr Scharfuehrer, ist es gut gewaschen?" Zabel wyszedł bez słowa z pracowni. Promień słońca zrobił się nagle bardzo czerwony i zgasł.

Wprawdzie szpary w deskach, zasłaniających okna są zabite szczelnie, ale w ten chłodny i wietrzny maj 1943 roku wciska się do pracowni chłodny powiew od strony podwórza pomiędzy dziesiątym a jedenastym blokiem. Dzisiaj nawet, przez uchylone górą okno wpłynęły do pracowni białe puszki kwitnącej topoli. Fleck rozskubuje je w palcach i mówi, że chyba z tego puszku coś można utkać, jakąś tkaninę. Tymczasem razem z puchem topoli wpływa gwar młodych głosów i jakaś piosenka. Ktoś gra na gitarze na jedenastym bloku. Tam na pierwszym piętrze mieszkają jacyś inni od nas więźniowie, którzy mają kwarantannę. To coś zupełnie nieprawdopodobnego ta droga na wolność z jedenastego bloku. Są tacy, którzy wogóle nie wierzą, że z kwarantanny się idzie na wolność. Są tacy, którzy opowiadają, że ktoś czekał na kwarantannie 5 miesięcy, a potem wrócił na lager. Ale tymczasem tamci się cieszą, że pójdą na wolność i śpiewają. Zresztą tylko popołudniu, bo przed południem nie wolno im wychodzić na podwórze pomiędzy blokiem dziesiątym a jedenastym. Przez ten mój pierwszy tydzień pobytu na bloku dziesiątym, podwórze było ciche i puste. Dzisiaj tylko rano usłyszałam z podwórka dziwne suche klapnięcie, trzask czy uderzenie, a moment potem, rozlega się jakiś dziwny zwierzęcy ryk. Jakoś pomimo woli wyrywam się z głupim pytaniem „Cóż krowa...?" Ale już ryk przechodzi zwolna w chrapanie i rzężenie. Słychać jakieś szczękające, ostre słowa rozkazu wydawane po niemiecku, a potym suchy trzask jeden, drugi, dziesiąty. Nic nie widzę pod mikroskopem, tylko na kartce papieru automatycznie znaczę kreskami, że tych trzasków było dzisiaj 71. Ja już wiem przecież, że to komuś w tył czaszki strzelają z jakimś tłumikiem, żeby nie bardzo było słychać- to już wiem, — tylko nie wiedziałam, że konający może tak krzyczeć. I to jeszcze wiem, że tego głosu nigdy, do końca życia nie zapomnę.

Potem trupy wywiozą. Mówią więźniowie, podobno nie do Brzezinki, bo to się nie opłaca, to za daleko, tylko do małego „domowego" krematorium, którego niewysoki komin, sterczy na lewo od wjazdu do obozu. Potem słyszę jeszcze tylko szum wody, to gumowym wężem ktoś spłukuje porządnie a systematycznie zbroczone krwią kamienie, ażeby nie było śladów, kiedy będzie wolno wesołym chłopcom z kwarantanny przejść na tę stronę bloku jedenastego. Bo ci w bunkrach na dole

jedenastego bloku i tak nic nie zobaczą, a choćby i zobaczyli, to i tak nieważne, bo może jutro ich rozbiorą do naga na podwórzu, więc już niczego potem niepotrzebnie opowiadać nie będą. A my pójdziemy na obiad z pracowni i Tonia Reich, podzieli się dzisiaj ze mną kiełbasą. Prawdziwą ss-mańską kiełbasą, którą jej dzisiaj przyniósł zakochany w niej Genzi.

Dziesiąty blok stoi w równym szeregu innych bloków w męskim obozie. Niczym się od innych bloków w uliczce obozowej nie wyróżnia, jest tylko drugi od drutów. Najpierw stoi blok jedenasty, a potym nasz dziesiąty. To długi jednopiętrowy budynek wąskim bokiem zwrócony do uliczki obozowej, z której po kilku kamiennych schodkach, wchodzi się do długiej sieni o kamiennej posadzce. Sień biegnie przez cały budynek i kończy się maleńkim pokoikiem blokowej Magdy. Pokoiki blokowych w obozie kobiecym są wszystkie bardzo do siebie podobne. I ten nasz w bloku dziesiątym, przypomina rozkoszne gniazdko uwite albo przez cnotliwą starą pannę, albo przez prostytutkę. W głębi stoi piętrowe łóżko, pięknie zasłane cudownie miękkimi kocami. Na kocach poduszeczka, na tej druga poduszeczka, a na szczycie tych wspaniałości, ach jakaż słodka laleczka celuloidowa z bufiastą, jedwabną spódniczką. Pod ścianami półki drewniane, zazdrośnie osłonięte firaneczkami, a za firaneczkami tyle rozmaitego dobra. I kostki margaryny, i kiełbasa „na Zulagę" i słodka marmolada, przywieziona przez Żydów z transportów greckich, i jeszcze inne przedziwne różności, które pokorne służki pani blokowej będą, (albo i nie będą) rozdzielać dzisiaj do jedzenia. Blokową jest Magda, Żydówka słowacka, którą znam jeszcze z Birkenau. Magda to mądra dziewczyna. Gdyby nie była mądra, nie zostałaby jedna z nielicznych, z transportu Żydówek słowackich, które przeżyły najgorsze pierwsze czasy w obozie. Magda to też i dobra dziewczyna, bo złemu łatwiej się noga powinie na śliskim terenie obozowym, jeśli go przyjaciele nie podtrzymają. Magda jak może swoim doświadczeniem i swoją mądrością życiową chroni swoje królestwo, swój blok dziesiąty, który jest przedziwną oazą zamkniętą pośród obozu męskiego. Dziesiąty blok nie ma bowiem charakteru zwyczajnego, niejako otwartego bloku obozowego, z którego jak z prawdziwego domu na wolności (oczywiście w przyzwoitych granicach, po pracy, nie w czasie godzin nocnych), można wyjść czy wejść do niego. Blok dziesiąty jest blokiem więziennym, w którym jest zamkniętych dwieście kilkadziesiąt kobiet. Te kobiety to prawie wyłącznie Żydówki, pochodzące z różnych transportów i brane prosto z rampy kolejowej na blok dziesiąty. Kobiety te mieszkają na pierwszym piętrze bloku, w dwóch dużych sypialniach. Poza tym na parterze w jednej sali sypialnej mieszka kilkanaście pracownic dziesiątego bloku, pracowniczki Instytutu Higieny, do których i ja należę, oraz techniczka dentystyczna Stenia. Na dole poza pracownią rentgenologiczną, i salką operacyjną mieści się pracownia Instytutu Higieny, który potem z początku lipca zosatnie razem z pracownikami przeniesiony do Rajska. Na razie jednak mieszkamy wszystkie razem i kiedy po wieczornym apelu odchodzi z bloku pilnująca nas Frau Autseherin, zostajemy same, samiuteńkie na całą noc, zamknięte na klucz od zewnątrz. Wtedy dopiero rozpoczyna się ruch jak w ulu, zresztą rozdział pomiędzy górą, a arystokratycznym dołem zostaje nadal utrzymany. Z góry schodzą tylko niewiasty służebne, ażeby rozpalić w kotłach i przygotować gorący tusz, albo zmyć kamienną posadzkę korytarza. Te na górze są znacznie głodniejsze, nie mają możliwości takiej

„organizacji" jak my na dole, więc chętnie podejmują się usług za kawałek chleba czy miskę zupy. Prawie wszystkie kobiety na bloku to Żydówki. Z nie-Żydówek to tylko Stenia, lekarka francuska Adelajda i ja.

Dziś rano przez szpary w zabitych deskami oknach widziały nagie trupy swoich rozstrzelanych przyjaciółek z Sauny w Birkenau, w południe chowały dwóch małych chłopczyków, Olesia i Piotrusia na III piętro łóżek, aby niepotrzebnie nie wpadli w oczy Stiebitzowi. Teraz, po apelu nacierają spękane od głodu usta przyniesionym przez chłopców z Kanady paryskim kremem. Jutro je może dr Clauberg wykastrować, ale dzisiaj jeszcze do późnej nocy będą cierpliwie czekały, aż je świeżo przywieziona z transportu doskonała masażystka berlińska wymasuje palcami, które jeszcze nie utraciły wolnościowej giętkości i miękkości. Będą czekać cierpliwie, nawet choćby jutro miały pójść na lager do Birkenau. Prawie wszystkie pracownice bloku dziesiątego zaczynają sobie pomału zdawać sprawę z tego co się tutaj robi. Jakie potworne znaczenie mają wszystkie zabiegi lekarskie, które na pozór tak niewinnie wyglądają. Tylko się o tym nie mówi. Bo mówić nie można, chyba z najbardziej zaufanymi. W obozie w ogóle nigdy nie mówi się o rzeczach niepotrzebnych, tak jak nigdy nie opowiada się o tym co się robiło na wolności. Czyż można bowiem wierzyć najlepszemu swemu przyjacielowi kiedy sobie samemu wierzyć nie wolno?

Niektóre kobiety z góry odznaczają się szczególniejszymi talentami życiowymi. Ta masuje, inna umie wróżyć cudownie i mnie wróży za kawałek placka, że do trzech miesięcy wrócę do domu. Inna potrafi (była krawcową w Brukseli) uszyć cudowny powłoczysty szlafrok z ponsowego koca dla blokowej Magdy. I one te z góry niektóre wiedzą co się tu na dziesiątym bloku dzieje. I one, te młode kobiety i dziewczęta, jeśli przeżyją obóz, jeśli wyjdą wogóle kiedyś na wolność, wyjdą najpotworniej w świecie okaleczone. Kobiety wykastrowane. Ale o tym się nie mówi na dziesiątym bloku po wieczornym apelu. Te, którym odrosły pod chustkami włosy zaczynają układać fryzury. Magda patrzy na mnie krytycznie i mówi swoim miłym, głębokim gardłowym głosem: „Pani doktór musi mieć i na wolności zawsze nieporządnie uczesaną głowę". Jakoś nie chce przejść w stosunku do mnie na zwyczajne obozowe „ty" i stale nazywa mnie „pani doktór", co mnie wielce krępuje.

Allegra mnie lubi i śmieje się do mnie stale. Allegra i ja nie rozumiemy się zupełnie. Ja nie rozumiem ani słowa po grecku, a ona nie mówi żadnym innym językiem. Po niemiecku mówi zaledwie kilka zasadniczych słów, jak „antreten", „zwuellappell", „hau ab", ale ten swoisty słownik nie wystarcza nam do nawiązania bliższego wzajemnego kontaktu. Allegra to młoda grecka Żydówka przywieziona prosto z transportu na blok dziesiąty. Mieszka na górze bloku, należy do kobiet „doświadczalnych". Ale jest silna i chętna do posług, więc ją Magda przydzieliła do mycia klozetów. Na dziesiątym bloku mamy prawdziwe klozety. Czyściutkie, spłukiwane wodą, tym się jedynie róznią od „wolnościowych" klozetów, że jest ich kilkanaście we wspólnej sali, i że mają śmiesznie ukośne, ku przodowi nachylone siedzenia. Nasze klozety są poprostu piękne. Ale to mogą zrozumieć tylko te spośród nas, które na blok dziesiąty przyszły z kobiecego obozu w Birkenau, gdzie są tylko obetonowane głębokie rowy, o oślizłych brzegach, z których zawsze, wydawało mi

się, że wpadnę do środka. Brzegi tych rowów są zawsze ohydnie zanieczyszczone, mimo, że stale jakiś niepodobny do kobiety stwór z Scheisskommando grozi mokrą gałęzią tym nieszczęśniczkom, które mają biegunkę głodową. Na bloku dwudziestym czwartym był komfort: własne wiadra, i własne nocniki, nic to, że na oczach kilkuset innych kobiet. Ale te klozety na bloku dziesiątym to już szczyt komfortu. Allegra po prostu pieści te klozety. Ani plamki, ani pyłku. Jest pełna czarującej życzliwości, i z uśmiechem ofiarowuje mi schowany w kieszeni od jaki papierek. Pójdziemy dzisiaj z Allegrą na spacer, bo władze obozowe dbają o zdrowie i ruch na powietrzu i dziś idzie na spacer cały blok dziesiąty.

Idziemy jak grzeczne dziewczynki całym pensjonatem na spacer, tylko ustawione jesteśmy w sakramentalne piątki obozowe. Jest piękny dzien wiosenny. Rozciąga się długi sznur kobiet. Eskortuje nas młoda, przysadkowata Niemka „aufsejerka" z psem wilczurem i rewolwerem za pasem. Przejście kobiet z bloku dziesiątego przez środek obozu męskiego zawsze budzi pewnego stopnia sensację. Po pierwsze coś na obozie wiadomo, tylko niedokładnie co robi się z kobietami na bloku dziesiątym. Widzę, przechodząc twarze pełne zgrozy i politowania. Powtóre wielu mężczyzn od kilku lat nie widziało kobiet z bliska, a niektóre świeżo przybyłe z transportem, są naprawdę piękne. Standortarzt ma dobry gust przy wybieraniu kobiet na blok dziesiąty, a jeszcze ani głód, ani choroba, nie starły rumieńców z policzków młodych kobiet, maszerujących równo przez środek obozu męskiego. Niektóre z więźniarek mają wolnościowe suknie, a wszystkie kokieteryjnie zawiązane chusteczki pod brodą. Prosimy Magdę, ażeby namówiła aufsejerkę, żeby nas dzisiaj zaprowadziła na brzeg Soły. Za pierwszą Postenkette, tam jest naprawdę ślicznie, i można leżeć na łące i patrzeć, jak woda płynie ku wolności. Jesteśmy na majówce. Dziewczęta śpiewają jakieś piosenki, których melodię podchwyciły prędziutko, nawet nie wiem w jakim języku, po grecku, po holendersku, czy po węgiersku. Uplotły z kwiatów wianek, który aufsejerka wkłada na miejsce małej furażerki. Tutaj jej nikt nie zobaczy, to wolno. Tylko duży rewolwer podskakuje jej zabawnie na biodrach, kiedy kryguje się układając wianek na włosach. Coś poprostu jak nasza wychowawczyni na spacerze. Leżę na trawie i patrzę na Sołę. Dno widać tylko przy brzegu potym woda głęboka aż po drugi brzeg. Nikt na mnie nie patrzy. Pływam dobrze, jeszcze teraz pływać potrafię. To jeden moment zesunąć się do wody i zginąć na drugim krzaczastym brzegu. Znam dobrze te okolice. Stąd pochodzi mój ojciec, mam krewnych w Babicach i we Dworach, mam ubranie wolnościowe, cienką bronzową suknię, włosy nieobcięte pod chustką. Ale teraz jesteśmy wszyscy dobrze w obozie wychowani. W zeszłym tygodniu trzech więźniów wyszło z jednym postem na Aussenarbeit na pracę zewnątrz obozu. Post upił się prędko, i gdzieś potem zawieruszył się, czy też zasnął w lesie. Dość na tem, że zginął. Nadszedł czas powrotu do obozu. Trzej więźniowie sami wrócili. Dostali pochwałę od Lagerkommandanta i podwójną porcję kiełbasy na Zulagę. Gdyby był już dom publiczny, który potem dla grzecznych więźniów założono, ani chybi dostaliby nadprogramowe bilety wstępu.

Ale nikt się nie dziwi zbytnio, że wrócili więźniowie do obozu, bo i metody wychowawcze są dobre. Nie darmo siedzi w bunkrze trzech przyjaciół więźnia, który uciekł. Dziś idąc na spacer pomiędzy dwoma szeregami drutów widziałyśmy staruszkę, matkę złego Haeftlinga, który uciekł z obozu. Staruszka ma na szyi tabliczkę, na której jest napisane, że jej niedobry syn uciekł z obozu. Stoi już teraz ósmą godzinę i stać będzie tak aż do śmierci, — a syna i tak złapią. Uciekać wolno tylko

wtedy, kiedy już nic innego nie pozostało. A nam tu jest przecież wesoło na wspólnym spacerze. Allegra jest dzisiaj wesoła, i nie wie, że jutro o 6 z rana, z tą samą dobrą aufsejerką, tylko że bez wianka na włosach, ale z tym samym psem wilczurem pójdzie pieszo na inną wycieczkę, na wycieczkę do obozu kobiecego w Birkenau. Pójdzie z nią jeszcze kilkadziesiąt innych dziewcząt i kobiet, przeważnie żydówek greckich, jakichś dzikich, zastrachanych kobiet, do których mózgu pomimo trudności językowych dotarła już wiadomość, że w tamtą stronę prowadzą ludzi albo do gazu, albo do jeszcze straszniejszego od gazu obozu kobiecego. W obozie kobiecym zdycha się, dźwigając kamienie, czy ciągnąc wózki z ziemią. Stoi się godzinami na apelach, a najdalej po trzech miesiącach chwyta kobiety potworny Durchfall, biegunka obozowa. Starzy więźniowie mówią, że na Durchfall jest tylko jedno dobre lekarstwo, a mianowicie jedzeniem z paczki, z początku ostrożnie podawanym „przepchać kiszki". Greckie Żydówki nie dostają paczek z domu, bo nikt z Żydów paczek otrzymywać nie może. Kobiety bardzo się boją, ażeby ich nie zabrano z ukochanego dziesiątego bloku. Tutaj nawet tak wiele jeść nie trzeba, bo się wogóle nie pracuje, i wszy też nie ma. Więc i Allegra i inne kobiety, boją się kiedy je prowadzą do Birkenau. Wprowadzają je do baraku, do ciasnej salki w których są dziwne czarne aparaty. To nic, że Pflegerki Czeszki, łagodnie tłumaczą, że tu zawsze tak pachnie, to ozon w powietrzu. Greczynki w ogóle nie wiedzą co to jest ozon i zaczynają spazmatycznie krzyczeć „Gas! Gas!" Powstaje panika. Ale to głupstwo. Najbardziej rozhisteryzowane kobiety bardzo łatwo uspakajają się na widok ss-mańskiego rewolweru. Głupie! To żaden gaz. I im się w ogóle nic nie dzieje. To tylko wszystkie po kolei zostaną naświetlone promieniami bardzo silnych lamp roentgenowskich. Najsilniejszych, jakie kiedykolwiek firma Siemens zmontowała. A teraz ani ich nic nie boli, ani im się w ogóle nic nie stało się a tak głupie niepotrzebnie bały. Tylko po tym, jak powrócą na blop dziesiąty, będzie Allegrze bardzo niedobrze, i bardzo bledziutka będzie czyścić swoje ukochane klozety, których się tak bała utracić. Po tym, kiedy już będę w Rajsku, jedną jeszcze rzecz zrobią Allegrze i jej młodszej siostrzyczce. Uśpią ją poprostu, a dobry, siwy Herr Doktor Samuel wytnie jej jajniki, najpierw jeden, potem drugi, ażeby można było zobaczyć, czy dawka promieni Roentgena była dostatecznie silna, ażeby wykastrować młodą dziewczynę. I czy w ten sposób będzie można potem masowo, zamiast zabijać, kastrować poprostu niebezpiecznych Polaków i w ogóle wszystkie podbite narody. Ale cicho sza, o tym nikt wiedzieć nie może. A jeśli ktoś wie, to i tak nie szkodzi, więźniowie z tego obozu nie wyjdą inaczej, jak z dymem komina krematoryjnego. I Allegra, jak po operacji wyzdrowieje i będzie niepotrzebna na bloku dziesiątym, to może pójdzie do Birkenau, którego się tak zawsze bała. A jeśli będzie chorować, pojedzie trochę dalej na prawo. Prosto do Brzezinki. I wszystko dalej normalnym trybem się potoczy. Najpierw do gazu, a potem do pieca. Ale jeśli Allegra będzie bardzo niegrzeczna i jeśli wie niepotrzebnie o tym, jaki to „Bad" z cyklonu jest dla niej przyszykowany, i kłopot będzie robić biednym Postom i obsłudze krematoryjnej, można ją na żywo wepchnąć do rowu wypełnionego palącymi się kłodami. Ostatecznie nie musi się być spalonym z komfortem w szabaśniku pieca krematoryjnego. W rowie można też, zwłaszcza, jak transporty są duże.

Jajniki wysyłano do badań histologicznych do Hamburga. Może doktor Weber wolał, żebym mniej wiedziała, albo może miałam za małe kwalifikacje naukowe do oceny spustoszeń wywołanych rentgenem w jajniku. Nie sądzę, żeby Weberowi było wstyd przede mną.

Nie uśmiechaj się do mnie Allegro. Ża wiem że nie ma karesu bez interesu w obozie. I za swój papierek w klozecie, dostaniesz kawałek piernika, który mi w paczce z domu przysłali.

„Odette jest niewątpliwie głupia. Przecież wie, że tu nie można chorować. Ostatecznie może włazić do łóżka zaraz po apelu, jak aufsejerka zamknie bramę, ale wylegiwać się w łóżku, tylko dla teog że się ma gorączkę, to nie ma sensu, to niebezpieczne i blokowa też może mieć klopot. To cóż że Odette brzuch boli. Innym kobietom też Doktoı Clauberg wstrzykiwał do macicy jakieś płyny. To tylko o to chodzi mówi Ria z roentgenu, ażeby można było prześwietlać jajowody, jak tam one wyglądają w brzuchu. I wogóle żadnej kobiecie, ani Odette nic się nie stało. Tylko ta leniwa i głupia kobieta lubi wylegiwać się w łóżku, bo jej się zdaje, że jesi u męża w domu". Patrzę na Odette, na jej czarne palące, oczy, na owalną smagłą twarz, zawsze bladą, nawet wtedy kiedy ma gorączkę. Odette z resztą zawsze w domu była blada i nawet w domu matka się o nią martwiła. Ale jej nic nie będzie, będzie zdrowa. I jej też siwy Herr Doktor Samuel otworzy w narkozie brzuch i wytnie obydwa jajowody. To jest potrzebne do tego, żeby zobaczyć, czy zarosły się dobrze. „Odette jest głupia, że lamentuje, bo to jest i tak lepsze niz rentgen w Birkenau. Po pierwsze nie choruje się po takich zastrzykach, a nawet jak potem zoperują, to jajniki zostają i kobieta dobrze się czuje, nie tyje, młodo wygląda, a to że dzieci mieć nie może, to jej i tak nic nieszkodzi. Po pierwsze jej mąż już dawno nie żyje Też nic nie jadł, ciężko pracował przy wyładowywaniu drzewa, zrobił się wreszcie muzułmanem, i został w zeszłym tygodniu wyselekcjonowany. Powtóre Odette i tak dzieci mieć nie będzie, bo pójdzie do gazu i do pieca. Albo jeszcze najpierw na lager, to potym nawet bez gazu może iść do pieca. Tam ją już dobrze w Birkenau spreparują. I tam nie będzie się wylegiwać w łóżku i robić nieporządki w sypialni".

A pan doktor Clauberg może nawet dużo pieniędzy za taką metodę kastrowania zebrać. Coś się tam wstrzyknie, coś poboli, i można już „na sicher" jak mówi Ria, nie mieć dzieci. Nawet Niemkom to można robić, oczywiście jak będą chciały, i jeszcze dobrze doktorowi Claubergowi za to zapłacą.

Mnie tych jajowodów też nie dali do oceny. Wstyd nie było doktorowi Claubergowi, bo to nie jest możliwe, żebyśmy się kiedyś jeszcze w życiu spotkali. Bo to jest Vernichtungslager. Z resztą ja jestem bardzo potrzebna doktorowi Weberowi, oceniam dla niego preparaty histologiczne, które mi tu nawet z Krakowa przywożą, a doktor Weber tylko się pod rozpoznaniem podpisuje, no i oczywiście bierze za każde rozpoznanie 15.— RM. To nie jest dużo, ale przez dłuższy czas, to się zawsze coś zbierze.

Bo i wydatki są duże, a teraz coraz trudniej coś w obozie zarobić. Dlatego przypuszczalnie nie może mnie doktór Clauberg zatrudnić, bo ja jestem dla Webera tylko.

A Odette jest głupia, to wiadomo.

Nigdy nie przypuszczałam, że Francuzki są takie słabe fizycznie, z tych około 700, które tego samego dnia co ja zostały przywiezione do obozu, żyje zaledwie kilkanaście. Francuzkom dotąd tak samo jak Żydówkom nie wolno było pisać do domu, ani tym samym otrzymywać paczek. Stale obiecują im, że mogą wysyłać listy, ale wiemy, że jeszcze ani jeden list do Francji nie odszedł. „Może potem, może

później będzie wolno", pociesza się Adelaida, wysoka szczupła lekarka Francuzka, o ciemnych, trochę tłustych włosach, które, tutaj w obozie, niedotykane ręką fryzjera, wymykają się z pod chustki ciemnymi prostymi pasmami. Lubię ją bardzo, i dobrze mi jest, kiedy ucichnie gwar na bloku przysiąść z nią w ciemnym kąciku, i prowadzić długie rozmowy, w których zawsze jesteśmy odmiennego zdania. Ale na końcu długiej dyskusji i tak się zawsze zgadzamy. Adelaida patrzy na mnie swymi pięknymi czarnymi oczyma, na jej szczupłej bladej twarzy nigdy prawie nie pojawia się uśmiech. Adelajda jest panną, trudno powiedzieć starą panną, bo niczego ze staropanieństwem nie ma i w tej samodzielnej życiowo kobiecie, która jest lekarzem psychiatrą Bóg wie dla jakiego kaprysu przydzieloną tutaj na blok dziesiąty jako pomocnicza siła lekarska na salę operacyjną. Adelajda robi na mnie wrażenie uczennicy, która opuściwszy szkołę pełna idealizmu, nic z tego idealizmu nie utraciła przez całe swe życie, ale też przeszła od tego życia z daleka, obok życia, nie poznawszy jego smaku, niczego z tego życia nie wziąwszy. Ona nie jest w stanie zrozumieć tego zła, które dziej się obok niej. Ona wie, że tutaj ludzie są głodzeni, mordowani, że idą do gazu i do pieca i to tylko widzi i cierpi. Ale istota wszelkiego zła i podłości, jest tak jej daleka, że nie jest w stanie pojąć i odczuć klimatu moralnego obozu. Adelajdzie i na wolności trudno byłoby przypuścić, że obok niei ktoś jest w stanie coś bardzo złego zrobić. I dopiero musiałaby bezpośrednio z tym złem zetknąć się, ażeby ono mogło dotrzeć do jej świadomości. Nie znaczy to bynajmniej, żeby była powierzchowna, czy mało inteligentna. Ale wszelki brud moralny jest dla niej czemś takim obcym, że go wogóle dookoła siebie nie widzi. Dla tego też mam wrażenie, nie odczuwa, mimo że jest bardzo inteligentna właściwej atmosfery moralnej obozu. My tutaj w obozie jesteśmy tak daleko od wszelkich ludzkich praw, w których kształtowało się człowieczeństwo przez tysiące lat, że nie jest to wcale paradoksem, — Niemcy w obozie postępują w przeważnej ilości przypadków, mając głębokie przekonanie, że postępują dobrze. Tak jak my nie mamy poczucia winy, mordując wszy które nas gryzą, i z zadowoleniem liczymy ile ich złapaliśmy w koszuli, tak oni traktują selekcję ze skazywaniem ludzi na gazowanie. W swoim poczuciu słuszności, martwią się o sprawne funkcjonowanie pieców krematoryjnych, o to, żeby nie zabrakło do nich węgla czy cyklonu, i jeśli praca idzie dobrze, jeśli duże transporty ludzi zostają sprawnie spalone, a wszelkie dobro płynie do ich ojczyzny, odczuwają rzetelne zadowolenie ze spełnionego obowiązku. Wprawdzie nie wszyscy Niemcy rozdeptują więźniom czaszki, czy żywcem wrzucają malutkie dzieci w ogień, ale wszyscy są moralnymi współtwórcami obozu, i nigdy żaden się nie zdobył na moralny sprzeciw, protest przeciwko temu co działo się w obozie. To, że było im czasem też trochę nieprzyjemnie przy masowych mordach, to tak samo w życiu na wolności, niewiele osób może znosić mordowanie zwierząt w rzeźni, mimo że potem korzysta z mięsa tych zwierząt. To jakieś „odczłowieczenie" Niemców, wydaje mi się najistotniejsze, i na tym tle staje się jasne, że w takiej atmosferze moralnej łatwiej wyżywać się wszelkim typom zwyrodnialców. Popękanie obręczy moralnych na psychice, zupełne zniesienie wszelkich hamulców, stanowi tutaj podbudowę wyuzdanego okrucieństwa, spotykanego u pewnych członków obozu, zarówno u władz niemieckich, jak władz obozowych, kapów, blokowych.

Właściwie się nam wszystkim moralnie ziemia usunęła z pod nóg. Straciły na pozór wartość wszelkie pojęcia moralne, to co dobre na wolności, było tutaj złem, to co było podłością, stawało się prawem moralnym, a kłamstwo, po tylekroć sta-

wało się błogosławieństwem. Trzeba było w tym nie-ludzkim życiu dobrze nadsłuchiwać bicia własnego serca, bo tylko ono jedynie mogło wskazać właściwą drogę postępowania. A działo się to przecież wszystko w ustawicznym niepokoju co następna godzina przyniesie, w oczekiwaniu śmierci, które stokroć cięższe było od samej śmierci.

Życie w Oświecimiu biegło w szczególnej atmosferze psychicznej, stokroć cięższej od wszystkich fizycznych męczarni. Żartując kiedyś, tłumaczyłam moim towarzyszkom, że wielkie szczęście że jest głód w obozie, że ten głód stwarza apatię psychiczną, zwalnia wszelkie reakcje psychiczne. Gdyby ludzie normalnie reagujący znaleźli się przez dłuższy czas w tym najniższym kręgu piekła moralnego, na pewno nie znieśliby psychicznego napięcia i poszaleliby wszyscy. Czyż można się dziwić, że w tych warunkach, jakiegoś niespotykanego chyba w historii ludzkości „odczłowieczenia" najokrutniejsi dla więźniów byli inni więźniowie? i czyż można się dziwić, że niepokalana psychicznie Adelajda nie była w stanie pojąć tego wszystkiego?

W nowym transporcie przywieziono młodą dziewczynę, z wysoką gorączką z wysypką na skórze. Adelajda mówiła o tym przypadku z lekarzem niemieckim. „Bo tutaj ani takiej opieki nie ma, ani nie można ostatecznie rozpoznać czy to szkarlatyna, czy tyfus. No i innych kobiet przede wszystkim nie można narażać". Standortarzt bardzo się serdecznie tym przypadkiem zainteresował, podziękował za opiekę, i dziewczynę zabrano. Nie miałam serca powiedzieć Adelajdzie, że nie do szpitala w obozie kobiecym w Birkenau, tylko prosto do gazu Adelajda nie wiedziała przecież, że kiedy wybuchł tyfus w obozie męskim spalono wtedy wszystkich mężczyzn z jednego bloku zdrowych też, i starych i młodych, nawet wcale nie muzułmanów. Jak kury w kwietniu kiedy kilka dostanie cholery.

Adelajda wogóle nie wiedziała co się tutaj dzieje na dziesiątym bloku. Do tego stopnia nie przypuszczała, że bałam się jej, myślałam przez pewien czas, że jest konfidentką. Kiedyś straciłam nad sobą panowanie i powiedziałam jej o wszystkim brutalnie. Adelajda przymknęła oczy, przybladła bardziej jeszcze. Potem zgłosiła się do lekarza obozowego i spokojnie wyłożyła mu swój pogląd na tę sprawę i oświadczyła, że więcej tutaj pracować nie będzie. Do niejednego już przywykłam, ale zamarło mi serce, kiedy myślałam o Adelajdzie. Zapomniałam, że jestem w Oświęcimiu, że nie-ludzkie jest tutaj życie i nie-ludzkie jego prawa. Na cóż mogły skazać władze obozowe Adelajdę? Zbyt dobrze znali ludzi, żeby przypuszczać, że będzie dla niej karą jakieś cierpienie fizyczne, że upokorzy ją bicie, a śmierć byłaby tylko błogosławionym wyzwoleniem. Adelajdę odesłano na Lager do Birkenau.

Artur Śliwiński.

KLĘSKI I DOROBEK POWSTAŃ POLSKICH [1])

Sprawa niepodległości a powstania.

Gdy w naszych dziejach porozbiorowych idea niepodległości była ideą żywą, żyło hasło walki orężnej. W okresach, gdy zamierała ta idea, zamierała z nią razem myśl o porywach zbrojnych. A sprawa niepodległości przechodziła w samym społeczeństwie polskim różne fazy natężeń i upadków. Podczas Insurekcji Kościuszkowskiej wszystko, co w narodzie było zdrowe, żywe i niespodlałe, stanęło po stronie powstania. Niepodległość nie była podówczas problemem. Pomimo, iż Rzeczpospolita Polska miała swego króla, swój rząd, swą administrację, wszyscy jasno widzieli, że suwerenność państwowa istniała tylko na papierze. Toteż hasła, widniejące na sztandarach powstańczych, były zrozumiałe dla wszystkich. Klęska powstania oszołomiła naród, ale nie pogodziła go z niewolą. Gdy na ziemi włoskiej, zabrzmiała pieśń żołnierza — tułacza o Polsce, która jeszcze nie zginęła, w rytm tej pieśni biło serce kraju. A po epopei Legionów Dąbrowskiego wstrząsające Europą burze rozbudziły na nowo nadzieje, popchnęły młodzież naszą pod zwycięskie orły Napoleona, a wódz pierwszego powstania i w Polsce i w całym świecie nie przestawał się cieszyć szacunkiem.

I aż do ostatnich czasów przeciwnicy powstań najpobłażliwiej oceniali Insurekcję 1794 roku. Dlaczego? Czyżby Polska, walcząca z trzema zaborcami, miała większe widoki wywalczenia niepodległości, niż powstania późniejsze? Czy reprezentowała większą siłę? Bynajmniej. Pobłażliwość ta ma inne przyczyny. Zaciążyła na niej moc moralna, jaką reprezentowało pierwsze powstanie polskie. Tę moc trudno było kwestionować, jeszcze trudniej potępiać. Naród, który nie zareagował na pierwszy rozbiór swej ojczyzny, okrył się hańbą we własnych oczach.

Powstanie Kościuszkowskie krwią zmazało plamę niesławy. Było walką nie tylko o niepodległość, ale i o duszę narodu. Niepodległości nie zdołało wywalczyć, ale ocaliło duszę. Rehabilitowało naród we własnym sumieniu i zjednało Polsce szacunek świata. Było wraz z Konstytucją 3 Maja testamentem umierającego państwa, ale umierającego z orężem w dłoni i przekazującego oręż narodowi.

Roku 1794 bronił jeszcze Kościuszko. Jego ofiarny patriotyzm, jego wielkie serce, wzdrygające się przed wszelkim gwałtem, jego kryształowy charakter, jego hart ducha, jego nieugięta wobec walących się klęsk postawa, wreszcie jego sukmana chłopska, symbolizująca sprawiedliwość społeczną względem miliono-

[1]) Praca niniejsza stanowi środkowe rozdziały z rozprawy. „Tragedia i sens powstań polskich". Redakcja zastrzega, że poglądy wyrażone przez Autora artykułu reprezentują jedynie samego Autora.

wych mas ludu, słowem, wielkie przymioty ducha i umysłu, postawiły go ponad zarzutami, przesłoniły nawet jego poważne błędy militarne, uczyniły go postacią tak wzniosłą,ześrodkowały w nim dodatnie cechy polskości w takim stopniu, że obraza Kościuszki stała się dla potomnych obrazą narodu.

Powiedział Mochnacki, że nieszczęściem Powstania Listopadowego był brak wodza, którego w osobie Kościuszki miała Insurekcja 1794 roku, a doba napoleońska w osobie ks. Józefa. Powiedział to, mając na myśli poważnione z sobą społeczeństwo, pozbawione sztandarowej postaci, któraby w roku 1830 mogła je skupić. Ale uwaga Mochnackiego nie jest bez znaczenia dla czasów późniejszych. Wprawdzie Powstanie Styczniowe wydało Traugutta, ale Traugutt rozwinął szerszą działalność już pod koniec walki i z natury rzeczy, ukrywając się w podziemiach, nie mógł odegrać roli, jaka przypadła w udziale Kościuszce.

Lecz ci, co skłaniają głowę przed Insurekcją Kościuszkowską, a potępiają powstania późniejsze, zapominają, że ich natchnieniem i wodzem duchowym był ten sam Kościuszko, że dzieło, któremu przewodził, było krynicą o ożywczych dla zdrowia narodowego właściwościach. Żadna siła nie zdoła przekonać wpatrzonych w jasną postać Naczelnika patriotów, że Kościuszko, porywając się do nierównej walki, błądził i że błędem jest walka o niepodległość narodu. Kult Kościuszki był kultem powstań.

Temu kultowi zaczęto z czasem przeciwdziałać. Już po upadku Powstania Listopadowego, gdy ci, co reprezentowali mózg i serce narodu, znaleźli się za granicą, zaczęły się przejawiać w kraju tendencje rezygnacyjne. Dopiero po śmierci Mikołaja I i Paskiewicza, pod wpływem rozgrywających się w Europie wypadków i liberalniejszych powiewów, idących z Petersburga, społeczeństwo w Kongresówce podniosło głowę i rzuciło się w wir polityki. W kołach, pozostających pod wpływem emigracji, odżyło hasło niepodległej Polski w jej historycznych granicach. A wraz z tym hasłem myśl o powstaniu owionęła umysły. Niepodległość i powstanie były dotąd jednoznacznymi pojęciami. W owym to czasie uczyniono wysiłek, aby pojęcie to rozdzielić: pozostawić hasło niepodległości, a raz na zawsze wyrzec się walki zbrojnej i wszelkich spisków. Twórca nowego programu, Andrzej Zamoyski, był przeciwnikiem wszelkiej żebraniny na rzecz Polski za granicą, potępiał zabiegi prawego skrzydła emigracji, skupionej wokół księcia Adama, głosił, że z panującą w kraju władzą rosyjską Polacy nie powinni wchodzić w żadne stosunki, ale też nie porywać się do nierównej walki orężnej z Rosją. Zamoyski propagował pracę organiczną. Ta praca miała wrócić narodowi niepodległą ojczyznę, miała sprawdzić, że Polska pod każdym względem wzmożona na siłach, żywotna, zamożna i kwitnąca, „sama przez się jak owoc dojrzały odpadnie od drzewa rosyjskiego".

Program Zamoyskiego, cieszył się, jak wiadomo, wielkim powodzeniem. Wokoło „pana Andrzeja" zaczęły się skupiać szerokie koła szlachty, inteligencji i mieszczaństwa. I nic dziwnego. Program ten nie wyrzekał się niczego, był przeciwny wszelkiej ugodzie, wskazywał drogę legalną, zalecał jedynie wytężoną pracę, która nie wymagała żadnych ofiar, ani poświęceń. Ale w jaki sposób miał się odbyć ów wielce obiecujący proces oderwania się Polski od „drzewa rosyjskiego", ale dlaczego rządy carskie, panujące na ubogich ziemiach polskich, miały się ich wyrzec w stanie kwitnącym, tego oczywiście Zamoyski wyjaśnić nie mógł. Niepodległość tak zawoalowana nie była konkretnym celem politycznym. Była marzeniem. Ale nie została jeszcze przekreślona.

Dopiero po zdławieniu Powstania Styczniowego zrodził się prąd antypowstaniowy, wyrzekający się niepodległości. Dla pokolenia roku 1830 klęska powstania była przegraną bitwą, dla pokolenia roku 1863 była już przegraną sprawą. Daremnie jednak ideę niepodległości, ciągle z walką orężną wiązaną, usiłowano złożyć do lamusa rekwizytów narodowych. „Przegrana sprawa" żyła w sercach polskich. Idea niepodległości podjęta niebawem przez radykalną inteligencję, przez młodzież wyższych uczelni, przeniknęła z czasem do mas ludowych, ukazała się na wzniesionych przez Polską Partię Socjalistyczną sztandarach robotniczych i znowu stała się hasłem żywym, wznawiającym ofiarną walkę o prawa narodu. Polityka rezygnacji znalazła swą przeciwwagę w polityce czynu.

Oczywiście żaden uczciwy Polak nie mógł być nigdy zasadniczym wrogiem własnego niepodległego państwa. Ale w obozie, który zerwał z przeszłością, samą myśl o takim państwie uważano nie tylko za mrzonkę nigdy nieziszczalną, ale za mrzonkę szkodliwą, gdyż wiodła na manowce i była nawrotem do niepotrzebnych ofiar i nowej nieuchronnej klęski. Walka ideologiczna na tym tle przetrwała okres niewoli. Z polityków, którzy zaważyli na naszych dziejach, a przed rokiem 1918 i po tym roku pisali o powstaniach, zgoła odmiennie oceniali je Piłsudski Dmowski. Wielki przewrót w dziejach naszego narodu nie zdołał uzgodnić poglądów na sprawę, która, jak mogłoby się zdawać, straciła swą aktualność i stała się już zagadnieniem historycznym. Przyszła druga wojna światowa i nowym dla Polski skończyła się przewrotem. A w publicystyce polskiej sprawa naszych powstań wywołuje nadal istną powódź sprzecznych zdań i sądów.

Czy tylko Powstanie Warszawskie jest powodem tego zjawiska?

Dwumiesięczna walka w Warszawie 1944 ponad wszelką wątpliwość jest najważniejszą przyczyną toczącej się dyskusji. Ale sama dyskusja świadczy, że spadek powstań naszych przeszedł w żywą krew narodu i nie przestaje ciążyć na umysłowości polskiej. Uznają to nie tylko obrońcy powstań, ale także ich przeciwnicy, chcący od tego ciężaru uwolnić społeczeństwo.

Jaką rolę w dziejach naszych odegrały powstania? — oto przedmiot sporu.

Po roku 1918 obrońcy powstań w samym fakcie istnienia niepodległej Polski widzieli usprawiedliwienie wszystkich ruchów wyzwoleńczych, wszystkich walk w imię niepodległości toczonych. Przeciwnicy tych walk dowodzili, że niepodległość nasza jest wytworem szczęśliwych koniunktur międzynarodowych, będących rezultatem wojny światowej. A na poparcie swego twierdzenia wytaczali argument, że wraz z Polską osiągnęły niepodległość inne narody, a więc Czesi i Słowacy, Litwini, Finowie, Łotysze, Estończycy, choć ich kraje nie składały na ołtarzu wolności krwawych hekatomb i nie prowadziły wiekowej o swą niepodległość walki. Padło nawet zdanie, że niepodległość otrzymaliśmy „za darmo"

Poglądy te zasługują na bliższą uwagę.

Losy narodów, zależne w dużej mierze od warunków zewnętrznych, w mierze znacznie większej zależne są od samych narodów, od ich żywotności, od sił duchowych i moralnych, od wkładu, jaki wnoszą do dziejów powszechnych. Na każdej epoce, jaką przeżywają narody, ciąży ich dawna przeszłość, ich klęski i triumfy, ich rola i znaczenie w świecie. Otóż żaden ze wspomnianych narodów, które po roku 1918 uzyskały byt niepodległy, pod względem roli historycznej, zarówno w ciągu ostatnich stuleci naszej egzystencji państwowej, jak w okresie naszej niewoli, równać się z Polską nie może. Od rozbiorów, aż do pierwszej wojny światowej sprawa polska nie przestawała być zagadnieniem

międzynarodowym w pełnym tych słów znaczeniu. W tym samym czasie sprawa czeska była wewnętrzną sprawą Austrii, a problem Finlandii, Litwy, Łotwy czy Estonii regulowany wolą caratu, nie urastał do znaczenia problemu o skali europejskiej. Ujarzmiona Polska, wpływając na kształtowanie się stosunków między Niemcami a Rosją, już tym samym wywierała wpływ na układ międzypaństwowych stosunków w Europie.

To znaczenie międzynarodowe Polski doskonale oceniały rządy wszystkich państw, obawiających się potęgi Rosji i Niemiec z jednej strony, z drugiej zaś demokraci wszelkich barw i odcieni, a w ich szeregu najwybitniejsi teoretycy i działacze socjalistyczni. Ale gdy dla rządów sprawa polska bywała często zagadnieniem wielce kłopotliwym, gdyż jej podniesienie spotykało się zawsze z żywą reakcją Rosji i Prus, dla rewulocjonistów, dążących do nowego ładu w Europie, hasło niepodległej Polski było hasłem bojowym.

W roku 1848 Karol Marks, pisząc o obradach frankfurckich, poświęconych sprawie polskiej i omawiając wzajemne między Niemcami a Rosją stosunki, taki wypowiedział pogląd:

„...Dopóki pomagamy ciemiężyć Polaków, dopóki zachowujemy część Polski przykutą do Niemiec, dopóty sami jesteśmy do Rosji przykuci, dopóty u siebie samych nie możemy gruntownie złamać absolutyzmu patriarchalno-feodalnego. Wybudowanie demokratycznej Polski jest pierwszym warunkiem wybudowania demokratycznych Niemiec".

Jakże Marks wyobrażał sobie Polskę demokratyczną?

„Ma się rozumieć, — są jego słowa, — że nie idzie tu o zbudowanie jakiejś Polski od parady, niezależnej li tylko na papierze, lecz o zbudowanie państwa istotnie zdolnego do życia, państwa na trwałych podstawach. Polska musi mieć rozległość conajmniej z 1772 roku, musi posiadać nie tylko dorzecza, ale i ujście swych wielkich rzek oraz przynajmniej nad morzem Bałtyckim wielki pas wybrzeża..." [1]).

Marks domagał się, by Niemcy z „bronią w ręku" zażądały od caratu opuszczenia zagarniętych obszarów Rzeczypospolitej, uważając, że w ten sposób najlepiej zabezpieczą swe własne interesy i uratują swój honor.

Interesy i honor Niemiec!

Jakże inaczej te same słowa rozumieli ludzie, rządzący Niemcami.

A jednak politycy niemieccy, których światopogląd był antytezą tego, co głosił Marks, w wiele lat potem, wychodząc z założeń zgoła odmiennych, na jednym punkcie zbliżali się do Marksa i z tego właśnie powodu byli śmiertelnymi wrogami wskrzeszenia Polski.

Oto po roku 1863, w czasach przerażająco smutnych, gdy byle wzmianka o Polsce w prasie zagranicznej podnoszona była w kraju do Bóg wie jakiego znaczenia, gdy w Kongresówce panowała martwota, a w Poznańskim i Galicji myśl polityczna polska nie wybiegała poza granice państw zaborczych, nawet w tych czasach sprawa polska była poważną troską mężów stanu, odgrywających wielką w Europie rolę. Oto nie kto inny, lecz Bismarck, niepokojąc się nieustannie przyszłością Niemiec, którą opierał na dobrych z Rosją stosunkach. nieustannie myślał o Polsce. W roku 1848 przestrzegał swych rodaków, by nie

---

[1]) Marks Engels, Liebknecht: „Odbudowanie Polski" (Zbiór artykułów o kwestji polskiej) Lwów, 1904. Str. 26.

dopuszczali do reorganizacji W. Ks. Poznańskiego, bo to doprowadzić może do wskrzeszenia Polski w granicach z roku 1772. Później głosił:

— „Bijcie w Polaków, by ich ochota do życia odeszła. Osobiście współczuję ich położeniu, ale jeśli pragniemy istnieć, nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytępić".

A jednak ten prekursor Hitlera niejednokrotnie powracał do spraw wskrzeszenia niepodległej Polski. Ile razy stosunki Niemiec z Rosją zaczęły się wikłać, tyle razy przed oczyma jego stawał problem Polski.

— „Wojna z Rosją — wywodził jesienią r. 1883 — w której to wojnie musielibyśmy popierać Austrię, byłaby nieszczęściem. Wojna doprowadziłaby do tego, że musielibyśmy wskrzesić Polskę po Dźwinę i Dniepr".

A do ambasadora francuskiego Courcela mówił, że w razie wojny z Rosją, trzeba będzie wskrzesić niepodległą Polskę.

— „Będziemy się starali stworzyć w granicach dawnej Polski coś, co będzie w stanie trzymać się, bronić nas i osłaniać. Nie wyjdziemy z pewnością poza Smoleńsk. Zresztą projekt odbudowy Królestwa Polskiego, z arcyksięciem austriackim na tronie, jest starym planem polityki austriackiej. Co do nas, nie mamy szczególnego upodobania do Polski, jeżeli jednak musimy mieć nad naszą granicą mało sympatycznego sąsiada, wolimy naturalnie słabego, aniżeli silnego. Polska, wskrzeszona w tych warunkach, będzie dla nas mniej groźna, aniżeli Rosja wroga i zachowująca swoje obecne pozycje".

W latach 1887/8, gdy ewentualność wojny niemiecko-rosyjskiej brana była w Niemczech pod uwagę, Bismarck ciągle mówił o wskrzeszeniu Polski. W październiku 1887 roku z ust jego Crispi usłyszał następujące słowa:

„Rosja nie jest pewna swych wojsk. Wielkie mocarstwo wydaje się niemożliwym do zranienia. Ale tak nie jest. Polska jest jego słabym punktem. Austria zaś cieszy się w Polsce sympatią. Jeżeli pomożemy trochę Polakom do urządzenia powstania, będą mogli wyzwolić się i stworzyć państwo z arcyksięciem na czele"... [1]).

Gdy Marks domagał się od Niemiec wypowiedzenia w ich własnym interesie wojny caratowi, Bismarck w imię tychże interesów — przyjaźń z caratem uważał za fundusz polityki niemieckiej. Widmo zmartwychwstającej Polski było cementem, który tą przyjaźń spajał i umacniał.

Te diametralnie różne poglądy zgodnie podkreślają europejską doniosłość sprawy polskiej nawet w najsroższych latach naszej niewoli. I to stanowiło kapitalną różnicę między Polską a innymi uciemiężonymi krajami, które po ukończeniu pierwszej wojny światowej uzyskały byt niezależny. Geopolityczne położenie Polski, będące przyczyną wielu jej nieszczęść, wyznaczyło jej rolę w stosunkach międzynarodowych. Obawy Bismarcka były, jak się okazało, najzupełniej uzasadnione. Pierwsza wojna światowa, w której państwa zaborcze stanęły z sobą do walki, odrazu wysunęło sprawę Polski, na widownię świata.

Na to jednak, aby niepodległość nie przestawała być sprawą międzynarodową, musiała żyć w samym narodzie. Czy wyrazem tego życia mogła być polityka, nawołująca naród do wyrzeczenia się myśli o własnym państwie? Czy też przeciwnie: walka o własne państwo w ciągu 150 lat niewoli świadczyła o dążeniach narodu? Rezygnacja, czy opór wpoiły w świat przeświadczenie, że

---

[1]) Józef Feldman: „Bismarck a sprawa polska". Katowice 1938, str. 346.

Polacy nie pogodzili się z losem, że nie przestają dążyć do niezależnej egzystencji, że dobijać się o nią nigdy nie przestaną, że niewola ich ojczyzny będzie zarzewiem nowych w Europie niepokojów!

Inne ciemiężone narody miały inną przeszłość polityczną, inną odgrywały rolę, niż Polska zarówno przez cały czas niewoli, jak też w czasie pierwszej wojny światowej. Niepodległość, jaka im przypadła w udziale, była zjawiskiem wtórnym, pochodnym, od stworzenia niepodległej Polski zawisłym i, jak to miało się okazać, w dużej mierze niepodległością Polski uwarunkowanym.

Fakt, że przez cały czas epoki porozbiorowej naród polski nigdy nie przestawał walczyć o należne mu prawa, zaważył na jego losach w przełomowych chwilach i na przyszłość jego ważyć nie przestanie.

Pokolenie, które wyrosło w atmosferze depresji, jaka zapanowała po roku 1863, dobrze pamięta, jak w tej atmosferze na nowo żyć zaczynały idee wolności, jak ich siła atrakcyjna oddziaływała na umysły młodzieży, jak w wyższych uczelniach, a później i na ławach szkolnych odradzały się tradycje walk o niepodległość, jak wielki wpływ wywierały nielegalne pisma, niecenzurowane wydania dzieł Mickiewicza, przemycane z Galicji druki, historie naszych powstań, żywoty bohaterów, co śmiercią płacili za miłość ojczyzny. Konspiracyjne obchody, poświęcone rocznicom powstań, pozostawiały niezapomniane wrażenia, a budziły w sercach tęsknotę do lepszej przyszłości. Tymczasem uczestnicy powstania 1863 roku z wielkim niepokojem słuchali o odradzaniu się dążeń niepodległościowych i usiłowali zapobiec konsekwencjom, do jakich dążenia te mogą doprowadzić. Ci sami ludzie, którym oddawano cześć na konspiracyjnie urządzanych uroczystościach, jakby przez szyderstwo losu, dyskredytowali szaleństwa swej młodości, bili się w piersi, nawoływali do rozsądku, umiarkowania, rozwagi. Wskazywali Wielopolskiego, którego uważali niegdyś za zdrajcę, a w którym po przeżytych doświadczeniach, widzieli jedynego człowieka oceniającego realnie sytuację. Zapominali, że tego realistę wyniosły na widownię nienawistne mu rozruchy i demonstracje, że Wielopolski, doszedłszy do władzy, chciał zatrzymać w biegu koło historii, że wyzywającym w stosunku do przeciwników postępowaniem, sam to koło popędzał ku swemu przeznaczeniu, że w swym zaślepieniu niebacznie przyłożył lont do wykuwanej miny i spowodował jej przedwczesny wybuch. Powstańcy 1863 roku argumentami swymi wywoływali efekt zgoła inny, niż tego pragnęli. Nieodrodni synowie swych ojców, wbrew wszystkim przestrogom, szli ojców śladami. Pomiędzy starym a młodym pokoleniem wyrastał mur wzajemnych uraz i nieporozumień. W roku 1918 mur ten rozpadł się w gruzy. Nieliczni już weterani 1863 roku wyprostowali swe zgarbione barki, z dumą nałożyli mundury, symbolizujące najwznioślejsze chwile w ich życiu i przestali ubolewać nad szaleństwami swej górnej młodości. Zdawać się mogło, że sens walki o niepodległość na nowo zrozumieli dopiero w Polsce niepodległej.

Klątwa konspiracji

Jeżeli największym nieszczęściem narodu jest niewola, to nieszczęściem tego nieszczęścia jest konspiracja. O działaniach konspiracyjnych nieraz pisano z uniesieniem. Otaczano je urokiem, a na cześć bohaterów uczestników tajnych organizacyj wyśpiewano wiele pełnych entuzjazmu hymnów. To prawda, że

konspiracja wydaje bohaterów, ale tworzy także zdrajców i prowokatorów. Hartuje charaktery, ale także charaktery łamie. Uszlachetnia, ale i upadla. Wszystko zależy od materiału, z jakiego utkana jest psychika konspiratora. Na ogół, gdy mowa o podziemiach, za często się myśli o Łukasińskim, Zawiszy, Wołłowiczu, Konarskim, Okrzei, czy Montwille, za mało o długim korowodzie postaci na całe życie złamanych, zatrutych i wykolejonych, dźwigających nieraz tajemnie nikomu nieznane brzemię upadku, to znowu zapomina się o grasujących w podziemiach ludziach bez czoła i sumienia. Udostępnione w Polsce niepodległej Archiwum Akt Dawnych (spalone podczas powstania 1944 r.) było przerażającym dowodem ułomności człowieka, wystawionego na próby więzienia, na zdradliwe ciosy przemyślanych indagacyj, na przebiegle obmyślane zasadzki „poufnych" badań i jawnego śledztwa. Z pożółkłych, długi czas czujnie strzeżonych aktów i protokółów, dotyczących zarówno osobistości znanych, jak szarych szeregowców armij konspiracyjnych, wyłaniało się przed badaczem piekło udręczeń, stawała przed oczyma groza straszliwych spustoszeń moralnych, do jakich te udręki doprowadzały nieszczęsne ofiary podziemnego działania.

A jednak historia świadczy, że nieszczęście, jakie stwarza konspiracja, jest nieodzowną konsekwencją ucisku, zwłaszcza, gdy ucisk posunięty jest tak daleko, że nie tylko nie pozwala działać, ale zabrania jeszcze jawnie wypowiadać się i głośno myśleć. Władze zaborcze, stosując ten ucisk, paraliżowały wysiłki tej części społeczeństwa, która przeciwna była spiskom i chciała zapobiec rozpętaniu walki z potężnym nieprzyjacielem. Opinia publiczna nie miała należytej nad akcją podziemną kontroli. Walka o kierunek i drogę działania nie mogła rozgrywać się jawnie. Wszyscy liczyli się z tym, by przed władzami zaborczymi nie demaskować ośrodków konspiracji. Przeciwstawiano się spiskom ostrożnie, gdyż nie można było nazywać rzeczy po imieniu. W ten sposób społeczeństwo odsunięte zostało od wpływu na sprawę, mającą decydować o jego losach. Ścieranie się dwóch przeciwstawnych sobie kierunków nie miało należytego rezonansu w opinii publicznej. Społeczeństwo stawało przed faktem dokonanym, który je zaskakiwał, wywoływał w nim wielkie wrażenie i narzucał się z całą bezwzględnością.

Czy znaczy to, że odpowiedzialność za powstania spada wyłącznie na koła, które w podziemiach je przygotowywały? Sprawa nie jest tak prosta, jakby to pozornie wydawać się mogło. Konspiracja nigdy nie była wszechwładna. Nie mogła narzucać woli ogółowi, jeśli grunt nie był należycie przygotowany. Ileż sprzysiężeń, ileż poruszeń, zaczynając od wyprawy Zaliwskiego, nie wywołało żadnego echa i skończyło się klęską i to klęską tym tragiczniejszą, że towarzyszyło jej całkowite osamotnienie. Jeśli społeczeństwo godzi się ze swoją dolą, jeśli żyje w depresji, jeśli spętane jest niemocą, żaden grom nie zbudzi go do czynu. Gdy jednak w społeczeństwie rośnie niezadowolenie i zatacza coraz szersze koła, gdy w opinii publicznej utrwala się przekonanie, że istniejący stan rzeczy trwać dłużej nie może, widoki konspiracji rosną i jej zwycięstwo staje się pewniejszym. Wypadki, jakie się rozgrywały 29 listopada i 23 stycznia, nie przesądzały jeszcze dalszego biegu wydarzeń. Sprawcy wybuchów, ażeby osiągnąć cel zamierzony, musieli wygrać swą sprawę przed trybunałem opinii publicznej. Dopiero pod naciskiem tej opinii milkły głosy potępienia, ustawały wahania. W chwilach, decydujących o przyszłości, przeciwnicy powstań poda-

wali rękę ich organizatorom i ratowali dzieło, któremu bez tej pomocy, groziła bardzo szybko zagłada.

Noc 29 listopada poważny odłam społeczeństwa traktował, jako nieszczęsne rozruchy, które należało jak najprędzej zlikwidować. A na czele tego odłamu stali ludzie możni i wpływowi, rozporządzający wystarczającymi środkami, by niezależnie od nieprzytomnego ze strachu w. księcia Konstantego, zamiar swój doprowadzić do skutku. Czemuż nie uczynili ani jednej poważnej próby, aby zapobiec powstaniu, które w ich przeświadczeniu, groziło narodowi nieuchroną klęską? Intencyj nie brakło i na to są liczne dowody. Czemuż ci poważni ludzie tak szybko zmienili swe stanowisko i z przeciwników powstania stali się jego współsprawcami?

Oto ulegli naciskowi opinii, zrozumieli bowiem, że ta opinia wyraża wolę narodu, że reprezentuje siłę moralną Polski, i wszystkich, co się tej sile przeciwstawią, postawi poza narodem.

Taki był wynik krótkotrwałej walki, jaką w roku 1830 stoczył kierunek wojenny z kierunkiem pokojowym.

Zwyciężyli zwolennicy wojny, ale zwycięstwem zaczyna się prawdziwy dramat powstania. Bo walka o drogi, jakimi powstanie powinno kroczyć, ma początek, ale nie ma końca. Zwycięża idea, przegrywają jej chorążowie. Dają się zepchnąć do roli hałaśliwych obserwatorów, pozbawionych wpływu i znaczenia. Stan sprawy ujmują w swe ręce jej przeciwnicy. Jest to tragedia prawdziwie polska. Jak niemal wszystkie walki wewnętrzne w dziejach naszego narodu, i walka w roku 1830 kończy się małodusznym kompromisem, który tym razem wytwarza sytuację wręcz paradoksalną: wynosi na czoło powstania ludzi, co chcieli mu zapobiec, strąca w nicość tych, co je wywołali. Pozornie wynik walki wewnętrznej kończy się zgodą: nie ma zwycięzców, ani zwyciężonych. Ale jest już ofiara: samo powstanie. Kierują nim ludzie, którzy od początku wróżyli mu klęskę i przeczuciem tej klęski są sparaliżowani.

Obu obozom brak charakteru. Oba miotane są wewnętrznymi rozterkami, oba ulegają zmiennym powiewom opinii, która przeważyła szale na rzecz powstania, ale nie orjentuje się w następnych po sobie wydarzeniach, jest kapryśna i nieobliczalna. Nie ma w obozie rewolucyjnym ludzi, którzyby umieli wykorzystać sprzyjające im położenie, a w obozie przeciwnym rewolucji brak ludzi, którzyby się odważyli czynem odważnym zdobyć opinię dla siebie, lub też, nie czując się na siłach sprostania wielkiemu zadaniu, zejść z widowni i wyrzec się roli kierowniczej.

Brak charakteru cechuje oba obozy i ich najwybitniejszych przedstawicieli. Oto Mochnacki, twórca klubu rewolucyjnego, widząc jasno chwiejność i niezdecydowanie Rządu Tymczasowego oraz kontrrewolucyjne zamiary Chłopickiego, atakuje z furją rząd, a popularnemu w owych dniach generałowi publicznie zarzuca zdradę. A w parę dni później, choć się nie zmieniło, cofa się przed presją wzburzonej opinii i woła w swej odezwie: „Niech żyje generał Chłopicki! Niech żyje Rząd Tymczasowy"! Wkrótce potem taż sama piętnująca Mochnackiego opinia zwraca się przeciwko Chłopickiemu i obwołuje go zdrajcą! Oto Czartoryski, przekonany, że za rękawicę, ciśniętą mściwemu carowi, kraj zapłaci ruiną, staje na czele rządu powstańczego! Jest rzeczą zrozumiałą, że w chwili, rozstrzygającej o przyszłości kraju, taki człowiek, jak Czartoryski,

chciał dzielić losy narodu. Ale inna rzecz nie opuszczać rzuconego na wzburzone morze okrętu i brać udział w wysiłkach załogi, inna rzecz ujmować w swe ręce ster z przeświadczeniem, że okręt prowadzi się na dno. Ileż tego rodzaju tragicznych sprzeczności spotykamy na kartkach historii Powstania Listopadowego. Oto wielki uczony Lelewel, członek Rządu Narodowego, przewodniczący klubowi, który tenże rząd dyskredytuje i zwalcza. Oto Chłopicki, uważający wojnę z Rosją za szaleństwo, widząc, że wojnie nie będzie mógł zapobiec, rzuca precz piastowaną dyktaturę, a potem w stanowczej chwili obejmuje dowództwo nad armią i idzie na pola grochowskie, by wedłu własnego wyrażenia, „raz jeden wykropić się porządnie". Oto Izba Poselska, której większość zdolna do legalnej opozycji, ale daleka od myśli o powstaniu, uznaje powstanie za dzieło narodowe i twórcom jego wyraża swą wdzięczność. Ale ster powstania oddaje w ręce powstania przeciwników.

Wiele tych tragicznych zjawisk zawdzięczała Polska konspiracji. Spiskowcy nie przygotowali zawczasu władzy, zdolnej odpowiedzieć wielkiemu zadaniu. W swej większości wierzyli, że wystarczy powstanie zacząć, a władza wyłoni się sama. Ale jaka będzie ta władza, o to się już nie troszczyli. W pierwszych godzinach powstania rzucili swe dzieło na losy przypadku. Działania podchorążych, kroczących 29 listopada opustoszałymi ulicami Warszawy, były aktami szaleństwa. Ofiarą ich padli generałowie przypadkiem napotkami na drodze tego pochodu rozpaczy, nieświadomi rzeczy, a werbowani na wodzów w okolicznościach zgoła nieprawdopodobnych. A większość poległych tragicznie ofiar miała za sobą duże zasługi i posiadała bez porównania więcej danych, by dowodzić wojskiem, niż późniejszy wódz naczelny Skrzynecki, ten sam Skrzynecki, który w nocy 29 Listopada usiłował dotrzeć do w. księcia, by oddać się do jego dyspozycji. Noc ta należy do najdramatyczniejszych momentów w porozbiorowych dziejach Polski. Bohaterstwo, przypadek i posunięta do granic zbrodniczości lekkomyślność były głównymi tej Nocy aktorami. Jeśli wszystko nie skończyło się tragedią i nie spowodowało natychmiastowej reakcji mściwego cara w stosunku do całego społeczeństwa, sprawił to również przypadek, którego najbujniejsza fantazja nie mogła przewidzieć. Powstanie ocalił swym niezdecydowaniem, również dzięki przypadkowi ocalały w. książe Konstanty. Przerażony nieudanym na jego osobę zamachem, stracił głowę i swą bezczynnością sprawił, że w opinii buntowniczej stolicy górę wzięła myśl rewolucyjna i pociągnęła za sobą stanowczych jej przeciwników.

Rzecz prosta, że nie konspiracja była jedyną przyczyną nieszczęsnego obrotu sprawy. Ale konspiracja tragicznie zaważyła na wszystkim, co nastąpiło po wybuchu i co mścić się miało na przebiegu powstania. Oczywiście każda jawna władza w państwie wolnym może sprawić największy zawód narodowi i spowodować sromotną klęskę. Ale inaczej przygotowuje się do wojny społeczeństwo w działalności swej nieskrępowane, inaczej działa rząd państwa niepodległego, inaczej postępować muszą ludzie kujący miny w podziemiach.

Tragedia 1830 roku, acz w okolicznościach zgoła odmiennych, powtórzyła się w roku 1863. Wszystkie ujemne strony konspiracji zaciążyły na Powstaniu Styczniowym w sposób tym dotkliwszy, iż siły i zasoby porywającego się do walki z Rosją społeczeństwa, nie mogły się równać ze środkami, jakimi w r. 1830 dysponowało Królestwo Kongresowe, posiadające sprawną administrację, zasobny skarb i własną dobrze wyćwiczoną armię.

Na przebiegu naszych powstań w inny jeszcze sposób mściła się konspiracja: nie była w stanie zmobilizować nawet części sił, gotowych stanąć do dyspozycji władzy powstańczej, ani też wyczekać terminu, który ze względu na koniunktury międzynarodowe sprzyjałby walce i zwiększał widoki jej powodzenia.

Klątwa konspiracji fatalnie zaciążyła już na Insurekcji roku 1794. Kościuszko we wrześniu 1793 roku zgodził się stanąć na czele powstania. Ale zbadawszy ówczesne położenie, cofnął się przed rozpoczęciem akcji. Uważał, że całą sprawę należy przygotować gruntowniej. Więc wydał odpowiednie zarządzenia, po czym znów wyjechał za granicę, by uśpić czujność agentów, śledzących jego kroki. W kilka miesięcy później, dla tych samych powodów, na naleganie spiskowców, wzywających go do kraju, poraz drugi odpowiedział odmownie. Lecz cóż się okazało? Oto zwłoka, mająca zwiększyć siły powstańcze, przyczyniła się do ich osłabienia. Aresztowania pozbawiły spisek wielu dzielnych ludzi i wywołały w kraju niepokój. A wkrótce potym, w myśl uchwał sejmu grodzieńskiego, wojsko polskie stanęło przed klęską redukcji. Nalegania na Kościuszkę, by nie zwlekał dłużej, miały akcenty coraz gwałtowniejsze. Warunki konspiracji zmuszały do rozpoczęcia powstania. Kościuszko w dalszym ciągu uważał, że ryzyko jest zbyt wielkie, ale że trzeźwo oceniał położenie ówczesne, że zdawał sobie sprawę, iż w wytworzonych warunkach zwlekać dłużej nie można, że doskonale rozumiał, jaką klęską odmowa jego będzie dla ogółu patriotów, nie zawiódł związanych z jego imieniem nadziei. Było to postanowienie świadomego swych obowiązków i swej odpowiedzialności wodza — patrioty. Przybył do kraju, zjawił się w Krakowie i zdecydował się podnieść sztandar powstańczy. A ta decyzja, powzięta pomimo krytycznej oceny sił, jakimi dysponował, stała się pierwszym szczeblem jego nieśmiertelnej sławy.

Pod tą samą presją warunków konspiracji i okoliczności całkiem niezależnych od przywódców spisku, zaczęły się powstania w r. 1830 i 1863.

Jakże było w roku 1944?

Czy Powstanie Warszawskie było należycie przygotowane? Niewątpliwie nie. Czy chwila wybuchu wybrana była właściwie? Na ten temat toczy się dyskusja, a w miarę ujawnianych materiałów coraz żywiej toczyć się będzie. Dzisiejsze relacje zbyt zabarwione są aktualnością, by można na nich polegać. Któż dał hasło do rozpoczęcia walki i na kim za to ciąży odpowiedzialność? Nazwiska inicjatorów prędzej, czy później będą dokładnie ustalone. Inna rzecz z odpowiedzialnością. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że i tym razem chwilę wybuchu wyznaczyło to samo fatum konspiracji, które zaciążyło na powstaniach poprzednich.

Trzeba pamiętać, że niezależnie od atmosfery, którą oddycha społeczeństwo, a która w omówionych już okolicznościach sprzyja pracy podziemnej i sprawia, że ogół patriotyczny, postawiony przed faktem dokonanym, popiera spełnione dzieło, istnieje jeszcze atmosfera, panująca we wszystkich tajnych sprzysiężeniach i spiskach. Gdy nagromadzony w nich materiał palny dochodzi do stanu wrzenia, nie ma hamulców, mogących powstrzymać nieunikniony wybuch. Cechą każdej konspiracji jest niecierpliwość, domagająca się szczególniej w momentach, ekscytujących społeczeństwo, aktów i czynów, świadczących o egzystencji, ofiarności i sile spisku. Bez działalności, przejawiającej się na

zewnątrz, czy to w postaci nielegalnej prasy, czy to w strajkach, demonstracjach, czy w zamachach, konspiracja traci grunt pod nogami i nie może liczyć na odzew w społeczeństwie. Gdy zaś ma na celu walkę zbrojną i do tej walki przygotowuje zorganizowane szeregi, wtedy, jak świadczą powstania nasze, organizatorzy i przywódcy ruchu nie są panami sytuacji. Argumenty o karności szeregów Armii Krajowej nie mają siły przekonywującej. W latach 1794 i 1830 karność wojska polskiego nie budziła zastrzeżeń. Inne elementy zdecydowały podówczas o terminie zbrojnego wystąpienia.

I to jest jeszcze jedną tragiczną stroną konspiracji.

W roku 1794 organizatorzy powstania nie mogli zwlekać, pomimo, że tej zwłoki dla wiadomych powodów żądał Kościuszko. Ale w owym czasie dalsza zwłoka nie rokowała już wzmocnienia sił powstańczych, lecz musiała przyczynić się do ich osłabienia. I nie wróżyła zmiany koniunktur zewnętrznych na korzyść Polski. Zgoła inaczej układały się okoliczności w kilkadziesiąt lat później. Listopad 1830 roku był chwilą fatalne na rozpoczęcie powstania wybraną. Daleko stosowniejszym był okres wojny turecko-rosyjskiej, gdy carat walczył na drugim końcu Europy. I nieco później otwierały się przed powstaniem wielce sprzyjające perspektywy. Mikołaj I przygotowywał się do wojny z Francją i zamiary jego wkraczały już w stadium realizacji. Wybuch listopadowy sparaliżował projekty cara, oddał ogromne usługi Francji, ale źle wybrany moment zemścił się na Polsce.

I Powstanie Styczniowe rozpoczęło się w niewłaściwej chwili. Podczas wojny krymskiej, gdy Francja i Anglia wysłały na morze Czarne swe floty, by bronić Turcji, oba odłamy emigracji naszej, zarówno demokraci, jak konserwatyści czynili próby, aby kraj skłonić do orężnego wysiłku. A w Petersburgu żywiono wielkie obawy, że chwilę tę wykorzystają Polacy i z bronią w ręku upomną się o swoje prawa. Obawy okazały się płonne. Zabór rosyjski, żyjący jeszcze klęską 1831 roku, wyczerpany, zgnębiony rządami Paskiewicza, nie drgnął, acz wojna się przeciągała i Mikołaj z największym niepokojem myślał o przyszłości. Społeczeństwo polskie zbudziło się niebawem i rozpoczęło walkę w chwili, gdy carat miał wolne ręce i sam na sam mógł rozprawić się ze zbuntowaną Polską.

Konspiracja rządzi się swymi prawami, ma swą własną logikę i własnymi chadza drogami. Są to drogi tragiczne.

Siły i widoki powstań polskich.

Powstań naszych, jak utrzymują ich przeciwnicy, nic usprawiedlić nie może. Nie były one nawet ryzykiem, gdyż o ryzyku można mówić wtedy, gdy podjęta walka daje choćby najmniejsze szanse wygranej. Tymczasem nawet takich szans powstania nasze nie miały. Ich smutny koniec był rzeczą pewną dla każdego realnie myślącego człowieka. Wystarczał jeden rzut oka na mapę, wystarczało bardzo pobieżne obliczenie możliwości materialnych i technicznych, aby dojść do właściwych wniosków. Obrońcy powstań odpowiadają na to, że o wyniku wojen decydują jeszcze inne względy, że do rachunku włączyć należy siły duchowe i moralne, że po wszystkie czasy przewidywania, oparte na najbardziej drobiazgowych obliczeniach cyfrowych, ustalających wielokrotną przewagę nad wrogiem, nieraz już kończyły się nagłym zawodem, który jak

piorun z jasnego nieba uderzał i niszczył urojoną potęgę. Gdy jedni wskazują na skutki, jakie pociągnęły za sobą powstania, drudzy zapytują: a jakiż los czekał tępiony bez litości naród, gdyby bez protestu i walki dźwigał nałożone mu łańcuchy i nigdy uzbrojoną ręką nie usiłował ich zrzucić?

Oczywiście nie jest zadaniem historyka, ani publicysty rozstrzyganie pytań, „coby było, gdyby nie było". Tak postawiona sprawa przestaje być problemem. Jest rozwiązywaniem zagadki, która nigdy rozwiązać się nie da. Trzeba stać na gruncie faktów. Trzeba uwzględniając te fakty, rozważyć przyczyny, które powstania wywoływały. Wynik powstań nie może być wystarczającą do ich potępienia podstawą. Trzeba odpowiedzieć najpierw na pytanie: czy powstań można było uniknąć, czy też były one nieodpartą koniecznością dziejową?

Co wywołało Insurekcję Kościuszkowską?

Tóż fakty mówią, że już po pierwszym rozbiorze demoralizacja, jaką stworzyły skutki uzurpacji obcej, sięgała coraz głębiej i sama przez się była katastrofą. I tutaj nasuwa się zagadnienie wielkiej wagi moralnej: co mieli począć ludzie uczciwi, którzy widzieli jasno straszliwe następstwa działającej trucizny przekupstwa, którzy zdawali sobie sprawę, że wyrok śmierci na skarlałą po drugim robiorze Polskę jest już wydany, a nie mogli się pogodzić z utratą własnego państwa, z cynicznym deptaniem przez obce siły kardynalnych praw i godności narodu. Co mieli przedsięwziąć? Czy mogli nakłaniać naród, by ze spokojem pozwolił zaciskać nakładaną mu obrożę i ginął niesławnie? Oczywiście było to możliwe dla jurgieltników carycy. Ale czy było możliwe dla Kościuszki i tych, którzy w jego ręce złożyli obronę narodu?

Polityka, nie licząca się z imponderabiliami, jest polityką oderwaną od pnia narodowego.

Jakież wyjście ma państwo, które wróg najechał? Można dowodzić, że jeśli wróg jest silniejszy, nie należy mu się przeciwstawić, lecz złożyć broń, pogodzić się z niewolą i później dopiero obmyślać środki, ratujące naród przed ostateczną zagładą. Ale czy mogą tak rozumować ludzie wolni? Czy głosy honoru, sumienia, miłości ojczyzny nie są prawami, stojącymi wyżej ponad gwałt i brutalną przemoc? Czy prawa te nie są koniecznością, którą uznawały wszystkie cieszące się szacunkiem świata narody?

To samo zagadnienie moralne musiało stanąć przed pokoleniem następnym.

Cóż miało czynić społeczeństwo, które zawiodło się w oczekiwaniu, że tak zw. Królestwo Polskie, w myśl zapowiedzi Aleksandra I zostanie znacznie rozszerzone, a przede wszystkim złączone z Litwą? Co miało począć, widząc, że prawo przestaje działać, że konstytucja jest nieustannie gwałcona, że nad całym życiem ciąży plaga szalejącego szpiegostwa, że wolność prasy stała się fikcją, że swobody obywatelskie przestają istnieć, a tyrania Konstantego nie zna żadnych hamulców? Młodzież żyła wspomnieniem Kościuszki, tradycją Legionów Dąbrowskiego, epopeą wojen napoleońskich i kultem dla broniącego honoru Polski ks. Józefa. Cóż dziwnego, że nie mogąc działać jawnie rzuciła się w wir spisków? Słynny wyrok sądu sejmowego, wydany przez ludzi starszego pokolenia, ludzi, cieszących się w kraju szacunkiem, a stojących wyraźnie po stronie spiskowców, był wymownym dowodem, że wytworzony stan

rzeczy jest nie do zniesienia, że społeczeństwo ma dosyć znęcania się nad jego prawami, że dusi się w istniejących warunkach. Atmosfera powszechnego niezadowolenia sprzyjała pracy spiskowej, a gdy spiski doprowadziły do wybuchu, cały patriotyczny ogół polski stanął po stronie powstania. A przecież powstanie miało wielu posiadających znaczne wpływy w kraju przeciwników. Czyżby i oni szaleństwu ulegli? Bynajmniej. Poddali się nakazowi moralnemu, który wskazał narodowi jedyną w istniejących okolicznościach drogę.

Ten sam dylemat zmuszone było rozwiązać pokolenie wyrastające pod obuchem rządów Paskiewicza, który publicznie upodlenie narodu uczynił metodą wychowawczą. Pod wpływem potęgujących się represyj i wielkiego w całym kraju przygnębienia, ludność długi czas poddawała się tyrańskim nakazom, ulegała terrorowi, nie reagowała nawet na nikczemne prowokacje, z których dość wymienić sprawę pomnika siedmiu nieszczęsnych ofiar, poległych rzekomo za wierność carowi, kiedy to do wzięcia udziału w wyreżyserowanej z wielką pompą uroczystości przymuszono duchowieństwo, przedstawicieli instytucyj i urzędów polskich, kiedy to spędzono na plac Saski młodzież szkolną i kazano jej czcić upostaciowaną w pomniku wierność katowi Polski, Mikołajowi I-mu! Cóż dziwnego, że po 30 latach życia w poniewierce i hańbie, gdy tylko zmieniły się warunki, społeczeństwo podniosło głowę i coraz gwałtowniej zaczęło się upominać o należne mu prawa. Wybuchu Powstania Styczniowego nie spowodowali jak wiadomo, przywódcy podziemnego ruchu, projektujący rozpoczęcie akcji zbrojnej znacznie później, po ukończeniu niezbędnych przygotowań, zaledwie w owej chwili zaczętych. Komitet Centralny Narodowy, widząc spowodowane branką wzburzenie całego kraju, był bliski rozpaczy, przewidywał bowiem, że niewczesny wybuch powstania zakończy się katastrofą. Ale przeświadczony, że nie będzie mógł mu zapobiec, zdecydował się rzucić hasło do boju. A decyzja zapadła w atmosferze ogólnego wzburzenia, wywołanego prowokacyjną branką, godzącą w poczucie godności narodu. Za cenę młodzieży, oddawanej carowi, miało społeczeństwo spożywać owoce, które Wielopolski przywiózł ze stolicy nad Newą. Była to cena zbyt wysoka. Przeliczył się margrabia. Za taką cenę nie można było kupić spokoju Polaków.

Czy losy powstań polskich były z góry przesądzone? Czy każde m u s i a ł o zakończyć się klęską?

Nie trudno być prorokiem przeszłości. Bez porównania trudniejszym zadaniem jest przewidzieć przyszłość. A przyszłość powstań i ich widoki nie w zainteresowanej bezpośrednio Polsce. ale poza jej granicami w różnych okresach walki, w różny oceniano sposób. W publicystyce naszej dość często wypowiadany jest pogląd, że Powstanie Kościuszkowskie mogło skończyć się zwycięstwem, że cios śmiertelny zadał mu Poniński, nie zjawiwszy się w porę pod Maciejowicami [1]), że pewne widoki miało Powstanie Listopadowe i że Powstanie Styczniowe było poprostu szaleństwem.

W świetle ustalonych już faktów historycznych sprawa przedstawia się nieco inaczej.

Insurekcja 1794 roku od początku do końca znajdowała się w sytuacji rozpaczliwej. Bitwa pod Racławicami miała jedynie znaczenie moralne i pod tym

[1]) Wina Ponińskiego nie została udowodniona.

względem spełniła swe zadanie. Ale pod względem strategicznym nie odegrała żadnej roli i na przebieg dalszej kampanii nie wywarła wpływu. Najświetniejszy czyn insurekcji, walki kwietniowe w Warszawie, przez samo wyzwolenie stolicy kraju, podniosły ducha powstania, nadały mu powagę, ale nie wpłynęły decydująco na rezultat wojny. I dzielna obrona Warszawy, z pod której ustąpili Rosjanie i Prusacy, częściowo z powodu wynikłych między nimi nieporozumień, była tylko epizodem, który nie mógł przeważyć szali zwycięstwa na rzecz Polski.

Insurekcja Kościuszkowska miała przeciw sobie trzy państwa zaborcze. Pomimo chwilowych nieporozumień łączył je interes wspólny, a każde z nich było militarne od Polski ówczesnej silniejsze. Sama Rosja miała na teatrze wojny siłę przeważającą, a w osobie Suworowa wysłała na plac boju jednego z największych wodzów epoki. Przeciw armiom nieprzyjacielskim, dobrze wyekwipowanym, a przenoszącym liczbę 120.000 głów, Kościuszko, w chwili największego natężenia walki, miał 70.000 żołnierzy, z których zaledwie połowa była należycie wyćwiczona i uzbrojona. A koniunktury międzynarodowe najfatalniej dla Polski się układały. Pomoc mogla okazać jedynie rewolucyjna Francja, która Kościuszkę za uczestnictwo w wojnie o wolność Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, uczyniła swym honorowym obywatelem, ale która w owym czasie miała zbyt wiele własnych kłopotów, aby zajmować się Polską. To też pobyt Kościuszki w Paryżu i jego zabiegi dyplomatyczne przed powstaniem nie dały pozytywnych rezultatów. Insurekcja, walcząca sam na sam z trzema zaborcami, mogła liczyć wyłącznie na własne siły.

Jakże te siły oceniał Kościuszko?

Wiadomo, że jeszcze przed przyjazdem do kraju oceniał je krytycznie i to wtedy, gdy mniemał, że z jedną tylko Rosją wypadnie się mierzyć. A w dniu 24 marca, gdy Kraków rozbrzmiewał wiwatami na cześć powstania i jego wodza, Kościuszko, według zapewnień generała Paszkowskiego, nie dzielił radości ludu. Patrząc na garstkę wojska, powiedział, że za mało nas jest, aby odnieść zwycięstwo, „dość, aby zginąć uczciwie" .

Ale Kościuszko był człowiekiem charakteru. Mógł poufnie wyrazić swe wątpliwości, publicznie ich nie ujawniał. Zwracając się do zgromadzonych w Krakowie obywateli, wypowiedział pamiętne słowa·

— „Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym Pierwszy krok do zwycięstwa poznać się na własnej sile".

Jakież elementy, w oczach Kościuszki, tworzyły tę siłę?

Jakobini polscy marzyli o wielkiej rewolucji społecznej, którąby poruszyła masy ludowe od Odry aż do Donu. Kościuszko nie szedł tak daleko, nie wkraczał myślą poza przedrozbiorową granicę Rzeczypospolitej. Ale Polsce, o którą walczył, pragnął nadać nową treść i nowe kształty. Ta nowa Polska, jak wiadomo, nie miała już być Polską szlachecką. Polską przywilejów jednej warstwy narodu, ale Polską bez poddaństwa, Polską, w której milionowe rzesze wyprowadzone na widownię walki, miały zdecydować o zwycięstwie.

Rewolucja we Francji wykazała, czym jest świadomość wolnego ludu w walce, z wrogiem zewnętrznym. Ale rewolucja francuska była już faktem dokonanym, gdy skoalizowana Europa wypowiedziała jej wojnę. Przewrót społeczny w Polsce miał się zacząć wraz z powstaniem i to było słabą stroną przed-

sięwzięcia. Twórcy insurekcji niejednokrotnie zawiedli się w swych rachubach Liczyli na życzliwość Austrii, na neutralność Prus. A te zwodnicze nadzieje sprawiły, że nie przygotowano się do innych ewentualności i spowodowały nieszczęsną bitwę pod Szczekocinami. Przegrana ta zatarła sławę Racławic, poderwała wiarę w niezwyciężoność Kościuszki. Równie bolesnym rozczarowaniem zakończyły się wielkie reformy społeczne. Manifest Połaniecki nie osiągnął celu. Nie sprzyjała mu przestraszona radykalizmem szlachta, a masy chłopskie ustosunkowały się do pięknych zapowiedzi z rezerwą. Złamanie egoizmu stanowego szlachty i pozyskanie ufności mas ludowych nie było niepodobieństwem. Ale cała sprawa wymagała czasu, a czasem nie dysponowały władze powstańcze. Powstanie Kościuszkowskie bez poruszenia mas ludowych i wprowadzenia ich do akcji, jako siły, świadomej swych zadań, nie miało żadnych danych, aby odnieść zwycięstwo nad Rosją, Prusami i Austrią. Wiedział o tym Kościuszko, ale nie załamywał rąk i nie rozpaczał. Walczył do końca, jak żołnierz wolności i wódz ludzi wolnych. Padł na placu boju, a wraz z nim padła wola dalszej walki i ustało bić serce powstania.

Powstanie Listopadowe miało przed sobą nieporównanie większe widoki, by cel swój osiągnąć.

Nad oceną wydarzeń w latach 1830/1831 zaciążyła olbrzymia literatura Wielkiej Emigracji Polskiej. Wpływ tej literatury widoczny jest aż do czasów dzisiejszych. Przez lat trzydzieści nieszczęśni wychodźcy, podzieleni na różne zwalczające się obozy, przeżywając pamiętne wypadki, oskarżali się wzajem o najcięższe błędy, o niezdolność, złą wolę i zdradę, wskazywali najrozmaitsze przyczyny przytłaczającego ich swoim ciężarem nieszczęścia. Z tej burzy sprzecznych sądów wyłonił się wreszcie pogląd, który zatriumfował na całej linii. Oto za główną przyczynę upadku powstania uznano nierozstrzygnięcie sprawy włościańskiej. Wielka reforma socjalna mogła, według tego poglądu, zmienić gruntownie postać rzeczy i zapewnić Polsce zwycięstwo. Nie była to oczywiście myśl nowa. Już w marcu 1831 roku najdzielniejszy rzecznik chłopów Szaniecki, nawołując połączone izby do powzięcia „wiekopomnej uchwały", znoszącej pańszczyznę, wołała, że w ten sposób „milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której milion wolnych utworzymy jej właścicieli". Wołanie Szanieckiego przebrzmiało bez echa. Wielka sprawa nie ruszała z miejsca Polska 1831 roku nie miała działaczów na miarę Kołłątaja i Potockiego. Nie dorównywał im Szaniecki, a mniej jeszcze Lelewel, którego reforma zacieśniała się całkowicie do obdarzenia dziedziczną własnością ziemską jedynie włościan, walczących w szeregach armii narodowej. I w obozie rewolucyjnym nie umiano sprawy włościańskiej uczynić zagadnieniem żywym. Wprawdzie Mochnacki dziwił się, czemu nie powstają masy, pisał nawet o „rewolucji socjalnej", ale nie ujął jej w kształty konkretne. A inni członkowie T-wa Patriotycznego, acz wypowiadali radykalne poglądy, poprzestawali na roztrząsaniach teoretycznych. Sprawę wysuniętą śmiało w roku 1794, w kilkadziesiąt lat później karygodnie zlekceważono. Nic dziwnego, że demokracja emigracyjna piętnowała egoizm zasiadającej w izbach szlachty i czyniła ją odpowiedzialną za wynik powstania. Ale mylili się demokraci, jak mylił się Szaniecki, sądząc, że uchwała w sprawie włościańskiej mogła gruntownie zmienić stan rzeczy. Nie wystarczało powzięcie uchwały. Aby osiągnąć spodziewany efekt, należało jeszcze wcielić ją w życie. A chcąc tego dokonać, trzeba było uświadomić masy chłopskie i rozwiać ich

wielką do szlachty nieufność. O tej nieufności jeszcze w czasie powstania rozpisywał się Lelewel, twierdząc, że lud wiejski „będzie wolał przy nałogowym pańszczyzny odrabianiu pozostać". Lelewel powoływał się na „wieloliczne tego przykłady po różnych stronach obszernej Polski". Chłopi obawiali się, że wszelka reforma przez szlachtę zainicjowana, pogorszy raczej ich ciężkie położenie. Ażeby stworzyć nowy stan rzeczy, przekonać masy ludowe nawet do najkorzystniejszej dla nich reformy, trzeba było czasu i to dłuższego czasu, a czasem nie dysponowały władze ówczesne. Ponadto zważyć należy, że przeprowadzenie reformy rolnej na ziemiach, ogarniętych działaniami wojennymi, było niezmiernie utrudnione.

Demokracja polska na emigracji upraszczała całe zagadnienie. Przypisując klęskę jednej głównej przyczynie, rozgrzeszała do pewnego stopnia inne przewinienia i błędy, przede wszystkim zaś nie oceniała ujemnego wpływu, jaki na losy powstania wywierały warcholskie intrygi w sejmie i w wojsku, ile złego sprawiał brak dyscypliny i karności różnych frakcyj, toczących z sobą zaciętą walkę w obliczu wroga. Gdy tylko jedność, natchniona wolą zwycięstwa, mogła do zwycięstwa prowadzić, ludzie, stający u steru, dawali fatalny przykład rozdwojenia, osłabiali wiarę we wspólną sprawę i budzili coraz większą do siebie nieufność. W obozie rewolucyjnym dobrze zdawano sobie sprawę z nieudolności kierowników powstania. Ale obóz ten, również pokłócony z sobą, mógł wywołać rozruchy i zemścić się na podejrzanych o zdradę jednostkach, nie był jednak zdolny do opanowania sytuacji i nadania koniecznej siły oraz rozmachu chylącej się do upadku sprawie.

Jeszcze gorzej działo się w wojsku.

Chcąc widoki Powstania Listopadowego ocenić, trzeba pamiętać, że wojna 1831 roku była w gruncie rzeczy wojną państwa z państwem, że w tej wojnie armia regularna walczyła z armią regularną, i że od wyniku tej walki zależało zarówno powodzenie, jak klęska.

Jakże przed rozpoczęciem kroków wojennych oceniali swe siły wodzowie obu armij nieprzyjacielskich?

Chłopicki na jedną chwilę nie wierzył w zwycięstwo. Hamował tworzenie nowych zaciągów, gdyż był przekonany, że oderwani od pługa rekruci nie będą w stanie walczyć z dobrze wyćwiczonym żołnierzem rosyjskim. Ciągle powtarzał z uporem maniaka, że bić się nie będzie, bo nie chce być pobitym. Natomiast wódz rosyjski Dybicz był pełen optymizmu. Obejmując dowództwo nad powierzoną mu armią, pisał do Mikołaja I, że nie może zrozumieć", jak ci nieszczęśni zdrajcy ze swymi 29 batalionami, ośmielają się mierzyć ze zwycięską armią rosyjską". I obiecywał, że w ciągu dwóch tygodni, a najdłużej w ciągu miesiąca, uśmierzy bunt polski.

Po bitwie grochowskiej obaj wodzowie radykalnie zmienili swe zdanie.

Chłopicki, ranny i syczący z bólu, po kilku dniach płonął jeszcze ogniem walki. Unosząc się na łożu, z zapałem mówił, czego można było dokonać z tak dzielnym żołnierzem, jakim dowodził na polach Grochowa. Wierzył, że gdyby nie kula, która zwaliła go z konia, i wyrwała z rąk jego dowództwo, byłby za Bug przepędził armię Dybicza. A rekrutów, którymi tak niedawno pogardzał, przyrównywał do gwardii Napoleona, co było największą pochwałą, na jaką mógł się zdobyć. Stary lew napoleoński po niewczasie poznał swe błędy i wzbu-

dził w sobie męstwo, które przejawiał na licznych polach bitew, które zjednało mu sławę i miłość rodaków, a w końcu oddało w ręce jego władzę, jakiej naród polski nikomu przedtem nigdy nie powierzał. Ileż z taką władzą przy swej energii i charakterze rozkazodawczym na czele bohaterskiego wojska mógł zdziałać ten człowiek, który samą swą podstawą budził w żołnierzu entuzjazm, a na polu walki, jak dowiódł tego swymi czynami, umiał pokonywać największe przeszkody!

I Dybicz po bitwie grochowskiej gruntownie zmienił swe zdanie. Nie tylko przestał lekceważyć „nieszczęsnych zdrajców", ale zaczął się ich obawiać. Zamiast atakować „buntowników", pogrążył się w zgubnej bezczynności. A po bitwach, przegranych przez podwładnych mu generałów, nieszczęsny wódz rosyjski z rozpaczą czytał pełne ciężkich wyrzutów listy cara, który w największym stopniu zaniepokojony przebiegiem działań wojennych, ponuro spoglądał w przyszłość.

Ileż sprzyjających zwycięstwom okazyj zmarnowało dowództwo polskie. Na wiosnę 1831 roku siły, walczące na głównym teatrze wojny, zrównały się liczebnie. Ale duch w wojsku polskim po odniesionych zwycięstwach był znakomity, gdy duch armii rosyjskiej wiele pozostawiał do życzenia. Losy jakby sprzysięgły się na to, by na rzecz powstania przychylać szalę zwycięstwa!

Samobójcza strategia Skrzyneckiego sprawiła, że najbardziej sprzyjające Polakom okoliczności nie zostały wykorzystane. Gdy się czyta czterotomowe pamiętniki Prądzyńskiego, jedną z najtragiczniejszych prac o Powstaniu Listopadowym, wprost wierzyć się nie chce w prawdziwość podawanych przez niego szczegółów, odnoszących się czy to do zmarnowanej wyprawy na gwardie, czy do innych epizodów kampanii 1831 roku. Zrozumiałe oburzenie Prądzyńskiego nieraz tendencyjnie zabarwia tok tego opowiadania. Ale zasadnicze błędy, zarzucane naczelnemu wodzowi, potwierdzają nie tylko inni pamiętnikarze, ale i późniejsi historycy, zarówno polscy, jak niemieccy i rosyjscy.

Generał rosyjski Puzyrewski, którego o megalomanię polską nikt posądzać nie może, wypowiedział pogląd, że nawet w najtragiczniejszym dla Polaków momencie, bo po poddaniu Warszawy, główne siły polskie, skoncentrowane w Modlinie, znalazły się w wygodnej pozycji i działając po obu stronach Wisły, nie bez nadziei na powodzenie, mogły wznowić walkę.

Teoretycznie było to możliwe. W rzeczywistości armia polska nie była już zdolna do podjęcia żadnej poważniejszej akcji. A przyczyną tej niemocy były wewnętrzne czynniki rozkładowe, które systematycznie, miesiąc za miesiącem, tydzień za tygodniem, a w końcu dzień za dniem wytwarzały coraz większą prawdziwie polską anarchię, zabijały odporność społeczeństwa, siały nieufność i zwątpienie, a demoralizowały walczące szeregi do tego stopnia, iż po klęsce, jaką był upadek Warszawy, powstanie samo stoczyło się w przepaść.

Zgoła nieoczekiwaną odporność wykazał rok 1863. Aby tę odporność ocenić, wystarczy uprzytomnić sobie, że w chwili rozpoczęcia powstania Rosjanie rozporządzali w Kongresówce stotysięcznym dobrze uzbrojonym wojskiem, że w ich rękach były wszystkie twierdze, wszystkie ważniejsze punkty strategiczne i węzły komunikacyjne i że przeciw tej sile, według optymistycznych obliczeń, wystąpiło 8000 nieobznajomionej ze służbą wojskową młodzieży. bez dowódców i bez broni, bo trudno bronią nazwać kosy, drągi, trochę starych pistoletów i trochę strzelb myśliwskich. Wielopolski z niezachwianą pe-

wnością siebie utrzymywał, że jak zające po śniegu wytropi ukrywających się w lasach powstańców i skończy z nimi w ciągu tygodnia. Rzeczywistość zadrwiła z tych przewidywań: powstanie z tygodnia na tydzień wzrastało na sile, budziło coraz większe sympatie i zainteresowanie w Europie, coraz większy niepokój w Petersburgu i Berlinie.

W dymach bojowych, w oparach krwi, wznoszących się nad pobojowiskami, wypływała sprawa polska na widownię świata.

O powadze powstania 1863 roku na arenie międzynarodowej świadczy nie tylko jego popularność we wszystkich krajach, nie wyłączając sfer rewolucyjnych w Rosji, ale i żywa akcja dyplomatyczna, jaką wywołał rozlegający się nad Wisłą szczęk broni. Sam fakt, że Bismrck zaproponował Rosji zawarcie konwencji, której celem było zduszenie wspólnymi siłami buntu polskiego i że propozycja została przez rząd carski przyjęta, jest dowodem, jak dalece oba państwa zaborcze były zaniepokojone rozgrywającymi się wypadkami w Polsce. Ambasadorowi Wielkiej Brytanii w Berlinie Bismarck wręcz oświadczył, że złamanie oporu polskiego jest dla Prus kwestją życia i śmierci.

Wszystkie gabinety europejskie przypominały sobie pogrzebaną Polskę, a w różnych fazach toczącej się walki radzono nad sposobami rozwiązania sprawy polskiej nie tylko w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu, ale także w Paryżu, Londynie, Sztokholmie. Pierwsza interwencja Anglii, Francji i Austrii w Petersburgu groziła powikłaniami międzynarodowymi, a te zawsze sprzyjały Polsce.

Oczywiście nie należy przesadzać doniosłości owej interwencji. Ale też nie należy jej nie doceniać. Geopolityczne położenie Polski, będące, jak to nie zawadzi raz jeszcze podkreślić, przyczyną wielu jej niepowodzeń w przeszłości, było poważnym argumentem, przemawiającym za wskrzeszeniem państwa polskiego. Nie idealne pobudki, nie chęć uczynienia zadość sprawiedliwości dziejowej, ale własny interes mocarstw, zaniepokojonych potęgą Prus i Rosji, był motorem, który na rzecz Polski wprawiał w ruch machinę dyplomatyczną gabinetów europejskich.

W roku 1831 o widokach pomocy z zewnątrz decydował przebieg działań wojennych. Sympatie oficjalnej Francji i Austrii szły paralelnie do powodzeń i niepowodzeń oręża polskiego. Wznosiły się po zwycięstwach, opadały po przegranych. Oba państwa gotowe były okazać powstaniu pomoc, ale pod warunkiem, że ryzyko tej pomocy będzie minimalne, że Polska sama wykaże siłę, której można zaufać. Podobna sytuacja wytworzyła się w roku 1863, gdy zdawać się mogło, że powstanie rozszerzy swą podstawę i na polach walki większe odnosić będzie sukcesy.

Czy uczyniono wszystko, co uczynić należało, aby pomnożyć walczące siły? W niezwykle ciężkich warunkach niewątpliwie uczyniono dużo, a sam fakt, że po upływie roku walka jeszcze trwała, był dowodem wielkich wysiłków organizacyjnych oraz poświęcenia, wytrwałości i męstwa powstańców. Manifest Rządu Narodowego oddający chłopom na wieczystą własność ziemię, posiadaną dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny zdobył dużą popularność i wielkie czynił wrażenie. Lud wiejski, bardziej uświadomiony, niż w okresie powstań poprzednich, znacznie wydatnej, niż do niedawna mniemano, zasilał szeregi powstańcze, a choć tu i owdzie postawa chłopów była powstaniu niechętna, niekiedy nawet wroga, skargi na obojętność masy włościańskiej nie

są uzasadnione. Robotnicy i rzemieślnicy również wykazali dużo patriotyzmu, chętnie szli do oddziałów lub brali żywy udział w organizacji cywilnej. Ale brak oficerów i dowódców, a przede wszystkim niesłychane trudności, na jakie napotykało sprowadzenie do kraju broni i amunicji, wreszcie ciągłe zmiany rządów, intrygi, zawiść, zamachy, słowem, tragiczna niesforność polska, oto były przyczyny, dla których powstanie nie mogło się rozwinąć i stać się siłą zmieniającą losy narodu.

Żadne z trzech powstań nie wyczerpało wszystkich środków, jakie mogło rzucić do walki sprężyste i dzielne kierownictwo, wspierane zgodnie przez wszystkie aktywne elementy społeczeństwa. Żadne nie reprezentowało zdecydowanej wola walki do końca, owej woli, która w najtrudniejszym położeniu nie zna zwątpienia, ożywia wyczerpany organizm nadzieją, przezwycięża przeszkody zmienia bieg dziejów. W roku 1794 cały ciężar powstania spoczywał na barkach jednego człowieka. Kościuszko łagodził swym autorytetem walki wewnętrzne, do ostatniej chwili trwał mężnie na stanowisku, był wiarą i nadzieją narodu. Gdy padł na polach Maciejowiec, załamała się wiara i los wojny został przesądzony. W roku 1831 nie odniosła zwycięstwa przemoc wroga, lecz bezwład naczelnych władz cywilnych i wojskowych doprowadził do poddania Warszawy, a później do samobójczego aktu złożenia przez wojsko polskie broni w ręce władz pruskich i austriackich. Powstanie Styczniowe konało zwolna z wyczerpania, spowodowanego tyleż niepowodzeniami w walce ze znacznie potężniejszym wrogiem, co śmiertelną chorobą polską, toczącą od wieków organizm narodu.

Po roku 1863 reakcja przeciw porywom zbrojnym, przeciw „romantyzmowi" w polityce wzrastała na sile. Głosy, potępiające powstania, nieprzestały rozbrzmiewać i w Polsce niepodległej. Przeciw wszelkiego rodzaju spiskom, przeciw całej przeszłości powstańczej zgromadzono wielki arsenał najróżnorodniejszych argumentów, wykazywano nieustannie słabe strony zbrojnego oporu i jego okropne następstwa. Usiłowano przez lat dziesiątki przekształcić umysłowość i psychikę polską, osłabić poczucie prawa wolnej duszy polskiej do walki o wolność i życia w wolnej ojczyźnie.

Czemże skończyły się te wysiłki?

Odpowiedź na to dały pięcioletnie z Niemcami zapasy i Powstanie Warszawskie.

Powstanie Warszawskie i zburzenie Warszawy

Bez względu na to, z jakich punktów widzenia oceniać będziemy dwudziestolecie naszej historii przed rokiem 1939, nie ulega wątpliwości, że ten okres czasu w dominujący sposób zaważył na postawie społeczeństwa polskiego w latach okupacji, Naród zdążył zapomnieć, że jeszcze tak niedawno rządziła nim obca przemoc, a nowe pokolenie, wyrosłe już w niepodległej ojczyźnie, nie rozumiało nawet psychiki, jaką wytwarza niewola. Krwawe jej pręgi poznikały z powierzchni życia. Młodzież polska po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat mogła odetchnąć pełną piersią powietrzem ojczystym, nie wciągając w płuca zarazków niewoli. Nie znała obcej przemocy, ani panowania najeźdźców. Innymi oczyma spoglądała na świat, niż generacja „urodzona w niewoli, okuta w powiciu", Ta generacja nieraz z niepokojem przyglądała się

„młodemu lasowi“, rosnącemu w szumie innych melodyj, niż te, do których nawykła w latach swej młodości. Starsi ludzie nieraz byli zgorszeni postawą młodego pokolenia. Nie mogli zrozumieć, że nie ma ono kultu dla tragicznej przeszłości, w jakim sami wyrośli, że nie garnie się na obchody narodowe, jakie, szczególniej w pierwszych latach odzyskanej niepodległości, niemal bez przerwy urządzano. Więc pod adresem młodzieży nieraz gorzkie padały słowa. Twierdzono, że rwie się nić najpiękniejszych tradycyj polskich, że nowe pokolenie nie rozumie swych ojców i dziadów, że lekceważy wszystko, co przez tyle lat najgłębiej poruszało serca polskie i zawsze poruszać je powinno. Nie wszyscy, rzecz prosta, widzieli w postawie młodzieży niepokojącą dla przyszłości zapowiedź. Lecz obawa o tę przyszłość była w społeczeństwie dość rozpowszechniona.

Jest to zjawisko zrozumiałe.

Kiedyż to młodzież nie była objektem krytyki starszych, kiedyż nie budziła w nich niepokoju? Ale w odrodzonej Polsce przyczyny tego niepokoju były innej natury, niż w społeczeństwach o ugruntowanej przeszłości, nie mających za sobą tyle krwawych tragedyj, tyle „mogił i krzyżów“, ile ich wyrosło na ziemi polskiej w okresie niewoli. Przyczyną rożdźwięku pomiędzy dwoma pokoleniami były zgoła odmienne warunki, w jakich wyrastali rodzice i dzieci. Te dzieci nie miały już zrozumenia dla „cierpiętnictwa“, jakim było jeszcze przepojone starsze pokolenie, nie współczuły z łzawą sentymentalnością, jaką usiłowano je karmić, gdy była mowa o narodowych dramatach. A starszy nie zawsze uprzytomniali sobie, że inny smak miała wielka poezja polska, pochłaniana w ukryciu, jako owoc zakazany, inny wykładana w szkołach, że inne wrażenie wywierała rocznica powstania, urządzana konspiracyjnie, inne — obchodzona publicznie, z udziałem władz państwowych, z całym aparatem i całą pompą oficjalności. Starzy mogli się upijać odzyskaną niepodległością, dla młodzieży niepodległość była zjawiskiem naturalnym, przyrodzonym.

Sprawa ta z tego względu zasługuje na uwagę, że dla dziejów okupacji i Powstania Warszawskiego postawa młodzieży miała znaczenie decydujące. Żaden ruch nie stanie się ruchem masowym, żadna akcja nie rozwinie się na szerszą skalę, jeśli młodzież od niej stroni, jeśli nie staje do apelu, jeśli uchyla się od współdziałania. We wszystkich powstaniach naszych młodzież szła w pierwszym szeregu walczących i na nią przede wszystkim spadał ciężar walki.

Tak było i tym razem. Ale chcąc ocenić rolę młodzieży w latach ostatniej okupacji, należy pamiętać, że nigdy walka z najazdem nie toczyła się w cięższych warunkach i nigdy większe zadanie nie przypadło Warszawie. W niej mieściły się sztaby wszystkich ważniejszych nielegalnych organizacyj, z niej szła na cały kraj inicjatywa oporu i ona dawała przykład, jak stawiać czoło najeźdźcy. Nigdy też nie szalał w niej większy terror, nigdy śmierć nie przechadzała się tak jawnie po jej wszystkich ulicach, nigdy nie stukała tak groźnie do bram warszawskich kamienic, nie zaglądała tak uporczywie w oczy każdego mieszkańca. O życiu ludzkim rozstrzygał nie dający się przewidzieć przypadek, Podczas bombardowania miasta ślepy traf wybiera swe ofiary. Takim dzień i noc bombardowanym miastem była w latach okupacji stolica kraju. Dzień i noc ludność Warszawy narażona była na szturm furii niemieckiej, na wściekłe ataki okrucieństwa, porywającego nieustannie na śmierć wyrafinowaną coraz to nowe

ofiary. Ginęli winni i niewinni. Ale kogo przyłapano na gorącym uczynku, na kogo podejrzenie, tego tylko szczęśliwy traf mógł uchronić od najokropniejszej śmierci. W takich warunkach rozwijała się praca konspiracyjna. Przewyższyła ona wszystko, czego kiedykolwiek dokonano w podziemiach. Nawet w roku 1863, gdy organa Rządu Narodowego, dzięki swej niezwykłej sprawności stały się przez pewien okres czasu faktyczną władzą stolicy, władzą, której podporządkowywali się ogarnięci strachem czynownicy carscy, ruch oporu nie był powszechny, nie wymagał tyle siły ducha, tyle poświęcenia, energii, zapału i tyle szaleńczej odwagi, ile wykazała walka z ostatnią okupacją niemiecką. Cała ludność, organizująca z własnego popędu wszystkie dziedziny życia, brała udział w tej walce, ale jej tętniącym sercem była młodzież wszystkich warstw społecznych. W sferach politycznych toczyły się spory, ścierały się różne prądy, robiły swoje intrygi i podrażnione ambicje, lecz młodzież bez względu na swą przynależność do tych czy innych organizacyj cywilnych i wojskowych miała, przed oczyma okrutnego wroga i walce z wrogiem poświęcała swe siły. Prowadziła tę walkę, nie licząc się z żadnym niebezpieczeństwem, zawsze gotowa na największy hazard. Trafiały się śród tej młodzieży jednostki zdemoralizowane i wykolejone, wyzyskujące swą pozycję dla własnych korzyści, a nawet popełniające haniebne przestępstwa. Ale też były przykłady heroizmu, znacznie wyższego rzędu, niż największy heroizm, na jaki człowiek zdobyć się może w ogniu walki. To heroizm ludzi obezwładnionych, stojących sam na sam w obliczu pastwiącego się wroga. Ileż to razy więźniowie, badani przez gestapo, konali bohatersko za sprawę w najprzemyślniejszych, nieraz długie dni i noce trwających torturach. Ileż to razy chłopcy i dziewczęta, pławiąc się we własnej krwi, odmawiali wszelkich zeznań i aż do ostatniego tchnienia zachowali swą heroiczną wobec katów postawę. Któż zliczy te ofiary?

Działacze starszego pokolenia, mający za sobą przeszłość konspiracyjną z przed pierwszej wojny światowej, nieraz z wielkim niepokojem obserwowali lekceważenie przez młodzież środków bezpieczeństwa, wystawianie na niepotrzebne ryzyko własnego życia i życia swych najbliższych. I mieli słuszność, gdyż niejednemu nieszczęściu można było zapobiec, przestrzegając wypróbowanych w konspiracji metod ostrożności. Ale była to słuszność teoretyczna. Nie mogło być inaczej, niż było, gdyż konspiracja zatoczyła tak szerokie koła, iż niemal każdy mieszkaniec na własną rękę musiał konspirować. A nieostrożność młodzieży wypływała z jej żaru, z jej przejęcia się odgrywaną rolą, pochłaniającą wszystkie myśli i całą energię, z zapomnieniem o sobie.

W tych ciężkich dla całego kraju latach okazało się z całą oczywistością, że gorzkie słowa, padające pod adresem młodego pokolenia, pozbawione były podstawy. Po swojemu to pokolenie rozumiało Mickiewicza, Norwida, Wyspiańskiego, Żeromskiego czy Struga, z inną do nich podchodziło miarą, ale przejęte było ich duchem, przyswoiło sobie ich wielkie myśli i wielkie wskazania.

Ta młodzież najgoręcej parła do jawnej z wrogiem rozprawy i była najwymowniejszym heroldem powstania. I bodaj nie będzie błędem twierdzenie, że ona to postawiła sprawę powstania na porządku dziennym i spopularyzowała je wśród ludności.

Jakoż o powstaniu rozpisywała się nielegalna prasa. O powstaniu rozprawiano nie tylko w ogniskach konspiracji. Mówili o nim uczniacy i przekupnie

uliczni, mówiło starsze pokolenie, a wynędzniałe, obdarte dzieciaki warszawskie śpiewały w tramwajach, wagonach kolei podmiejskich, na ulicach i po podwórzach nieraz bardzo zgrabne piosenki, grożące przeklętym szwabom karą i pomstą.

W podnoszącej się temperaturze, śród coraz krwawszych represyj ze strony Niemców i coraz gwałtowniejszej na nie reakcji świata podziemnego dojrzewało powstanie w Warszawie. Przypuszczać można, że jak w powstaniach poprzednich i tym razem wybuch spowodowały najrozmaitsze nieprzewidziane okoliczności, że władze konspiracyjne nie panowały nad sytuacją, że wreszcie ambicja, aby własnymi siłami wyzwolić stolicę kraju była ambicją, jeśli nie wszystkich, to znacznej liczby mieszkańców Warszawy i że ta ambicja zdecydowała nie tylko o wybuchu, ale i o jego terminie.

Ludność stolicy przez cały czas okupacji sprzyjała ruchowi podziemnemu, przychodziła mu z wydatną pomocą i sama walczyła z okupantem na wszystkich odcinkach swej codziennej pracy. Płonęła do Niemców nienawiścią, a nieustannie słysząc o powstaniu, oswoiła się z nim i czekała na chwilę odwetu. W przekonaniu przeciętnego mieszkańca ta chwila nadeszła w drugiej połowie lipca 1944 roku. Rozbite na wschodzie wojska niemieckie cofały się w popłochu, a Armia Czerwona, odnosząc zwycięstwo za zwycięstwem, stanęła na przedpolach Pragi. Gwałtowna, mająca cechy panicznej ucieczki ewakuacja Niemców, zaczęta 23 lipca, była w oczach ludności wymownym dowodem, że krwawe rządy okupacji są już u kresu. Ogłoszenie niemieckie z 26 lipca wzywające 100.000 mężczyzn do robót ziemnych, podminowało nie tylko młodzież, ale bardzo wielu mieszkańców, widzących w tym wezwaniu chęć zapobieżenia wybuchowi i strach wroga przed czekającą go pomstą. To nie było rozumowanie strategów, ani polityków. To było proste powiązanie faktów i wysnucie z nich prostego wniosku przez szarego człowieka, przeciętnego obywatela Warszawy. Cóż dopiero mówić o młodzieży, nie tylko zmobilizowanej i trwającej w pogotowiu, ale o całej młodzieży włącznie z armią kilkunastoletnich chłopców i dziewcząt, częściowo tylko tworzącą zorganizowane hufce, ale jednomyślnie dążącą do rozprawy ze znienawidzonym wrogiem.

W ostatnich dniach lipca Warszawa była przysłowiową beczką prochu, której wybuch mogło spowodować najlżejsze wstrząśnienie.

Jak polskie władze wojskowe, które dały hasło do walki, oceniały własne siły i siły wroga? Czy były należycie powiadomione o zmobilizowanych przeciw Warszawie hordach złoczyńców, przeznaczonych do mordowania ludności? Czy liczyły na pomoc, a jeśli tak, to z czyjej strony spodziewały się tej pomocy i na jakich przesłankach brały ją w rachubę? Czy przystępowały do akcji z przemyślanym planem i jak ten plan przedstawiał się w szczegółach? Czym wreszcie miała być walka? Zbrojną demonstracją, obliczoną na dni kilka, uderzeniem na tyły wycofującego się ze stolicy wroga, czy też bojem na śmierć i życie, mającym trwać czas nieprzewidziany?

Na pytania te dziś różne słyszymy odpowiedzi. Są one bądź namiętną obroną, bądź równie namiętnym potępieniem tych, co rzucili hasło do boju. Dopiero historycy na podstawie wszechstronnego zbadania wszystkich źródeł i materiałów, które dziś są niezmiernie skąpe, będą mogli wykazać popełnione błędy, odsłonić kulisy przygotowań do wybuchu i wyjaśnić faktyczny stan rzeczy.

To pewna, że gdy 1 sierpnia padły pierwsze strzały, ludność nie stawiała sobie tych pytań. Wszystkie dzielnice objęte działaniami wojennymi, porwały się do walki.

Była to walka bezprzykładna. Szukając w dziejach naszych analogii, trzeba by się cofnąć do dni kwietniowych 1794 roku. Lecz wówczas wojsko i lud Warszawy dwa dni toczyły bohaterskie boje i pełny osiągnęły triumf. 63 takich dni w 150 lat później przeżyła Warszawa. A były to dni bez porównania straszniejsze ze względu na nierówność sił walczących, na bestialstwo ubranych w mundury zbirów i morderców, których Niemcy rzucili do boju i rabunku, a przede wszystkim ze względu na ostateczny rezultat walki.

We wrześniu 1939 roku obrona Warszawy trwała trzy tygodnie i wszędzie wzbudziła podziw, a stworzyła kapitał moralny, który nie pozostał bez wpływu na stosunek do nas cywilizowanego świata.

Powstanie Warszawskie z wojskiem, improwizowanym w podziemiach, broniło się trzy razy dłużej, a wzniosło się na szczyty bohaterstwa. Tego bohaterstwa nie przesłonią objawy małoduszności, lęku, zbrodniczej spekulacji i wszelkich występków, popełnianych przez szumowiny wielkiego miasta. Wszystkie walczące części Warszawy spełniły swój obowiązek, a każda ulica, każde ruiny domu, niemal każdy kamień ma swą historię, która wydobyta na jaw, stworzy dopiero pełny obraz heroicznej walki, jakiej nie ma w swych dziejach żadne nowożytne miasto.

Bohaterstwu Warszawy oddają dziś hołd nawet nieprzejednani przeciwnicy powstania. Ale pomijając głosy, zabarwione racjami politycznymi, trzeba powiedzieć, że z różnych stron słyszy się zarzut, iż powstanie było wyrokiem śmierci na Warszawę. A wraz z tym zarzutem rzuca się pytanie: czy nie dość uprzytomnić sobie, czym stolica nasza była dla narodu, aby ocenić nierównomierność ogromu strat w porównaniu z zyskiem, jakie tworzy bohaterstwo, a więc z zyskiem o wartościach problematycznych? Czyż ten najtragiczniejszy cmentarz, który pochłonął pono 200.000 ludzi, owe ruiny, których widok dziś jeszcze czyni wielkie wrażenie nawet na obojętnych dla nas cudzoziemcach, nie jest dostatecznym powodem, aby uczynić trzeźwy obrachunek i wysnuć z niego należyte wnioski?

Niepodobna dziwić się tym pytaniom.

Któż bowiem z Polaków, a przede wszystkim któż z mieszkańców Warszawy, tych zwłaszcza, którzy się z nią zrośli od dziecka i dziećmi jej byli, ogarniając okiem tragiczne zwaliska, nie doznał wstrząsającego całą głębią istoty ludzkiej uczucia, że stoi nad trupem najpotworniejszej zamordowanej matki! Któż zaraz po upadku powstania nie zrozumiał w pełni, czym w naszym życiu były opiekuńcze skrzydła, jakie Warszawa roztaczała nad Polską i czem stał się brak tej opieki? Któż z Polaków nie zadrżał, ujrzawszy po raz pierwszy przerażający szkielet miasta, które nie ze swego imienia, ale z myśli, serca i wielkości ducha było naszą stolicą? Któż bez najgłębszego żalu wspomni domy Starego Miasta, sędziwe mury kościołów i gmachów, związanych mnóstwem wspomnień z naszymi dziejami, a tak wrośniętych w serca polskie, że bez nich nie można wyobrazić sobie Warszawy, jej dostojeństwa i majestatu. Któż wreszcie nie docenia niepowetowanej straty w zabytkach kulturalnych, w muzeach, bibliotekach, archiwach, owych bezcennych skarbach, których nikt niczem nie

zastąpi, które dopiero tak niedawno swą pełną treścią i całym swym bogactwem zaczęły narodowi służyć, a pogrzebane zostały na wieki?

Straty, jakie naród poniósł przez zburzenie Warszawy, są tak olbrzymie i bezprzykładne, że nigdy nie będą oszacowane, gdyż nie ma miary, którąby pozwoliła na taki szacunek.

Ale czy rzeczywiście odpowiedzialność za te straty spada na powstanie, jak twierdzą jedni, czy też, jak utrzymują drudzy, na tych co ze zbrodniczą lekkomyślnością, wyzyskując nastrój ludności, dla celów politycznych, rzucili hasło do boju i spowodowali katastrofę?

Czy właściwy winowajca sam nie rzuca się w oczy?

Nie mamy jeszcze dostatecznych materiałów, które w pełnym świetle sprawę tę przedstawią. Ale i to, co dziś wiemy, pozwala ustalić, kto jest odpowiedzialny za popełnione na Warszawie morderstwo.

Na wystawie „Zbrodni Niemieckich w Polsce" znajdowały się plany Warszawy, znalezione w siedzibie „generalnego gubernatora" Franka. Ostatni z tych planów, wypracowany przez urbanistów niemieckich, przedstawiał małą, nad Wisłą zagubioną mieścinę, leżącą poza większymi szlakami komunikacyjnymi. To była właśnie Warszawa, Warszawa bez ludności polskiej, Warszawa niemiecka, Warszawa przyszłości, jaką gotowali jej zbrodniarze hitlerowscy.

Snop światła na tę sprawę rzucił proces Fischera.

Oto świadek inż. Paweł Branny, pełniący podczas okupacji czynności inspektora technicznego w Zarządzie Miejskim, złożył podczas rozpraw sądowych następujące zeznanie:

„Z początkiem stycznia 1940 roku niemieccy inżynierowie i wyżsi urzędnicy wydziału technicznego miasta Warszawy rozpoczęli prace nad tajemniczymi planami. Dopiero po trzech latach świadek znalazł kopie tych planów, z których jedne miały napis: „Zburzenie polskiego miasta Warszawy", a inne — „Budowa nowego niemieckiego miasta Warszawy". Architekci polscy zrobili z tych planów kopie, które, niestety, zginęły podczas Powstania Warszawskiego.

Po tych słowach, brzmi dalej sprawozdanie, prokurator Sawicki pokazuje „szereg planów, wśród których świadek rozpoznaje plany opracowywane z początkiem 1940 r. Pierwszy z nich przedstawia zarys zniszczenia wielkiej Warszawy, drugi ograniczenie rejonu zaplecza gospodarczego stolicy z 300 do 100 km., trzeci wreszcie fotografię modelu nowej niemieckiej Warszawy, której liczba mieszkańców miała być zredukowana do 100.000" [1]).

[1]) Cytaty według „Robotnika" Nr 17 z dnia 30 stycznia 1947 r., str. 2. Jest rzeczą niezmiernie ważną najściślejsze ustalenie czasu, w którym inżynierowie niemieccy przystąpili do opracowania planów „Zburzenia polskiego miasta Warszawy". Fakt to wielce dla dziejów zagłady Warszawy doniosły. Aczkolwiek ten czas właśnie ze względu na niezwykłość wypadku, dobrze musiał utkwić w pamięci świadka, byłoby pożądanym, by inni pracownicy polscy wydziału technicznego zeznanie co do czasu ze swej strony potwierdzili, a ponadto, jeśli to tylko możliwe, ustalili nazwiska pracujących nad planem inżynierów niemieckich. Również bardzo ważny dla stwierdzenia kolejności faktów jest rozkaz Hitlera zrównania Warszawy z ziemią. Jaka jest data tego rozkazu? Czy był to rozkaz na piśmie? Komu został wydany? Dla historyków będą to szczegóły dużej wagi. Ciekawym przyczynkiem do dziejów zburzenia Warszawy jest zeznanie Bühlera, który „nie mógł" sobie przypomnieć planów, nad którymi pracowali architekci niemieccy. „Według tych planów, oświadczył prokurator, Warszawa miała być część-

A więc wyrok śmierci na Warszawę, wydany był wkrótce, a może zaraz po jej zdobyciu, skoro już w styczniu 1940 roku architekci niemieccy przystąpili do wykonywania planów. Przyszłość wyjaśni, kto tym architektom rozkazał pracować nad przygotowaniem zbrodni. W każdym razie ta zbrodnia nie była odwetem za powstanie, bo w owym czasie nikt jeszcze o powstaniu nie myślał. Na to można odpowiedzieć, że co innego skazanie na śmierć, a co innego wykonanie wyroku, że nie każdy wyrok jest wykonany, a fakt, iż z górą cztery lata był odwlekany, świadczy, że niewiadomo, jakie losy czekały Warszawę, gdyby nie powstanie. Ale taka odpowiedź sprzeczna jest z logiką wypadków. Trzeba pamiętać, że w r. 1940 Niemcy wierzyli jeszcze, że wojna, rozpoczęta przez nich, jest wojną błyskawiczną, że Warszawa była dla nich ważnym węzłem komunikacyjnym, cennym ośrodkiem przemysłu, miastem, pełnym bogactw, które trzeba było przedtem zrabować, a później dopiero całą stolicę zburzyć. Gdy słynny „Blitzkrieg" przeciągał się latami, Warszawa nie traciła swego strategicnzego znaczenia i nie przestawała być objektem eksploatacji. I to odwlekało jej zgubę.

Ale jakąż wartość miała dla Niemców Warszawa, gdy wycofanie się z niej pod naporem Armii Czerwonej stawało się coraz bliższą koniecznością? Mieliż oddać wrogom poważnie uszkodzoną, ale jeszcze wielką stolicę Polski? Gdy wojska sowieckie stanęły na przedpolach Pragi, uwaga Hitlera skupiła się na tej właśnie najbardziej znienawidzonej stolicy najbardziej znienawidzonego państwa. On to, jak przed prokuratorem Sawickim zeznali generałowie von dem Bach-Żelewski i Guderian [1]), wydał rozkaz zrównania Warszawy z ziemią, a więc urzeczywistniał plan, uknuty przed laty. Czyż ten demon zbrodni potrzebował powstania, aby zamordować Warszawę? Potrzebował jedynie czasu. A czasem dysponował od lata 1944 r. do połowy stycznia roku następnego.

Dla sprawy tej nie jest bez znaczenia fakt, że od pierwszych dni powstania, w dzielnicach opanowanych przez Niemców, odbywało się niszczenie ogniem kamienic, po uprzednim wymordowaniu lub uprowadzeniu z nich ludności i zrabowaniu wszystkiego, co zrabować się dało. Wojna nie liczy się ze stratami nieprzyjaciela i rozgrzesza wszystko, czego działania wojenne wymagają. Ale generał von dem Bach zeznał, że podpalanie domów odbywało się „bez żadnej potrzeby wojskowej" [2]). To miarodajne ze strony kata Warszawy świadectwo ma tym jaskrawszą wymowę, że po kapitulacji dzieło zniszczenia trwało w dalszym ciągu: liczne, ocalałe w czasie powstania domy i zabytkowe gmachy były metodycznie wysadzane w powietrze lub podpalane, a łuny wzniecanych pożarów całe tygodnie jeszcze oświetlały krwawym blaskiem rumowiska zamordowanej Warszawy.

---

ciowo zniszczona, a miasto zredukowane do rzędu prowincjonalnych miast. Miało liczyć nie więcej, jak 100.000 mieszkańców". Wtedy dopiero Bühler odzyskał pamięć. „Tak, odpowiedział, przypominam sobie teraz. Takie było zawsze stanowisko Himmlera". (Zburzenie Warszawy". Warszawa, 1946, str. 276). Słowo z a w s z e ma wielką wymowę. Stanowisko szefa katów hitlerowskich i jego wypowiedzi w tej sprawie, zarówno co do czasu, jak okoliczności, w jakich były czynione, nie zostały, niestety, sprecyzowane.

[1]) „Zburzenie Warszawy". Zeznania generałów niemieckich przed prokuratorem Rzeczypospolitej. Warszawa, 1946. Str. 34 i 124.

[2]) „Zburzenie Warszawy". Zeznania generałüw niemieckich. Warszawa. 1946. Str. 39.

Po wszystkich zbrodniach przez Niemców popełnionych, traktowanie zagłady naszej stolicy, jako aktu pomsty za jej poryw zbrojny, nie jest uzasadnione. Nie wszystkie kolejno następujące po sobie wypadki pozostają w przyczynowym związku. To, że niszczenie Warszawy zaczęło się po rozpoczęciu powstania i trwało po kapitulacji, nie dowodzi bynajmniej, że było następstwem powstania, jak powstanie nie było skutkiem wyroku śmierci, jaki wydany został na Warszawę o kilka lat wcześniej.

Ale bez względu na to, jakbyśmy zapatrywali się na powstanie, czyż można tą najbardziej przerażającą zbrodnią, nieuzasadnioną nawet straszliwymi wymaganiami wojny, obarczać nie tych, co byli jej sprawcami, lecz tych, co ze zbrodniarzami walczyli bohatersko w ciągu blisko pięciu lat okupacji i zbrojnym wystąpieniem od ich panowania chcieli uwolnić stolicę? Kiedyż to za zbrodnię ukartowanego morderstwa odpowiadał nie morderca, lecz zamordowany?

Czyż można ruch podziemny obwiniać o poniesione przez naród straty ludzkie?

Wszystkie masowo przez Niemców popełnione zbrodnie nie były pomstą, czy odwetem. Wymagały oczywiście olbrzymiego zastępu odpowiednio przygotowanych do ich wykonania sadystów i złoczyńców, ale w swej istocie były urzeczywistnieniem powziętych w stosunku do narodu polskiego zamiarów, były z góry obmyślanym planem. Po prostu planem. Gdy według tego planu po wymordowaniu Żydów przyszła kolej na Polaków, przystąpiono do urządzenia krematoriów, które swą pojemnością odpowiadały zwiększonym potrzebom. To nie była statystyka. To były matematyczne wyliczenia i zimne kalkulacje. Wszystko, co zrobili w Polsce Niemcy, czekało na swój czas. Zburzyli Warszawę tak, jak przedtym zburzyli w Warszawie ghetto.

Czy za zniszczenie ghetta odpowiadają Żydzi? Nikomu nie przyszło do głowy, by odpowiedzialnością za tę zbrodnię obarczać powstańców żydowskich, którzy woleli ginąć bohatersko w bezpośredniej z oprawcami walce, niż z pochylonym czołem, śród znęcania się zbirów, iść na śmierć do pieców w krematoriach.

A czyż krematoria nie czekały Polaków?

Prawda, że nie pod nożem, przyłożonym do gardła, jak to było w dzielnicy żydowskiej, rozpoczęło się powstanie, ale czyż odezwa niemiecka nie była błyskiem tego noża?

Żadna ze zbrodni niemieckich, a w ich liczbie zamordowanie stolicy, nie obciąża sumienia polskiego. Zburzenie Warszawy, trzeba to raz jeszcze podkreślić, nie było konsekwencją toczącej się walki, nie było podyktowane koniecznością wojenną: było jednym z ogniw w krwawym łańcuchu zbrodniczych zamierzeń, które miały na celu całkowitą zagładę naszego narodu. Machina tej zagłady działała z całą systematycznością niemiecką aż do ostatniej chwili, tylko jej tempo w miarę zbliżającej się katastrofy było coraz szybsze.

Słusznie na rachunek powstania zaliczane są ofiary w ludziach. Ale trzeba pamiętać, że do ofiar, prócz tych, co polegli w walce, należą liczne tysiące bezbronnych osób, zarówno dorosłych, jak dzieci i niemowląt, masowo rozstrzeliwanych w dzielnicach przez Niemców zajętych i nieogarniętych powstaniem. Straty ludzkie zapewne nigdy nie będą ustalone dokładnie. Na 200.000 obli-

czają poległych i wymordowanych mieszkańców stolicy. Zaiste przerażająca to cyfra! Niestety, znamy cyfry jeszcze straszniejsze. Na ileż to milionów trzeba obliczyć ofiary, zakatowane w lochach gestapo, w więzieniach, w obozach koncentracyjnych, w dziesiątkach znanych i nieznanych miejscach kaźni? Odezwa niemiecka, wzywająca 100.000 ludzi do sypania okopów, bezpośrednio zagroziła młodzieży warszawskiej. Przeciwnicy powstania powiadają, że ta odezwa była jedynie manewrem. Czyż zmienia to postać rzeczy? Czyż nie wiemy, czym w stosunku do ludności polskiej kończyły się wszystkie manewry okupanta? Miast konać w obozach koncentracyjnych młodzież wolała walczyć z bronią w ręku na barykadach nieulękłej stolicy.

Powstanie Warszawskie było aktem samowiedzy społeczeństwa, że w gigantycznych zapasach o wolność świata, Polska, pierwsza ofiara uknutego na tę wolność zamachu, nie może kampanii wrześniowej uważać za ostatni bój stoczony na własnej ziemi własnymi siłami. Niezależnie od wojsk polskich, walczących na obczyźnie, niezależnie od budzących w kraju żywe echa bitew, staczanych pod obcym niebem, a okrywającym nową sławą oręż polski, w szerokich kołach społeczeństwa panowała świadomość, że ujarzmiony kraj będzie się bronił wszelkimi sposobami i w odpowiedniej chwili sam do swego wyzwolenia przyłoży uzbrojoną rękę. Nikt o tym wyzwoleniu w najtragiczniejszych czasach szalejącego terroru na jedną chwilę nie wątpił. Toteż gdy natychmiast po wkroczeniu wojsk niemieckich do Warszawy, rozpoczęły działalność organizacje konspiracyjne, młodzież z całym żarem stanęła do apelu. Atmosfera Warszawy sprzyjała tym poczynaniom. Sharmonizowne między akcją podziemną a resztą ludności nigdy nie było tak powszechne i tak mocnymi związane węzłami.

Powstanie Warszawskie było naturalnym następstwem prowadzonej w kraju pięcioletniej walki, organizowanej w podziemiach i wszyscy, co w podziemiach działali, w mniejszym lub większym zakresie przyczynili się do jego wybuchu.

Dzięki współdziałaniu i postawie ludności Powstanie Warszawskie przewyższyło wszystkie nasze powstania wytrwałością, poświęceniem i hartem. Wraz z bohaterstwem walczącej w kadrach wojskowych młodzieży wykazało heroizm społeczności warszawskiej. Dało dowód, czym w stosunku do potwornych sił machiny wojennej, wyposażonej we wszystkie zdobycze potężnej techniki dzisiejszych czasów, jest siła ludzkiego ducha.

Warszawa zniknęła z powierzchni ziemi.

To, co na jej popiołach powstaje, nie jest już dawną Warszawą i nam, żyjącym, nigdy jej nie zastąpi. Ale duch Warszawy ocalał. Odradza się na jej zgliszczach. Gdy na dzisiejszych gruzach wzniesie się nowe wielkie miasto, duch ten wypełni je swą treścią, żyć będzie wieczyście w jego murach, stać czujnie na straży jego wiekopomnej chwały, w chwilach zaś wymagających męstwa, poświęcenia, ofiarności, przypominać dzieje heroicznej walki. A młodzież warszawska oraz rwące się do boju nieletni chłopcy i nieletnie dziewczęta, bohatersko walczący za wolność swego miasta, za honor i sławę Polski, po wszystkie czasy będą świeciły swym przykładem pokoleniom potomnym.

Stefan Przewalski (Wrocław)

SOMO-SIERRA

(Dn. 30-go listopada 1808 roku)

I

Szarża szwadronu lekkokonnych gwardii cesarskiej pod Somo-Sierrą należy do czynów wojennych, które nabyły cechy uniwersalnej klasycznego przykładu przytoczonego prawie we wszystkich podręcznikach taktyki jako ilustracja jednej z najważniejszych jej zasad. Co do sławy europejskiej stanęła w jednej linii z atakami husarii polskiej pod Kircholmem i Wiedniem. Oto ocena wydarzenia, o którym mamy mówić, w pracy poważnego badacza rosyjskiego [1]). Lecz obok tej oceny postawić możemy skrajnie przeciwne a gorzkie, choć może niezbyt kompetentne słowa Polaka: „Krwawo przelać najszlachetniejszą krew dla prostej fantazji niecierpliwego wodza. „Nic bowiem nie usprawiedliwia i nie tłumaczy tego szalonego ataku, tych potoków krwi, jaką wylała młódź polska na nagich skałach Somosierry. Czy kilka godzin wcześniej czy później Napoleon wszedłby do Madrytu, to fakt ten wcale nie zaważyłby na jego losach. Hiszpanie w żadnym razie nie mogli długo bronić Somo Sierry; w chwili bowiem, gdyby ich obeszła wysłana piechota, cała waga „Termopilów hiszpańskich" upadała i trzeba je było opuścić, nie chcąc ulec niewoli. Pocóż więc było przelewać tyle krwi napróżno? Oto dla tego, że wielki ten zdobywca zepsuty już był powodzeniem i powoli nabierał tych fantazyj, tego nieposzanowania człowieka i jego życia, jakie znamienuje potomków samowładnych, wyrodzonych dynastyj" [2]).

Gdzie więc jest prawdziwa ocena tego faktu skądinąd najlepiej znanego z całego udziału Polaków w wojnie hiszpańskiej w latach 1808—1813? Dookoła wydarzenia pozostało sporo wzmianek w dziełach historycznych, poświęconych tamtej epoce. A choć można podać wielojęzyczny wykaz literatury po rosyjsku, niemiecku, francusku — brak jednak dotąd oryginalnej prasy polskiej, poświęconej specjalnie Somo-Sierze choć właśnie nas sprawa ta szczególnie blisko interesuje i choć nazwa ta weszła już pod strzechy i wspomina się ją nawet w najprymitywniejszych podręcznikach szkolnych.

Sięgnąć więc wypada do podstaw — do notatek pamiętnikarskich uczestników szarży i pościgu za Hiszpanami. Oceńmy wartość tych relacyj. Słynny historyk francuski A. Thiers rzadko wspominał o pułku szwoleżerów, lecz gdy w niedokładnym swym opisie szarży użył zwrotu „Chevaux — Légers polonais, que Napoleon avait formeà Varsovie, pour qui'il y eut de toutes les nations et de tous les costumes dans sa garde", wzmianka ta oburzyła Niegolew-

---

[1]) Puzyrewski gen. — „Szarża jazdy pod Somo-Sierrą w Hiszpanii".

[2]) Sulima Z. L. — „Polacy w Hiszpanii". Autor ten używa niewłaściwej formy Samossiera.

skiego, który parokrotnie zwracał się do autora dzieła „Histoire du Consulat et de l'Empire"[3]) z piśmiennym apelem, by skorygował nieścisłe szczegóły. Zwracał się również w tej sprawie do gen. Wincentego Krasińskiego jako dawnego dowódcy pułku szwoleżerów gwardii.

Thiers na pierwsze dwa listy w ogóle nie zareagował; odpisał dopiero na trzeci z kolei, obiecując dokonać poprawek w następnym wydaniu swego dzieła. Nie dokonał tego nigdy. Nie uzyskawszy należytej satysfakcji Niegolewski porozumiał się listownie ze swym kolegą pułkowym późniejszym gen. Załuskim, część swej korespondencji ogłosił w przepisach do polskiego wydania dzieła Thiersa pt. „Historia Konsulatu i Cesarstwa", wreszcie wydał w całości prawie w swej broszurze pt. „Les Polonais à Somo Sierra en 1808 en Espagne"[4]).

Wersja podana przez Thiersa zwalczana przez Niegolewskiego, a potem i przez Załuskiego, stwierdziła, że były dwa kolejne ataki; — w pierwszej szwoleżerowie stracili 30 — 40 jeźdźców i pierzchli w popłochu; wówczas miał nastąpić atak drugi pod osobistym dowództwem gen. Montbrun, prowadzącego dalsze szwadrony szwoleżerów, więc przypuszczać można, że nawet i cały pułk Krasińskiego czyli pełnych 8 szwadronów bojowych. Jako konkluzja, gdyby nie gen. Montbrun, Ségur i kilku francuskich oficerów sztabowych — kawalerzyści polscy nie wykonaliby nigdy zadania, a jedynie skompromitowali bezładnym odwrotem. Płaczkowski[5]) podał wersję inną — szarża została wykonana na propozycję płk Krasińskiego. Cesarz propozycję miał przyjąć, a zmienił ją tylko o tyle, że zamiast szwadronu rzucił na wąwóz jeden pluton. Ten wszakże nie próbował nawet atakować wobec wąskości drogi. Miał zginąć wtedy od kuli jeden trębacz, a jeden z podoficerów wrócił bez konia. Szef szwadronu porwał tedy do szarży resztę szwadronu 2-go, złożonego z pełnych 2 kompanii czyli 8 plutonów i ruszył z nimi naprzód, lecz doznał kontuzji w głowę i spadł z konia. Wówczas ruszył 1 szwadron szwoleżerów, a za nim reszta pułku Krasińskiego z samym dowódcą na czele. Czyli inaczej mówiąc szwoleżerowie ponawiali atak trzykrotnie coraz to większymi siłami. Rekord Thiersa został pobity!

Jan Chłopicki[6]) w swych wspomnieniach dodał, że szwadron Kozietulskiego już pędzący ku wąwozowi został dokompletowany jeźdźcami z innych szwadronów lekkokonnych pod osobistym dowództwem nie ujawnionego z nazwiska generała ze świty cesarskiej. Lecz nie koniec na tym. Łubieński[7]) naoczny świadek szarży i uczestnik pościgu podał również we wspomnieniach.

---

[3]) Tom IX str. 365.

[4]) „Les Polonais a Somo Sierra en 1808, en Espagne. Refutations et Rectifications relatives a l'attaque de Somo Sierra, decrites dans le IX e volume l'Histoire du consulat et de l'Empire par M. A. Thiers"; wyd. I. Paris 1854; Wyd. II. Paris 1855 i po polsku „Somo-Sierra" Poznań 1854.

[5]) Płaczkowski W. — „Pamiętniki Weterana Napoleońskiego". Wyd. I. Żytomierz 1861. Wyd. II. W-wa 1899.

[6]) Chłopicki Jan — „Pamiętniki ...... porucz. 7 pułku ułanów wojsk francuskich z czasów kampanii Napoleona spisany z ustnych opowiadań przez jego syna. Z portretem autora. Wilno 1849.

[7]) Łubieński Tomasz drukował opis szarży w „Gazecie Warszawskiej" dnia 21-go stycznia 1809 r., trudno więc przypuszczać, by pamięć zawiodła go aż w tym stopniu. To samo powtórzył w XVI tomie czasopisma „Wanda".

drukowanych na świeżo w niespełna bowiem w 2 miesiące po bitwie, wiadomość o 3 aż szarżach przeprowadzonych kolejno, i o zdobyciu 13 dział (w tem tylko 1 przez Niegolewskiego). To samo, podał inny uczestnik pościgu Szeptycki [8]), późniejszy generał, a o 3-ch atakach nawet rozpisał się wcale obszernie. Mniej znany i niezbyt miarodajny opis dr Niedzielskiego [9]) stwierdzał wzięcie tej baterii przez Kozietulskiego, 2-ej przez Dziewanowskiego co zgadza się z prawdą, natomiast 3-cią baterię według niego wziął Niegolewski, a 4-tą Łubieński.

I wierzyć tu naocznym świadkom? Dodajmy jeszcze, że Szeptycki był nietylko oficerem w 2-gim szwadronie Łubieńskiego w czasie jego działań pościgowych, ale nadto był tego dnia na służbie przy osobie marszałka Bessières, więc podwójnie mógł być dobrze poinformowanym.

Chyba, że zdobycie kolejnych bateryj i pościg liczyć za szarże oddzielnie — wtedy wszakże byłoby szarż aż 5, w żadnym razie 3. Może tylko uznanie za oddzielne szarże działań 1 i 3 szwadronu lekkokonnych oraz strzelców konnych gwardii dałoby w wyniku liczbę 3, ale nie były to działania oddzielne.

Według Ségura [10]) wysuwa się naprzód jego własna osoba jako główny bohater szarży. Również dyskusję mogło wywołać zagadnienie czy pułk lekkokonnych od początku swego istnienia należał do starej gwardii, czy też był wcielony do gwardii młodej, a dopiero w nagrodę za świetny wynik szarży przeniesiony został do starej gwardii z pominięciem średniej. Różnie się o tem mówi.

Nie mniej fantastyczne wypadł w relacjach pamiętnikarskich pościg od 2 do 10-ciu mil drogi, godząc się naogół, że trwał od Somo Siery do Buitrago. A czy miejscowość tę pisać „Buitrago", „Bujtrago" czy „Buytrago" pamiętniki nam nie wyjaśniają; dają pisownie różne. W zestawieniu różnych opinij możnaby było mieć w końcu poważne wątpliwości czy rozkaz szarży Napoleon wydał Kozietulskiemu osobiście, przez gen. Montbrun czy też za pośrednictwem marszałka Bessières, Ségura czy też przez którego z adjutantów.

Który z tych dwóch dowódców gwardii Bessières czy Montbrun był przy 3-cim szwadronie na początku szarży?

Wymieńmy tu raz jeszcze relację gen. Załuskiego [11]), domniemane opowiadanie Tedwena [12]) i najpewniejsze ze źródeł polskich Aleksandra Rembowskiego „Źródła do historii pułku lekkokonnych gwardii Napoleona I". Wreszcie całkiem oryginalnym ujęciem sprawy grzeszy „Kalendarz Krakowski" na rok 1856 Józefa Czecha. Zamieszczona tam niby opowieść starego majora celem zbudowania młodych słuchaczów: jak to bezbożność została na miejscu

---

[8]) Szeptycki Wincenty — „Urywek z rękopisów pozostałych po jenerale Szeptyckim". „Dziennik Literacki". 1862. wspomnienia napisane w 1821 roku.

[9]) Niedzielski Kazimierz dr. — „Polacy pod sztandarami obcymi". W-wa 1912.

[10]) Segur Filip de — „Histoire et Memoires par le General C-te de ..... membre de l'Academie Francaise". Paris 1873.

[11]) „Czas" 1853 nr. 8 z dn. 12-go stycznia, nr. 28 z dn. 28-go stycznia; 1855 z dn. 27-go kwietnia, nr. 60 zdn. 14 marca;

Załuski Józef — „Wspomnienia o pułku lekkokonnym polskim gwardii Napoleona I, przez cały czas od zawiązania pułku w r. 1807 aż do końca w roku 1814, przez .... byłego jenerała brygady w głównym sztabie wojska polskiego Wyd. „Biblioteka Polska" Kraków 1865

[12]) „Czas" nr. 15 z dn. 19-go kwietnia 1855 roku; relacja o bitwie pod Somo-Sierrą, pochodząca jakoby od kpt. Wincentego Tedwena.

ukarana. Jako przykład zostali użyci szwoleżerowie, grzeszący brakiem uczuć religijnych, — gdyż dopuścili się rabunku w mieście Lerma (zwłaszcza miał ucierpieć kościół) w drodze z Burgos do Somo Sierra. Autor miał sobie znaczyć krzyżykami nazwiska tych, co sprofanowali święte miejsce: — wszyscy oni w ilości 57 zginęli w czasie szarży. Nie możemy pominąć tu Biuletynu Nr 13 Napoleona z Saint Martin pod Madrytem z dnia 2 grudnia 1808 roku. Należy przypuszczać, że biuletyn ten był redagowany lub przynajmniej dawał doń wskazówki, Sègur, czym tłumaczono nieścisłości, które się do jego redakcji wkradły.

By skończyć z przeglądem literatury przedmiotu podaję jeszcze kilka tytułów tak czy inaczej związanych z interesującym nas tu tematem.

1. Jomini — Geserre d' Espagne. Extrait des souvenir inedits du géneral ..... (1808 — 1814). Par Ferdinand Lecomte. Paris 1892.
2. Pascal A. — Les Bulletins de la Grande Armée. Paris 1844.
3. Thumas Ch. — Les Grande Cavaliers du Premier Empire. Premiere serie 1890.
4. Wójcicki K. W. — Cmentarz Powązkowski t. I, str. 121; t. III nekrolog Romana Wiktora.
5. Arteche José Gomer de gen. — Guerra de la Independencia. Tomów 14. Wyd. 1868 — 1903.
6. Kerchnave H. — Attacke von Somo Sierra. Cavallerische Monatshefte. Wien 1908 (przekład polski — Lwów 1908).
7. Skałkowski — Odgłosy Somo-Sierry. Kwartalnik Historyczny 1927.
8. Łubieński Tomasz — Krótki opis bitwy pod Somosierrą. Wanda 1821. IV. 99—101. Rocznik XVI.
9. Somosierra. Bibl. Warsz. 1855. II. 419 — 423.
10. Łubieński Roger — Gen. T. Łubieński.
11. (Jugielski) — Wspomnienie o pułku szwoleżerów Napoleona (według artykułu kpt. H. Kerchnave). Lwów 1909.
12. Niegolewski Andrzej — Les Polonais á Somo Sierra en 1808 en Espagne. Rifutation et rectification relatives á l'attageu de Somo Sierra, decrit dans le nevieme volume de l'Histoire du Consulat et de l'Empire par M. A. Thiers. Paris 1854.
13. — Toż. Rectifications relatives a l'attaque de Somo Sierra decrite par des Historiens francais suiviens des Opinians de Napoleon I sur la Pologne emises a Sainte Helene par le Colonel — Commendant en 1831 le 1-er Regiment de la Cavalerie de Sandomir etc. 2-me édition Paris 1855.
14. — Somo Sierra przez ...... Poznań 1854.
15. — Encyklopedia nauk wojskowych i morskich t. III.
16. Masson Frederic — 1792 — 1809. Avantures de guerre.
17. Rembowski A. — Krótki opis bitwy pod Somo Sierra przez T. Łubieńskiego. Tygodnik Ilustrowany 1905, nr 24.
18. — Źródła do historii pułku szwoleżerów gwardii.
19. Saint Hilaire E. M. — Histire de la garde Imperiale.
20. Thiers, Segur et Lamartin. Paris 1855 (broszura bezimienna).
21. Wspomnienia o bitwie pod Somosierrą (przez naocznego świadka) Tygodnik Ilustrowany 1860, II 578.
22. Wspomnienie narodowe. Polacy pod Somosierrą. Wanda 1821. III — 145 — 146.
23. Załuski J. — Wspomnienia o pułku lekkokonnym pols. gwardii Napoleona I. Czas dodatek, wrzesień 1856 I 597 — 639 i odb.
24. — Dalsze wspomnienia o pułku lekkok. pols. Czas 1858 I 283 — 315 i odb.
25. — Trzecie wspomnienie o pułku lekkok. pols. Czas 1858 II 23 — 67.
26. — Czwarte wspomnienie o pułku lekkok. pols. Czas 1859 II 3 — 63.
27. — Piąte wspomnienie o pułku lekkok. pols. Czas 1859 IV. 331 — 397.
28. — Szóste wspomnienie o pułku lekkok. pols. Czas 1600 I 238 — 311.
29. — Wspomnienie siódme i ostatnie o pułku lekkok. pols. gwardii Napoleona I w latach 1813 — 14. Czas 1860 III 391 — 463.

30. — Wspomnienie o pułku lekkok. polskim gwardii Napoleona I, przez cały czas od zawiązania pułku w r. 1807 aż do końca w roku 1814 przez ....., Biblioteka Polska, Kraków 1865.
31. Szeptycki W. — Wspomnienia narodowe, dodatek do Somosierry. Wanda 1821.
32. — Somossiera z rękopisów pozostałych. Dziennik Liter. 1862.
33. Czech J. — Kalendarz Krakowski na 1856 rok.

Pierwsze w języku polskim wiadomości o szarży dały pisma warszawskie i poznańskie w grudniu 1808 roku.

A teraz przejdźmy do wydobycia przeciągu szarży ze stanu chaosu wątpliwości, jakie mogły się nasunąć na podstawie odczytywania relacji jej uczestników i naocznych świadków.

II

Wprost z kongresu w Erfurcie niemal że jednym tchem jechał Napoleon na hiszpański teatr wojny celem objęcia naczelnego dowództwa, pomszczenia dotychczasowych niepowodzeń orężnych i osadzenia na tronie madryckim swego brata Józefa.

W dn. 3-go listopada [13]) o godz. 2 w nocy był w Bajonnie, 4-go przejechał granicę hiszpańską i nocował w Tolosa, 5-go udał się do Vittorii, gdzie była główna, kwatera króla Józefa. Przybył tam, podobnie jak poprzednio do Bajonny nocą, by uniknąć uroczystości powitalnych.

Objąwszy dowództwo nad oddziałami, mającymi działać w Hiszpanii, chwycił się decyzyj zgodnych z jego charakterem i istniejącym stanem rzeczy. Cesarz przedsiębrał już w drodze środki dla liczebnego zwiększenia armii, a zwłaszcza ulepszenia jej składu wewnętrznego. Z Niemiec przeniósł szybko korpusy Neya, Victora i Mortiera, sztyftował nowe oddziały, a w Bajonnie założył olbrzymie magazyny. Nowo zorganizowaną armię stanowiły korpusy: I marszałka Victora księcia Belluno, II marszałka Soulta księcia Dalmacji, III marszałka Moncey księcia Conegliano, IV marszałka Lefèvre księcia Gdańska, V marszałka Mortier, księcia Treviso, VI marszałka Ney księcia Elchingen, VII gen. Gouvion Saint Cyr. VIII Junot księcia Abrantes. Nadto rezerwa kawalerii marszałka Bessières księcia Istrii i gwardia Cesarska pod rozkazami gen. Vatier. Korpusy V, VII i VII dołączyły się do sił głównych w ciągu akcji, lecz większa część wymienionych wyżej oddziałów przeszła granicę hiszpańską już, w końcu października. Razem stanowiło to siłę do 250.000 ludzi.

Wszystkie 8 kompanij pułku lekkokonnych gwardii przybyłe w różnych czasach do Hiszpanii, skupiły się między Pancorbo i Briviesco i zostały podzielone na dwa regimenty I. pod dowództwem płk Wincentego Krasińskiego pod Santa Maria de Cobo, a II. pod płk Doutancour pod Briviesco, względnie początkowo wzdłuż rzeki Ebro od Reynosy do Legrano z posterunkiem wysuniętym w Briviesco. Pułk liczył do 800 koni. Rozrzuciwszy szeroko posterunki, pułk pełnił służbę podjazdową w kierunku skupiających się w okolicy Burgos Hiszpanów. Do Briviensco ściągnął i cały korpus marszałka Soulta.

Strona przeciwna — powstańcy hiszpańscy wystawili w końcu września cztery niewielkie armie będące raczej korpusami broni połączonych, liczących razem 165 — 190.000 ludzi:

1. Na lewym skrzydle gen. Don Joaquin Blake dowodzący armią biskajską (noszącą też nazwę galicyjskiej) 40 — 45.000 ludzi z kwaterą głów-

[13]) Według Thiersa. W innych źródłach znaleźć można datę dn. 1-go listopada

ną w Santander, a później w Bilbao. Zadaniem Blaka było zagrożenie komunikacjom francuskim, począwszy od Vittorii aż po Bajonnę.

2. Armia środkowa czyli estramadurska gen. margrabiego Belvedere osłaniała Katalonię od strony Burgos liczyła 15 — 20.000 ludzi.
3. Armia aragońska w sile 18 — 20.000 ludzi pod wodzą Palafoxa broniła doliny Alagońskiej i osłaniała Saragossę od północy z zadaniem dodatkowem współdziałania z gen. Castaniosem w kierunku na Santander.
4. Armia andaluzyjska, zwana też centralną, gen. Castaniosa liczyła 30 — 40.000 ludzi była rozstawiona eszelonami od Kalahova do Tudeli i stanowiła środek całego ugrupowania.

Prócz sił głównych korpus liczący 10.000 bagnetów osłaniał Madryt; w Katalonii gen. Vives w 30 — 40.000 ludzi blokował Barcelonę, wreszcie korpus angielski w sile 29.000 ludzi był w marszu.

Centralna junta powstańcza była w Aranjuez; przewodniczył w niej staruszek Florida — Blanca, były minister jeszcze z czasów panowania króla Karola III. W sumie przewaga liczebna była po stronie hiszpańskiej, jeśli przyjmiemy straty maksymalne w ich oddziałach; przewagę jakościową reprezentował zdecydowanie Napoleon.

O Anglikach cesarz nie miał dokładniejszych wiadomości; wiedział tyle tylko, że ciągną ku Madrytowi od strony Portugalii i Galicji; chciał ich przeto uprzedzić w stolicy Hiszpanii, wciągnąć w głąb kraju, osaczyć siłami, dowodzonymi osobiście przez siebie, Soulta i Junot'a. Do przeprowadzenia tej akcji cesarz upatrywał sobie właśnie Madryt, uważając go za dobrą dla tego celu podstawę operacyjną. Lecz, by go podstawą operacyjną zrobić, trzeba było tę podstawę nasamprzód zdobyć, uprzedzając w tym punkcie Anglików. A więc wyłaniają się 2 punkty koncepcji dwu kolejnych operacyj: 1) zmierzająca do opanowania stolicy i 2) zlikwidowania desantu angielskiego w Hiszpanii.

Interesuje tu nas tylko część pierwsza.

Hiszpanie, rozciągnięci w zbyt długą linię, główne swe siły skoncentrowali na skrzydłach, osłabiając zbytnio środek. Fakt ten stał się dla Napoleona punktem wyjścia: związać skrzydłowe armie hiszpańskie, zgnieść środek wielką przewagą własnych sił głównych, poczem przez podwójne posunięcie flankowe odciąć i zniszczyć oba skrzydła. Powodzenie tej akcji, unicestwiłoby całkowicie opór armii hiszpańskiej. Hiszpanie zaś, nie orientując się, co im grozi, sami szli cesarzowi na rękę, usiłując swymi korpusami skrzydłowymi osaczyć armię francuską i odciąć ją od Pirenejów. Ruch ten zdawna obmyślony, wykonany został na wieść o zbliżających się posiłkach francuskich, a więc ruchem naprzód starano się uprzedzić koncentrację nieprzyjaciela. Usiłowania te nie powiodły się.

Przybywszy do Vittorii, cesarz w dn. 6-go i 7-go listopada wydał szereg zarządzeń. Marszałek Lefèvre ma stawić czoło Blakowi, Moncey — Castaniosowi i Palafoxowi. Korpusy Victora, Soulta i Neya oraz jazda marszałka Bessières'a (razem jak liczono optymistycznie w sile do 80.000 ludzi) mają przełamać środek ugrupowania nieprzyjaciela i zgodnie z planem pierwotnym, rozdzieliwszy oba skrzydła, rozbić je kolejno.

Faktycznie po odejściu Neya liczebność sił głównych spadła do 50.000 ludzi.

Kierunek operacyj Soulta stanowiło miasto Burgos. Marszałek ten mając do rozporządzenia II korpus i jazdę gen. Lasalle (17 — 18.000 piechoty i 4.000 jazdy) już w dn. 8-go listopada przybył do Briviesco i polecił dywizjom gen. Mouton, gen. Merle i gen. Bonnet skupić się na drodze z Briviesco do Burgos w okolicy Monasterio. Koncentracją osłonił jazdę Lasalle'a. Poza sobą miał jazdę Milhauda i główne siły francuskie. Dn. 10-go listopada rozpoczął ruch zaczepny, który tegoż dnia miał doprowadzić do bitwy.

Gen. Maurice — Mathieu, z częścią sił Moncey'a ścigającego Castaniosa cesarz powstrzymał, by dać możność temu marszałkowi wszystkie siły skupić przy oblężeniu Saragossy. Naglił natomiast gen. St. Cyr, walczącego w Katalonii, by przyśpieszył działania na Barcelonę, dał odsiecz temu miastu i zniósł jego blokadę. Że korpus V ostatni opuścił Niemcy i czoło jego ukazało się dopiero w Bajonnie, Napoleon polecił dowodzącemu nim marszałkowi Mortier, by zajął Burgos, po opuszczeniu tego miasta przez główną kwaterę, gdy ta przeniesie się naprzód w stronę Madrytu.

Pierwotnie wydane rozkazy uległy jednak zmianie, gdyż zwrot zaczepny Blaka zmusił do skierowania przeciwko niemu jeszcze korpusu Victora, który poszedł na pomoc Lefèvre'owi Z tych obustronnych posunięć wywiązał się w dn. 10-go — 23 listopada szereg pomyślnych walk. w których obaj marszałkowie odepchnęli Blaka. Lecz że Victor i Lefèvre nie działali zbyt zgodnie, więc choć zadali Blakowi poważne straty, nie osiągnęli maksimum możliwego w ich sytuacji powodzenia. Victor po bitwie z Blakiem pod Espinosa de los Monteros w dn. 11-go listopada stał w miejscu przez resztę dnia oraz cały dzień następny tj. 12-go listopada, dając strudzonym marszem żołnierzom wytchnienie. Tymczasem w dn. 12-go listopada korpus Blaka przeszedł do Reinosa, gdzie Hiszpanie mieli wielkie składy amunicji. Stąd chciał bez zatrzymania dostać się po przez góry na drogę do Leonu.

W każdym razie Blake został wyparty z Bilbao i Balmasedu. Otrzymawszy zaś w tym czasie posiłki 12 — 15.000 ludzi z korpusu gen. La Ramona, podniósł swe siły do około 36.000 ludzi, przez co ponownie mógł zagrozić komunikacjom armii francuskiej.

O świcie dn. 10-go listopada gen. Lasalle spędził czaty hiszpańskie margrabiego Belwedere, lecz po kilku strzałach cofnął się, gdyż teren był nieodpowiedni dla działań kawalerii. Nadeszła piechota i ta dopiero po kilko-godzinnym boju wywalczyła zwycięstwo. Sukces księcia Dalmacji pod Burgos był całkiem poważny: zdobyto 30 dział, 12 chorągwi, wzięto koło 900 jeńców. Do 2.000 Hiszpanów padło na placu pod szablami szwoleżerów i dragonów Lasalle'a w czasie pościgu. Miasto uległo rabunkowi. W samej bitwie szwoleżerowie polscy mieli minimalny udział; kłusem przeszli przez miasto i brali udział z małą stratą własną w pościgu aż do chwili, gdy na czoło wysunęły się pułki francuskie kawalerii Lasalle'a, które posunęły się aż pod Aranda i dalej w kierunku na Valladolid.

Ogólne dowództwo nad wszystkimi siłami francuskimi nad rzeką Ebro otrzymał marszałek Lannes, mający poruczone sobie naciskanie armii Castaniosa od czoła- gdy tymczasem Ney ruszył przez Aranda na tyły armii andaluzyjskiej. Lannes zdecydowanie pobił Castaniosa oraz połączonego z nim Palatoxa pod Tudelą (dn. 23-go listopada), lecz Ney nie zdążył uchodzącym Hi-

szpanom odciąć odwrotu. Szczątki armii Castaniosa ratowały się śpiesznym odwrotem, gdy równocześnie armia aragońska Palafoxa, odcięta od reszty sił hiszpańskich, została osaczona w Saragossie. Dowiedziawszy się o przebiegu akcji, Napoleon polecił Neyowi, nie wdając się w blokadę Saragossy, iść w kierunku na Madryt w ślad za cofającym się Castaniosem, ścigać go i zniszczyć, — Lefèvre'owi zaś śpiesznie maszerować po przez Valladolid i Segowię również w kierunku na Madryt, ustępując swe miejsce świeżo przybyłemu korpusowi Junota. Marszałek Mortier miał iść na Burgos, Soult po wyjściu z Burgos skierowany został przez Huermece i Conduela ku Reinosa.

W ruchu tym spodziewał się cesarz, że Soult wejdzie na tyły Blaka, poczem pójdzie do Santander, podbije Asturię, gdzie uśmierzy miejscowe powstanie, wreszcie razem z korpusem Junota przewidziany był do działań przeciwko Anglikom, wygrywając przez to dla cesarza czas potrzebny do zdobycia Madrytu. Soult, ściśle wykonując powierzony mu ruch, w dn. 13-go rano opuścił Burgos i przez Huermece i Canduelę i w dn. 14-go osiągnął Reinosę.

Sam cesarz w dn. 10-go listopada nocował w Santa Maria de Cobo, dn. 11-go zjechał do Burgos. Tegoż dnia skierował lekką jazdę gen. Lasalle w kierunku Lerma i Aranda dla odepchnięcia Hiszpanów ku górom Guaderrama dla oczyszczenia okolic i przygotowania dróg, maszerującym za nim kolumnom

W dn. 11-go listopada Lasalle ruszył naprzód ku pasmu górskiemu Guaderrama, ku Valladolid wysuwając równocześnie 2.000 dragonów Milhauda. Względnie jazda ta skierowana została z Leuny do Orma, gdzie — wstrzymana nowym rozkazem — przez Aylon i Rjaza skierowała się ku podnóżom Guaderramy. Szwoleżerowie z Burgos przeszli przez Kaholtos i Villados do Lerma, wysyłając naprzód podjazdy. Mieszkańcy uciekli. Szwoleżerowie sami musieli zdobywać sobie pożywienie. Wobec nadmiaru znalezonego wina karmili nawet swe wierzchowce chlebem umaczanym w winie. Żołnierze wobec braku innych produktów byli zmuszeni zadowolić się wódką, cebulą i chlebem z domieszką żółci wołowej [14]).

Przy cesarzu pozostał na służbie pluton por. Wysockiego. Korpus I. marszałka Victora ks. Bellune cesarz posunął w lewo od traktu madryckiego dla osłaniania tyłów korpusa Neya, poczem sprowadził go przez Aylon i Rjaza na sam trakt w punkcie, gdzie ten zaczyna się podnosić na łańcuch Guaderrama. W dn. 14-go listopada Ney został wysunięty do Soria w kierunku ku Lerma, i Aranda z myślą o oskrzydleniu Castaniosa. Przez dn. 15-go, 16-go i 17-go listopada cesarz zbierał wiadomości o ruchach swych korpusów. Był pewien, że Soult wszedł już do Santander bez trudności, że Lefèvre usadowił się w Carrion, że Victor jest w marszu na Burgos, a Ney osiągnął Aranda pod osłoną szeroko rozłożonej jazdy. Dn. 18-go polecił Neyowi utrzymać dalszy ruch naprzód na linii Aranda, San Estevan, Almazan, obserwując miejscowości Soria i Calatayud, oraz sprawdzić, czy Castanios cofa się z Pampeluny do Madrytu traktem, przechodzącym przez Soria, czy też traktem innym Saragossa — Madryt przechodzącym przez Calatagud. Cesarz spodziewał się, że w dn. 22-go lub 23-go najdalej korpus VI. wejdzie na tyły armii hiszpańskiej, a równocześnie Lannes

[14]) Chłopicki Jan — „Pamiętniki". W Hiszpanii chleb pieczono w dużych odstępach czasu, nawet i 1/2 rocznych, więc dla dodania mu świeżości dodawano doń nieco żółci wołowej.

miał mocniej nacisnąć Castaniosa od strony Logrono. Wraz z siłami Monceya miał Lannes 24.000 piechoty, 4.000 jazdy i 2.000 artylerzystów; dawałoby to mu pełną możność zepchnięcia obu zarówno Castaniosa jak i Palafaxa na korpus Neya. Ten ostatni w dn. 19-go listopada wszedł do Aranda, wieczorem tegoż dnia był w San Estevan, dn. 20-go w Berlanga na czele jakichś 13 — 14.000 ludzi. Dn. 21-go stanął w Soria z czołową dywizją, a przybycia następnych oczekiwał nazajutrz.

Tymczasem Lannes w dn. 19-go listopada wyszedł masą 28 — 29.000 ludzi z Burgos, osiągając Logrono; przez dzień następny koncentrował swe siły w tym punkcie, dn. 21-go przeszedł Ebro. Tegoż dnia Moncey opuścił Lodosa. Dn. 23-go doszło do bitwy pod Tudelą. Castanios został pobity — aragończycy zepchnięci ku Saragossie, a powstańcy andaluzyjscy ku Borii na trakt z Saragossy do Madrytu na Calatayud i Siguenza. Wobec braku nowych wiadomości i dalszych rozkazów Ney — dn. 23-go i 24-go spędził bezczynnie w Sorii i dopiero dn. 25-go nawiązał kontakt z Moncey'em. Napoleon dn. 26-go listopada dowiedział się o bitwie pod Tudelą, rozproszeniu środkowej i prawoskrzydłowej armij powstańców oraz o niewykonaniu przez Neya przepisanych mu ruchów.

Ruch na Soria nie powiódł się; Castanios w 8 — 9.000 ludzi cofnął się swobodnie przez Siguenza i Guadalaxara. Tymczasem margrabia La Ramona w 6 — 7.000 ludzi operował swobodnie w górach Leonu, a na drodze do Madrytu plątały się niedobitki armii estramadurskiej, rozbitej przez Soulta pod Burgos.

Teraz Napoleon przynaglił Neya do marszu za Castaniosem. Lefèvre'a pozostawiono w Carrion dla wiązania centrum armii z korpusem Soulta. Równocześnie cesarz przewiduje, że korpus ten przejdzie okólnymi drogami do Madrytu, a dragoni Milhauda, podlegli Lefèvre'owi, posuną się na Valladolid i Segowię dla osłonięcia prawego skrzydła głównej kwatery. Wszystkie te zarządzenia zapewniały cesarzowi pełnię swobody działania.

Wkrótce po bitwie pod Burgos cesarz powziął zamiar opuszczenia głównego dłuższego traktu na Valladolid i Segowię i wyruszenia boczną drogą na Lerma, Aranda i Somo-Sierra do Madrytu. Cel był całkowicie zgodny z założeniami politycznymi i militarnymi Cesarza, zgodny też z tymi wytycznymi, jakie sobie stawiał w przeszłości wobec Austrii w 1805 r. i wobec Prus w 1806 r., a jakie sobie postawi w przyszłości wobec Austrii w 1809 r. i Rosji w 1812 r. Rozkazy marszu na Madryt wydane zostały w dn. 26-go listopada; w pełnym wykonaniu były już dn. 29-go, tzn. sam cesarz w dn. 23-go wyjechał z Burgos do Aranda.

Jak się rzekło Lerma została zajęta przez szwoleżerów, idących na czele sił głównych. Szeptycki, Brocki i inni oficerowie zostali rozesłani w okolice dla dokonania rekonesansu. Tylko Załuski na czele lekkokonnych pozostał na służbie w pałacu dawnych książąt Lermy, gdzie przygotowywano kwaterę dla Napoleona. Lecz cesarz nie przybył w spodziewanym terminie. Ustawiczne podjazdy nużyły szwoleżerów. Ścigano Hiszpanów aż do miasta Orma dla dowiedzenia się o siłach ich rozbitych pod Tudelą. Z Lerma szwoleżerów przesunięto do Aranda. Stąd pluton Załuskiego został wysłany do Olmechillo, gdy równocześne płk. Dautancourt z II-gim regimentem zajął miasto Roa. Przyjęcie w Olmechillo było zrazu uprzejme, lecz gdy Załuski minął miasto, poczęto za szwoleże-

rami strzelać. Załuski obsadził pobliską owczarnię i zaczął ostrzeliwać się z karabinów. Pojmawszy dwóch przedstawicieli miejscowej municypalności, (alcalda i corregidora) odesłał ich pod strażą do Aranda. Lecz zawsze łagodny wobec Hiszpanów marszałek Bessières kazał obu puścić wolno. Od Aranda I. regiment szwoleżerów posunął się naprzód, orientując się w lewo od regimentu II-go, natomiast w prawo od pozycji hiszpańskiej pod Somo-Sierrą. Ruch ku górom Guaderrama rozwijał się w pełni.

Natarłszy parokrotnie na oddziały hiszpańskie, szef szwadronu Tomasz Łubieński ze stratą kilku szeregowych wziął języka.

Szwoleżerowie dotarli aż do Bocequillas. Gwardia cesarska i fizylierzy gen. Savary również podeszły do Bocequillas, obserwując korpus margrabiego Belvedère, który się wycofał między Sepulveda a Segorią.

Cesarz dn. 29-go listopada stanął główną kwaterą w Bocequillas. W kierunku Guaderramy wysłał dragonów Lahoussay'a i Latour — Moubourg'a. Miał niejaką nadzieję uprzedzić w tym punkcie cofającego się Castaniosa.

Gen. Savary dokonał silnego podjazdu w kierunku miasteczka Sepulveda celem rozpoznania sił, stojących tam Hiszpanów i ewentualnie zorientowania się w ich zamierzeniach. Zabrawszy nieco jeńców, cofnął się, nie mając rozkazu iść dalej. Hiszpanie zdziwieni, że ich ne próbowano spędzić ze stanowisk, posłali do Madrytu wiadomość o znakomitym zwycięstwie, odniesionym nad gwardią cesarską.

Ogólny przebieg akcji począł tymczasem zarysowywać się całkiem pomyślnie dla Francuzów.

U Hiszpanów brakło wodza naczelnego o wystarczająco dużej powadze przy mało zdyscyplinowanej armii, bez doświadczenia i nie przywykłej do wojny, co w sumie doprowadzało do klęsk, mimo przenikającego żołnierzy entuzjazmu. Lecz wojska hiszpańskie nawet rozbite nie traciły zdolności bojowej, i rozproszone w jednym miejscu, skupiały się w innym. Przytem szereg partyj partyzanckich poczęło działać na linie komunikacyjne Francuzów.

Po klęsce pod Burgos droga do Madrytu była już dla wojsk francuskich otwarta. Wszakże junta centralna z Aranjuez postanowiła stawić mimo wszystko dalszy opór. W tym celu wysłała w przesmyki górskie, na drodze Burgos — Madryt wszystkie siły, jakie się dało wydobyć ze stolicy.
Skoncentrowano tam resztki armii estramadurskiej i dywizji andaluzyjskiej razem 12 — 13.000 ludzi pod dowództwem wcale zdolnego generała Benito San Juan. Przytem junta liczyła na Castaniosa, w klęskę którego pod Tudelą nie chciano wierzyć. Sądzono, że korpus jego przybędzie w porę, by osłonić Madryt od strony Guaderramy, gdy tymczasem Anglicy zdążą przybyć poprzez Avila z częścią sił, a reszta, maszerująca przez Talavera, też zdąży na czas, by osłonić stolicę.

Łańcuch górski Guaderrama ciągnie się z południowego zachodu na północny wschód. Przecina go droga bita z Burgos do Madrytu wąska przebiegająca przez góry wąwozem i przełęczą Somo-Sierra. Łańcuch jako całość stanowi ostatnią poważniejszą przeszkodę naturalną przed Madrytem od strony północnej. Najtrudniejszym do sforsowania jej punktem jest wąwóz i przełęcz Somo-Sierra, oddalona o okrągło 60 km. od Madrytu. Wąwóz tworzą zbocza dwóch stromych gór Barancal i Cabollera (Sewollera 2.123 m), między którymi wije

się gościniec dnem wąwozu, wznosząc się o 300 m. od podnóża wąwozu do przełęczy ze spadzistymi wyniosłościami o 600 i 800 m względnej wysokości po obu stronach; długość defilè wynosiła 5.000 m. Część wschodnia łańcucha wznosi się coraz wyżej, poczynając od Celebore — Vieja, Omas Monteres i Maria. Szczyty, piętrząc się jedne nad drugimi, ostro panują nad drogą aż do samego wąwozu. Podstawą tegoż jest rzeczka De la Pena del Horo, będąca dopływem Duratonu, skąd kieruje się na 1jo, płynąc koło miasteczka Siguero Część wschodnia łańcucha ma formy łagodniejsze oraz najwyższy szczyt El Alto der-Barrancal. Jedna z gałęzi tego łańcucha biegnie na północ i przechodzi w obszerny płaskowzwyż. Od strony nadciągających kolumn francuskich góry tworzyły kilka tarasów, na których można było swobodnie ustawić strzelców. Gościniec od Bacequillas biegnie 16 km. równiną do Cereso-Bajorsi skąd jest jeszcze 11 km. do Somo-Sierra. Od Cerero droga ku wąwozowi idzie równiną, przy której znajdowały się zajazd Juanilla i wieś Santo Tome Gościniec biegł lewym brzegiem rzeczki De la Pena potem przez most pzrechodził na jej brzeg prawy, gdyż na lewym teren stawał się coraz mniej równy. Zbliżając się do wąwozu i w samym wąwozie droga załamywała się cztery razy. Ustawiwszy działa na zakrętach, można było gościniec ostrzeliwać na całej długości. Całą zresztą drogę wzdłuż i wszerz można ostrzeliwać ogniem krzyżowym ze zboczy otaczających gór. Wąwozem droga dobiegała do wsi Somo-Sierra, którą poprzedzało kilka oddzielnych zabudowań. Wieś położona na dziale wód systemu rzek Duero i Tagu na lekkiej pochyłości ku rzece Pilosano, wpadającej do Losajo dopływu Tagu. W ogólności miejscowość z małymi wyjątkami ma charakter górzysty i skalisty. Okolica bezpośrednio pod górami stosunkowo dość płaska, a pola uprawne przecięte małymi laskami. Na prawo od gościńca płynie strumyk, przecinający go w tym miejscu, gdzie stanęła później bateria francuska i bez skutku ostrzeliwała hiszpanów. Nieco dalej u stóp gór przerzucony był drugi most, przed którym gościniec zwężał się mocno i wpadał wprost w wąwóz Przypuszczać należy, że Hiszpanie most ten zniszczyli, a w chwili szarży strumień był zarzucony faszynami przez posuwającą się tędy piechotę francuską. Za wąwozem gościniec zbiegał pochyłością ku miastu Buitrago, leżącym na spadzistym prawym brzegu rzeki Losajo łatwym do obrony.

Don Benito San Juan wysunął straż przednią (3.000 bagnetów) do Sepulveda, a resztę 9 — 10.000 ludzi rozstawił na przełęczy Somo-Sierra i na zboczach wąwozu,, który francuzi musieli forsować. Część strzelców ustawił na tarasach, jakby w dwóch piętrach w gęstych tyralierach po obu stronach gościńca tak, by mogli swobodnie razić ogniem karabinowym atakujących. Część sił pilnowała bezpośrednio gościńca wraz z artylerią, stojącą na zakrętach. Na 2.000 metrów od przełęczy ustawiono pierwszą baterię z 4 dział, panującą nad drogą na całej długości strzału; druga stanęła na samej przełęczy w okopie szerokości na 40 m.

By trzymać pod ogniem całą przestrzeń drogi, łączącą zygzakiem obie baterie, stanęły jeszcze dwie inne baterie na dwóch zakrętach gościńca. Na kilkaset kroków przed pozycją wąwóz zabezpieczono głębokim rowem na wypadek nagłego działania jazdy.

Ze względu na teren, jak i na skupienie środków obrony pozycję trzeba było uznać za trudną do zdobycia. Środków inżynieryjnych dla tem większego

jej wzmocnienia nie użyto. Hiszpanie pozycję uważali i tak za niezdobytą, więc junta centralna z Aranjuez nie uznała za potrzebne zmienić miejsce pobytu.

Napoleon tymczasem w dn. 29-go listopada przybył pod Guaderramę i stanął kwaterą w Bocequillas; 3-ci szwadron lekkokonnych eskortował cesarza aż do tej miejscowości, gdzie zastąpili go strzelcy konni gwardii. Szwoleżerów rozlokowano na noc między tym miasteczkiem i Somo-Sierrą, a nie w Arazoga, jak to podał Załuski. Wysunęli też zaraz ku górom awangardę. Cesarz niezwłocznie dosiadł konia i osobiście udał się na rekonesans w stronę wąwozu. Na podstawie tego, co zdołał dojrzeć, wydał rozkazy na dzień następny. Że cesarzowi zależało na szybkim działaniu, postanowił iść na przebój. Wieczorem również i płk. Dautancourt, zajmując z częścią pułku szwoleżerów wysunięte placówki, oglądając o ile się dało przy zapadającym zmroku pozycję nieprzyjaciela, zauważył długie linie biwaków hiszpańskich, ciągnące się wzdłuż grzbietu górskiego po obu stronach gościńca, liczne zwłaszcza po jego stronie prawej. Włościanie, schwytani przez podjazdy, siły Hiszpanów oznaczyli na około 30.000 ludzi.

Jakoby tego wieczoru jakiś szwoleżer z 3-go szwadronu miał za zezwoleniem Napoleona zapalić sobie fajeczkę u cesarskiego ogniska, zapewniając przytem, że za ten zaszczyt podziękuje tam w górach. Bez wątpienia słowo bezimiennego żołnierza zostało dotrzymane. Podobno wypadek ten Napoleonowi podsunął myśl użycia jazdy dla wywalczenia sobie drogi i zwycięstwa.

Dyspozycja na dzień 30-go listopada opiewała: dywizja gen. Lapisse z korpusu marszałka Victora księcia Bellune ma ruszyć na prawo od drogi bitej i zawładnąć pozycją w Sepulveda. Atak na to stanowisko miał być rozpoczęty o godz. 9-tej rano [15]), gdy kolumny maszerujące na Somo-Sierra, zdołają już dotrzeć, jak to sobie cesarz obliczał, do szczytów górskich. Kazał posuwać sie ostrożnie i strzelać dopiero wtedy, gdy mgła poranna opadnie. Dywizja gen. Ruffin z tegoż korpusu w tym samym czasie miała opanować stoki górskie Guaderramy, aż po przełęcz Somo-Sierry. Lekki 9-ty pułk piechoty, należący do tej dywizji, ma posuwać się po prawej, a 24-ty pułk liniowy po lewej stronie gościńca, by uderzyć na prawe skrzydło nieprzyjaciela. 96. p. p. z 7-mio działową baterią (według Biuletynu nr 13 bateria 6-cio działowa co zdaje się bliższym prawdy) gen. Semarmont w ściśniętej kolumnie ma ruszyć gościńcem.

Za 96 p. p. posuwać się będzie kawaleria gwardii przy niej cesarz wraz ze świtą. Przewidzianych w dyspozycji cesarskiej do użycia 12 dział artylerii gwardii i dragonów Houssay'a nie będzie gdzie rozwinąć do natarcia. Marszałek Bessières miał sobie polecone, by o brzasku dnia rozpoznał pozycje hiszpańskie. Polecenia te zostały ściśle wykonane, a książe Istrii o wyniku swego wywiadu zdał dokładny raport.

Rankiem dn. 30-go listopada Napoleon sam wyruszył na ponowne rozpoznanie. Wyjechał z głównej kwatery tak wcześnie, że nie wszyscy oficerowie pułku szwoleżerów już wstali. Pułk zaalarmowany ruszył za Cesarzem. Kpt. Dziewanowski został wezwany do gen. Montbrun, dowódcy awangardy, i otrzymał polecenie wysłania podjazdu. Do funkcji tej wyznaczony został poza zwykłą kolejką por. Niegolewski. Zgodził się chętnie jechać pod warunkiem, że

---

[15]) Inna wersja głosi, że atak powinien był nastąpić na tę pozycję o świcie. Godz. 9-ta rano odpowiadała porze opadnięcia mgły, a więc zwiększeniu widzialności. Obie wersje mogłyby mieć za sobą niejakie argumenty. Puzyrewski gen. — „Szarza jazdy pod Somo Sierrą w Hiszpanii", Kerchnave H — „Attaccke von Somo Sierra".

sam dobierze sobie żołnierzy. Spośród podoficerów wybór jego padł na Sokołowskiego i Wojciechowskiego. Na czele pełnego plutonu (mówiono też o kilkunastu koniach) ruszył. Mgła była tak gęsta, że o 2 kroki nic nie było widać. Podjazd przejechał 3 wsie: wszystkie były całkowicie puste, gdyż mieszkańcy uciekli przed oddziałami francuskimi dywizji gen. Lapisse, idącymi w stronę Sepulveda. Dopiero pod jakimś miasteczkiem nieustalonej nazwy — (może była to właśnie Sepulveda) — Niegolewski wpadł na hiszpańską straż przednią. Hiszpanie dali ognia nie trafiając nikogo i pośpiesznie wycofali się w góry. Nie orientując się w nieznanym mu zupełnie terenie, Niegolewski zawrócił, rezygnując z powierzonego mu zadania. Z kłopotu wybawił go wszakże szwoleżer Poniński. Pod osłoną mgły podążył za Hiszpanami, i korzystając ze swej fenomenalnej siły porwał jednego Hiszpana i uprowadził ze sobą. Po powrocie jeniec został przekazany drogą służbową kpt. Dziewanowskiemu. Ten odesłał go gen. Montbrun, ten zaś z kolei cesarzowi. Dołączywszy do szwadronu, Niegolewski zorientował się, że toczy się już bitwa piechoty. Wraz z kilku żołnierzami zjechał w bok, by poprawić uprząż na koniach. Wtedy przyszedł rozkaz atakowania. Niegolewski puścił się w pościg za szwadronem i dogonił go dopiero po zdobyciu III baterii.

Jeszcze pod Bocequillas adjutant cesarski mjr. Duvivier wyznaczył na służbę przy osobie cesarza 3 szwadron szwoleżerów (3-cia kompania kpt Dziewanowskiego i 7-ma kompania kpt. Piotra Krasińskiego). Ponieważ dowódca tego szwadronu szef Ignacy Stokowski nie nadjechał jeszcze z Francji, pozostali trzej szefowie szwadronu Tomasz Łubieński, Jan Leon Hipolit Kozietulski i Henryk Kamiński kolejno zastępowali go w dowództwie. Z kolei na ten dzień mjr. Duvivier wyznaczył Kozietulskiego. Niegolewski sądził, że szwadron poszedł na służbę w pełnym składzie obu kompanij, — Załuski był zaś zdania, że szwadron służbowy, jak zawsze tak i tym razem, składał się tylko z 4 plutonów po 12 rot każdy, a więc, że ze składu 3 i, 7 kompanii wydzielono tylko po 2 plutony. Ta ostatnia wersja wydaje się prawdopodobną. Odpowiadałaby zaś temu momentowi, gdy Niegolewski był z plutonem na podjeździe: mógł jego pluton stanowić pluton 5-ty nie uwzględniony jako nieobecny w danym momencie przez mjr. Duvivier w rachunku. Dawałoby to w sumie 125 koni, gdyby zaś nacierały pełne kompanie 3 i 7 musiałoby być w ogniu nie 5 lecz 8 plutonów czyli 200 koni. W dn. 30-go listopada dzień wstał ładny, słoneczny. Tylko między godz. 6 — 9 rano utrzymywała się mgła gęsta zwłaszcza w górach. Ledwie przed stanowiskami Hiszpanów pojawiła się kolumna, wysłana na Sepulvedę; powstańcy, nie stawiając oporu, pośpiesznie cofnęli się w stronę Segovii, łącząc się tam z rozbitkami z korpusu margrabiego Belvedère. Tymczasem piechota marszałka Victora zgodnie z rozkazami cesarskimi postępowała naprzód z bronią w ramię bez wystrzału. Sam marszałek pieszo prowadził rozwiniętą linię piechoty pod góry na prawo, a gen. Semète, szef sztabu korpusu, podobnie linię piechoty na lewo od gościńca. Kolumny podeszły dość blisko do pozycyj hiszpańskich nie spostrzeżone przez nieprzyjaciela. Ale nagle mgła znikła i nieprzyjaciel zdołał zorientować się w sytuacji i przygotować do obrony. Wysunięte naprzód placówki po obu stronach gościńca z łatwością odrzucono. Wtedy ze swej głównej pozycji Hiszpanie wszczęli gwałtowny ogień. Gęstość jego obliczano na przeciętnie 400 strzałów karabinowych i po 3 — 4 działowe na minutę.

Napoleon, wykonawszy uprzednio pod osłoną 3-ciego szwadronu szwoleżerów rekonesans, powrócił w stronę Bocequillas i z niecierpliwością oczekiwał rezultatu ataku piechoty. Atak jednak przeciągał się. Trudne warunki terenowe, które trzeba było pokonywać, konieczność orientowania się w bardzo trudnym terenie górskim, gdzie z każdego punktu rozwijały się coraz to inne horyzonty, konieczność dzielenia oddziałów na coraz drobniejsze części, gdy dowódca nie może już nimi kierować, osłabiały skuteczność i siły natarcia. Opór nieprzyjaciela przedłużał bitwę. Piechota francuska wytężała siły w walce z naturą i Hiszpanami, nie osiągając żadnego pozytywnego rezultatu. 96 p. p., posuwając się wzdłuż gościńca, zdołał zawalić rów i niespodziewanie we mgle zderzył się z wrogiem. Czoło rażone kartaczami i ogniem artyleryjskim osiadło na miejscu. Woltyżerzy rzucili się przed front i rozpoczęli wśród gęstej strzelaniny nadzwyczaj powolny ruch naprzód. Francuska artyleria konna z powodu trudności terenowych tylko z 2 dział mogła odpowiadać 4 armatom hiszpańskim. Napoleon zniecierpliwiony przybył do wylotu przesmyku w miejscu, gdzie szosa wpadała do wąwozu. Zatrzymał się nad strumieniem w punkcie, gdzie tenże przecina drogę. Tam właśnie zmagały się z przewagą hiszpańską owe 2 działa francuskie. Poza nimi stała kawaleria gwardii na szosie w kolumnie marszowej.

Wróćmy do szwoleżerów. Otrzymawszy rozkaz szykowania się do bitwy, pułk spędził noc niemalże bezsennie. Równo z brzaskiem lekkokonni uszykowali się przed wsią, gdzie nocowali, poczym posunęli się kłusem pod sam obóz nieprzyjaciela. Słysząc tętent, a we mgle porannej nie mogąc zorientować się dostatecznie wcześnie, Hiszpanie zaczęli ogień kartaczowy, lecz kule górowały i dosięgały tylko kaskietów awangardy. Wstrzymawszy się zgodnie z rozkazem cesarskim, Kozietulski posłał ordynansa po dalsze rozkazy. Hiszpanie, dawszy ze 30 razy ognia ze swych 16 dział, ucichli; ściągnęli placówki i pod osłoną mgły stali się zupełnie niewidoczni. Mniejwięcej w godzinę później wrócił wysłany oficer z poleceniem dalszego posuwania się naprzód; ledwie wszakże szwadron służbowy ruszył z miejsca, gdy po kilkudziesięciu krokach zobaczył przed sobą przekop, a za nim działa hiszpańskie [16]). Wtedy właśnie nadjechał Cesarz, towarzysząc, jak wyrażają się niektóre źródła, posuwającej się piechocie. Szwadronowi kazano się sformować z prawej strony gościńca na lekkiej pochyłości, zakrywającej go od ognia artylerii, lecz ogień karabinowy nie przestawał mu dokuczać. W miarę posuwania się naprzód piechoty francuskiej wzmagał się równocześnie ogień karabinowy Hiszpanów. Wówczas właśnie kula karabinowa trafiła por. Rudowskiego w same piersi. Tak więc szwoleżerowie znaleźli się na czele kolumny marszowej jazdy. Mgła poczęła iść w górę — szwoleżerowie ujrzeli nieprzyjaciela. Cesarz zsiadł z konia, wydawał rozkazy; gdy blisko padł pocisk artyleryjski, Napoleon spokojnie zażył tabaki i pochwalił celność strzałów artylerzystów hiszpańskich. Przedłużający się atak groził krwawą przeprawą. Nie zważając na zasypujące go kule, Napoleon z baczną uwagą śledził przebieg walki, obserwując pilnie teren i nieprzyjaciela. Wybornie poinformowany o stanie rzeczy, obdarzony darem piorunującej orientacji w lot musiał zdać sobie sprawę z całej trudności terenu

---

[16]) Według bezpodstawnego twierdzenia Chłopickiego zostały wtedy zagarnięte 4 działa hiszpańskie. Kerchnave H. — „Attacke von Somo Sierra".

i w pełni świadomości tego, co czyni, rzucił gen. Montbrun, dowódcy gwardii konnej, rozkaz by 3-ci szwadron lekkokonnych szarżował baterie hiszpańskie.

Kozietulski zwinął rzekomo szwadron w czwórki, gdyż wąski wąwóz i głazy, zaściełające cały teren, uniemożliwiały sformowanie. Piszę „rzekomo", bo można sądzić, że szwadron stał cały czas w kolumnie marszowej, a więc nie potrzeba go było zwijać. Wysunąwszy znanego sobie z odwagi porucznika Stefana Krzyżanowskiego wraz z 4 żołnierzami naprzód jako eklererów, poczym dobywszy pałasza z okrzykiem „Niech żyje cesarz!", Kozietulski rzucił się naprzód. Legenda głosi, że rozkaz jego podrywający szwadron do szarży brzmiał inaczej, bardziej soczyście, po żołniersku: „Naprzód, psiakrew, cesarz patrzy"! Co potem nastąpiło podają różnie.

Gdy szef sztabu głównego marszałek Berthier zrobił uwagę, że zdobycie wąwozu wogóle jest niemożliwe dla jazdy, — cesarz miał mu przerwać niecierpliwie „Laissez faire aux Polonais!"

Gen. Montbrun miał sformować szwadron i poprowadzić go naprzód gościńcem, po czym wszedłszy pod obstrzał baterii hiszpańskiej, zatrzymał kolumnę obok drogi, donosząc cesarzowi, że szarża w tych warunkach jest niemożliwa. Z irytacją Napoleon miał uderzyć ręką po łęku siodła i żywo zawołać: „Niemożliwe? Tego słowa nie znam. Dla moich Polaków nie ma nic niemożliwego"! Poczym zwrócił się do swego marszałka dworu [17]) mjr. Sègura z rozkazem. „Idź pan rozkaż moim Polakom atakować! Niech wezmą wszystko, niech mi przyprowadzą jeńców". Mjr. Sègur poniósł tą odpowiedź do gen. Montbrun, przedarł się przez oddziały piechoty, zapełniające szosę, dopadł i zakomunikował ponowny rozkaz Kozietulskiemu. Wywołało to zdziwienie gen. Montbrun, stojącego przy szwadronie i ponowienie uwagi, że szarża jest niemożliwa. Wskazywano Sègurowi drogę zamierzonego ataku, na której stały znane nam baterie dział, a po obu ich stronach 20 batalionów (!) piechoty hiszpańskiej, ostrzeliwujących koncentrycznym ogniem gościniec. Na czoło szwadronu wysunąć się miał dopiero teraz Kozietulski. Rycerski Sègur przyłączył się na ochotnika do szarży. A może poprostu koń go poniósł i dzięki temu urósł mimo woli na czołowego francuskiego bohatera szarży.

Inne relacje mówią, że cesarzowi doniesiono o odparciu szarży; że napotkano trudności nie do pokonania dla czołowego ataku jazdy i pozostaje jedyna możliwość — ruch oskrzydlający piechoty. Przy tym dodawano, że Napoleon, znalazłszy się osobiście w niekorzystnym położeniu pod gradem kul, nie chciał w oczach wojska odjeżdżać z niczym. A więc rzecz cała sprowadzałaby się do kwestii podrażnionej dumy osobistej cesarza. Na uwagę dowódcy gwardii gen. Vatier, że nie należy się gorączkować, lecz czekać, aż piechota obejdzie skrzydła nieprzyjaciela, a wtedy atak frontalny jazdy zakończy sprawę, — Napoleon w silnym gniewie miał krzyknąć: „Niemożliwy! Jakto? Moja gwardia wstrzymana zostanie przez chłopów, przez bandę uzbrojoną"? Któryś z generałów rzucił uwagę: „Trzeba być pijanym, by taki rozkaz wydać i trzeba być pijanym, by taki rozkaz wykonać". Napoleon nie zareagował doraźnie na tak mało uprzejmą uwagę, lecz gdy szarża się powiodła, miał rzec niefortunnemu komentatorowi: „Chciałbym, by wszyscy moi żołnierze byli tak pijani, jak ci

[17]) Maréchal des logis palais, furier cesarski

Polacy"! I słowa „ivre comme un Polonais"! stało się przysłowiem francuskim na ten raz pozbawionym wszelkich cech obraźliwych. Te wszystkie mało prawdopodobne rozmówki dowodzą tylko jednego, że rozkaz szarży wywołał w sztabie cesarskim zainteresowanie i żywo był komentowany. Natomiast wydaje się mało prawdopodobne parokrotne ponawianie rozkazu przez cesarza: — na to jego autorytet był zbyt wielki, a na całe te korowody nie było poprostu czasu. Zgódźmy się, więc, że Sègur poniósł rozkaz, i rozkaz został wykonany. Szwadron szedł do szarży, a z chwilą, gdy ruszył, — nie było już dla niego odwrotu ni wahania.

Każde zatrzymanie równało się natychmiastowej zagładzie szwadronu. Jeśli wierzyć zapewnieniom Chłopickiego batalion hiszpański z pierwszego rzutu odczekał i powitał pędzących jeźdźców skutecznym ogniem na bliską odległość, bo zaledwie 30 kroków. Część żołnierzy padła pod kulami Hiszpanów, strzelających spokojnie i celnie w głęboką kolumnę marszową jazdy. Według gen. Kukiela pod tym ogniem szwadron się zachwiał, lecz przytomność umysłu oficerów uspokoiła żołnierzy i szwadron w niepowstrzymanym pędzie z fantazją gnał naprzód. Ową chwilę wahania widziałbym raczej po zdobyciu I baterii. Padł trzykrotnie ugodzony mjr. Sègur. Padł Kozietulski [18]) przygnieciony przez zabitego konia z czapką i płaszczem podziurawionym przez kule. Legł por. Rudowski. Ale kpt. Dziewanowski porwał dalej szwadron okrzykiem „En avant, en avant, vive l'Empereur"! Jak wicher przelecieli przez I-szą baterię, pozostawiając działa poprzewracane, wyciętych lub stratowanych kanonierów. Ani padający dowódca ani jęki rannych i tratowanych nie mogły ich powstrzymać. Jeźdźcy przestali panować nad rozhukanymi końmi.

Teraz II-ga bateria zionęła im w oczy śmiercią. Pędzili dalej bezładnie już, bez komendy, z niejasną świadomością, że chwila jedna wahania równa się całkowitej zagładzie. Padł por. Krzyżanowski; legł por. Rowicki; bohaterski kpt. Dziewanowski padł z nogą zdruzgotaną i urwanym ramieniem. Ale bateria została zdobyta.

Z eklererów ocalał jedynie brygadier Piotr Wasilewski, który pomyślnie przebył wszystkie 4 baterie, a tylko jego koń był draśnięty odłamkiem granatu w chrapy.

Roman Wiktor, podówczas wachmistrz I-go plutonu, zastąpił w komendzie por. Rowickiego. Choć sam ranny od kuli porwał ocalałych towarzyszy do nowego wysiłku. Gdy wpadł na III-cią baterię, został ranny powtórnie [19]). Przez chwilę przy szwadronie nie było ani jednego oficera.

W tym właśnie momencie nadbiegł por. Niegolewski z opóźnionymi żołnierzami. Zobaczywszy ledwie kilku jeźdźców, Niegolewski zapytał: „Gdzie nasi"? Wachmistrz Sokołowski odparł krótko „Zginęli"! Spostrzegłszy przed sobą IV-tą baterię, Niegolewski porwał garstkę swoich do nowego wysiłku. Na zdobytej baterii pokryła zwycięzców fala piechoty hispańskiej. Już tylko

---

[18]) Według gen. Puzyrewskiego — Kozietulski, straciwszy konia, zwalił się pod kopyta pędzącego szwadronu, lecz mimo to zdołał wskoczyć na innego konia pozbawionego jeźdźca i wiódł szarżę dalej.

[19]) Dn. 10-go marca 1809 roku został porucznikiem, a w stanie służby zanotowano: „Il commanda le 1-er peleton de l'escadron, qui chargea Sommo Sierra et donna l'exemple de cette temerité et bravour qui lui merita mon estime". Dwiema ciężkimi ranami opłacił szarżę oficerską i te kilka słów pochwały.

kilku szwoleżerów z wachmistrzami Romanem i Tedwenem walczyło rozpaczliwie. Również ci żołnierze, którzy, utraciwszy konie, byli rozrzuceni po wąwozie starali się skupić przy bateriach, broniąc się szablami, usiłując w możliwie przewlekłej walce jak najdrożej sprzedać życie. Sokołowski zginął.

Hiszpanie nieopodal punktu, gdzie załamała się szarża 3-go szwadronu, widząc znikomą ilość jeźdźców, którzy dopadli do głównej pozycji, poczęli się uspakajać i pozwolili sobie na gwałty wobec rannych Polaków.

Niegolewski dopadł do IV-ej baterii zupełnie zdrów; zgubił tylko czapkę.

Już przy działach przywalił go zabity koń. Opadli go wtedy żołnierze hiszpańscy: dwóch strzeliło doń à bout portant, raniąc dwukrotnie w głowę; zadali 9 ran bagnetem w kark; spłoszył ich tentent nadlatującego plutonu szaserów gwardii, za którym biegł 1 szwadron lekkokonnych pod szefem Tomaszem Łubieńskim, wysłanym przez plk. Krasińskiego na rozkaz Napoleona. Szwadron ten, wzmocniony plutonem lekkokonnych por. Rostworowskiego i wyżej wspomnianym plutonem szaserów, wpadł czwórkami w wąwóz i przebył go niemalże bez strat. Hiszpanie przerażeni nagłością ataku, jego szalonym pędem i furią, ukazaniem się w pobliżu piechoty francuskiej, stracili wiarę w obronność pozycji i stopniowo poczęli ją opuszczać. Odwrót powoli zmienił się w paniczną ucieczkę.

Napoleon bacznie śledził rozwój wypadków i posłał ginącemu szwadronowi na pomoc te oddziały, które miał najbliżej pod ręką: strzelców konnych gwardii, a potem resztę pułku szwoleżerów ze szwadronem Łubieńskiego na czele. Jednocześnie marszałek Victor książe Bellune wiódł pieszo bez wystrzału pułki swe na wzgórza dominujące nad wąwozem.

Jak tylko woltyżerowie francuscy, wdarli się na skały, poczęli razić z broni ręcznej Hiszpanów.

Potem w głąb wąwozu ruszyła reszta kawalerii gwardii, a za nią z muzyką i bębnami piechota. Przy niej był Napoleon, Umierający, ranni i skupiający się przy bateriach pozbawieni koni szwoleżerowie witali go zwykłym okrzykiem „Vive l'Empereur"! Szwoleżer Izabelewicz ranny czerepem granatu w brzuch siedział na ziemi i prawie konając z najzimniejszą krwią wysnuwał z siebie wnętrzności. Trupy zabitych długo leżały na skrwawionym śniegu, nim je pochowano. Cesarz polecił pogrzebać szwoleżerów w pełnych mundurach po dwóch w jednej trumnie tam, gdzie polegli w wąwozie. Jazda rzuciła się w pościg za Hiszpanami, nie dając pardonu, oburzona okrucieństwami żołnierzy hiszpańskich, popełnionymi wobec rannych. Jazda ta opanowała pod wieczór miasto Buitrago, stanowiące silną pozycję. Ścigającej jeździe jako oparcie wysłano batalion piechoty francuskiej, lecz ta nie nadążyła za kawalerią. Wobec kompletnego rozprzężenia wśród Hiszpanów jeden żołnierz brał do niewoli po dziesięciu powstańców, którzy dobrowolnie oddawali wszystko, co mieli przy sobie. Między jeńcami było wielu pułkowników i wszyscy majorowie hiszpańskiej dywizji.

Wziąwszy 60 koni, Łubieński ruszył dalej poza Buitrago. Rekonesans ten sięgnął na odległość 10 mil od pola bitwy. Po drodze zagarniali znów licznych jeńców, lecz puszczali ich wolno, nie mogąc przydzielić im eskorty. Tak doszli do Guadalaxara. Tam dopiero zorganizowana hiszpańska straż przednia przywitała ich ogniem. Łubieński stracił tylko dwa konie. Zawrócił ku Buitrago,

a por. Szeptyckiego wysłał z prośbą o dalsze rozkazy i z raportem do płk. Krasińskiego, wiedząc, że raportu takiego cesarz oczekuje. Szeptycki spotkał Napoleona w wąwozie jadącego stępa. Poprzedzający go o kilkadziesiąt gen. Savary i gen. Dunosnel uprzedzili Szeptyckiego o wielkim zadowoleniu Cesarza. Wielokrotnie też usłyszał z usta Napoleona: „Vous êtes des braves polonais"! i że są godni być jego gwardią, nim otrzymał rozkaz, że szwadron ma czekać całej gwardii, a zdobytą kasę mogą rozdzielić między wszystkich szwoleżerów.

Niezależnie od tego rozkaz zatrzymania się w Buitrago Łubieński otrzymał przez szefa szwadronu Ordener. Do Buitrago przeniosła się też główna kwatera.

W czasie pościgu szwoleżerowie o jakie ½ mili za Somo-Sierrą widzieli kilkunastu jeńców francuskich częściowo porąbanych przez żołnierzy hiszpańskich z rezerwy. Aktów rewanżu w stosunku do jeńców hiszpańskich nie zanotowano. Pod Buitrago zabrano furgon zaprzężony w 6 mułów. Że siedziała na nim kobieta, myślano, że to kantyniarka (markietanka obozowa). Za zgodą oficera żołnierz podjechał, (prawdopodobnie był to szwoleżer Jeszołkowski) by się napić wina. Wyjaśniło się, że zamiast wina wóz wiezie kasę pełną złota. Żołnierz spokojnie wrócił do szeregu. Prób rabunku nie było. Dopiero, gdy dotarł do szwoleżerów rozkaz Napoleona, oficerowie dokonali podziału; wielu z oficerów zrzekło się przy tem swej części na rzecz szeregowych. Złoto i srebro dzielono garściami.

Hiszpańskie zdezorganizowane oddziały odpłynęły w głównej swej masie dwiema drogami ku Buitrago i ku Segovii. Droga do Madrytu dla wojsk francuskich stanęła otworem.

W ciągu 7—8 minut została rozstrzygnięta akcja; 2.500 m. przebytych szaloną szarżą. Zdobytych 16 dział. Zwycięstwo było okupione zgonem 4 oficerów i 14 szeregowych; 2 oficerów i 26 szeregowych było ciężko rannych; lżej ranni, kontuzjowani lub pozbawieni koni byli prawie wszyscy. Dla szwadronu była to strata olbrzymia, ale nikła, gdy idzie o armię jako całość, o cele przez te armie osiągnięte, o doniosłość czynu bezpośrednią wojskową i tę jego doniosłość moralną, która trwać będzie wieki [20]). Biuletyn wyliczył tylko 8 szwoleżerów zabitych na armatach i 16 rannych; w tej liczbie Dziewanowski i Sègur.

Liczby te możnaby nieco podnieść — łącznie 57 zabitych i ciężko rannych, co wynosiłoby 45,6% stanu liczebnego szwadronu.

Kpt. Dziewanowski zmarł z ran (ręka urwana po łokieć, a noga po kolano) w dn. 4-go grudnia w Madrycie; Krzyżanowski, Rowicki i Rudowski zostali na placu; Kpt. Piotr Krasiński śmiertelnie ranny miał 2 żebra złamane przez kartacz, pozatym był kontuzjowany. Tylko 13 szwoleżerów wyszło z tego piekła całkowicie bez szwanku, czyli 89,6% stanu bojowego szwadronu mniej lub więcej ucierpiało.

Jako łup podano 16 dział, 10 sztandarów, 13 jaszczyków, 200 wozów z bagażami, kasy pułkowe. Sami szwoleżerowie wzięli 6 sztandarów.

Grupa 3 szwoleżerów zagarnęła do niewoli 2 generałów i kilku oficerów i sztabsoficerów hiszpańskich. Gnali szwoleżerowie w pościgu opętanych 8 mil aż do wsi Andilla, gdzie stanęli przed północą. Tam mieli otrzymać rozkaz

---

[20]) Według gen. M. Kukiela „Historia Wojen i Wojskowości".

o zaliczeniu ich do starej gwardii. Prawie przez nikogo nie poprzedzony Napoleon wjechał do wąwozu. Towarzyszyli mu marszałek Bessières, książe Istrii, i gen. Montbrun oraz świta. Cesarz powtarzał co chwilę sztabowcom: „Sont-ils braves ces Polonais"! A sztabowi oficerowie chełpili się później, że brali udział w szarży. Narazie wymykali się do szwoleżerów, pozostawiając zlecenie tej treści: „Jeśli się marszałek o mnie pytać będzie, powiedz mu, że jestem z Polakami". Żołnierzy francuskich opanowało ogólne uniesienie, a oficerowie, będący konno, towarzyszyli szwoleżerom i nie mogli się wprost nacieszyć ich towarzystwem. Wynik miał przejść oczekiwania nawet Napoleona twierdzono, ale takie zdanie wydaje się już nieco przesadnym.

Pierwszy marszałek Bessières ujrzał leżącego Niegolewskiego, którego szwoleżerowie zdążyli już wyciągnąć z pod przygniatającego go ciała końskiego. Marszałek rzucił rannemu słowa pocichy: „Młodzieńcze! Cesarz widział piękną szarżę szwoleżerów — potrafił ocenić wasze męstwo". — „Ja umieram — odrzekł Niegolewski, — oto armaty, które zdobyłem; proszę powiedzieć cesarzowi". Lecz cesarz przybył sam i z rąk jego najmłodszy podporucznik w pułku i solenizant w tym dniu Andrzej Niegolewski wziął chlubną odznakę Legii Honorowej. Nie tylko, że nie umarł, lecz przeżył wszystkich swoich towarzyszy broni, a w rodzinnym swym Niegolewie wzniósł pomnik ku czci poległych pod Somo-Sierrą i stał się szermierzem o dobrą ich sławę. Cesarz rzucił garści zebranych szwoleżerów 3-go szwadronu przy IV-tej baterii słowa: „Jesteście godni mojej starej gwardii. Uznaję was za najdzielniejszą jazdę" [21]).

Gdy nadeszli grenadierzy starej gwardii i szaserzy gwardii, którzy zazwyczaj tylko ze sobą żyli, stroniąc od innych oddziałów, a lekceważąc młodszą, obcą narodowo gwardię szwoleżerów, teraz otoczyli ich uczuciem serdecznego braterstwa. Wpadli do biwaku lekkokonnych, ściskali ich z rozrzewnieniem i nazywali ich odtąd kamratami. Widząc jeźdźców polskich zmordowanych, sami wieczerzę dla nich ugotowali. Oficerowie zaś tych pułków podkreślali w rozmowach, że odtąd szwoleżerowie nie mają powodu nikomu sławy zazdrościć, gdyż dość własnej nabyli. Nazajutrz dnia 1-go grudnia, gdy pułk szwoleżerów maszerował koło biwaków piechoty z korpusu marszałka Victora, żołnierze z własnej inicjatywy bez rozkazu stanęli pod bronią wołając: „Vive les braves"! W tejże chwili ukazał się Napoleon i polecił pułkownikowi Krasińskiemu sformować pułk w szyku bojowym i dobytymi pałaszami. Gdy otrąbiono baczność, — Cesarz zdjął kapelusz przed frontem pułku i zawołał: „Honneur aux braves des braves"! Potem przy dźwiękach muzyki kazał przedefilować pułkowi przed sobą. Rewii tej asystowała cała gwardia cesarska Kozietulskiego cesarz miał rzekomo ucałować przed frontem. W kilka dni później tym samym szlakiem z Burgos do Madrytu przeszła przez Somo-Sierrę dywizja piechoty Księstwa Warszawskiego, złożona z 4-go, 7-go i 9 p. p. Wąwóz został obsadzony przez batalion 4 p. p., by go Hiszpanie ponownie nie zajęli i nie utrudniali marszu nadchodzącym z Francji oddziałom.

W dn. 1-go grudnia główna kwatera cesarza została przeniesiona do Saint Augustin. Że Napoleon pragnął wejść do Madrytu w dn. 2-go grudnia jako w rocznicę swej koronacji i bitwy pod Austerlitz, przeto jazda marszałka

---

[21]) „Je vous reconnais pour la plus brave cavalerie"

Bessières gnała szybko naprzód, by, wykorzystując panikę w szeregach hiszpańskich, jaknajbardziej zbliżyć się do stolicy. W dn. 2-go grudnia jazda księcia Istrii zajęła wyżyny panujące nad Madrytem. Lekkokonni, połączeni w jedną kolumnę z 2 pułkami dragonów, wzięli udział w marszu na Madryt; niebawem otoczyli go placówkami, złożonymi z 2 żołnierzy każda.

Tegoż dnia Napoleon podyktował słowa biuletynu urzędowego nr 13 donoszącego o przebiegu działań bojowych: m. in. zawierał on zwrot: „ce regiment s'est couvert de gloire et a montré, qu'il ètait digne de faire partie de la Garde Imperiale" [22]).

Szwoleżerowie z rozpuszczonymi sztandarami wystąpili w rozwiniętym szyku, czekając na przybycie cesarza. Ten nadjechał i stanął na prawym ich skrzydle. Napoleon zdawał się oczekiwać na deputację mieszkańców Madrytu. Szykował się, by miasto wziąść potrosze siłą, potrosze namową i groźbą szturmu. Zresztą w Madrycie panowało zamieszanie i bronić się długo nie mógł. Na wieść o wzięciu Somo Sierry opuściła Hiszpanów dotychczasowa pewność siebie, a junta centralna uciekła z Aranjuez do Budajoz. Słynny z małego wzrostu szwoleżer Wilczek [23]) przed jedną z bram Madrytu z pomocą kilku żandarmów zdobył tego dnia armatę i, pozostawiwszy żandarmów na straży, pojechał szukać koni, by działo uprowadzić. Natknąwszy się na Napoleona, z miejsca dostał od niego Legię Honorową. Filip de Ségur w nagrodę za udział szarży

---

[22]) „Gazette Nationale ou le Moniteur Universal" lundi 12 decembre 1808 Nr 347: „13-me Bulletin de l'Armee d'Espagne

Saint Martin, près Madrit, le 2 decembre 1808.

Le 29, le quartier — general de l'Empereur a eté porté au village de Bocequillas. Le 30, à la pointe du jour, le duc de Bellune s'est prezenté au pied du Somo Sierra. Une division de 13.000 hommes de l'armée espagnole defendait le passage de cette montagne. L'ennemi se croyait inexpugnable dans cette position. Il avait retranché de col, que les Espagnols appelent Puerto, et y avait placé 16 pièces de canons. Le 9-e d'infanterie legère couronna la droite. Le 96-e marcha sur la chaussée, et le 24-e suivit a mi — côte les hauteurs de gauche. Le général Senarmont, avec 6 pièces d'artillerie, avanca par la chaussée.

La fussillade et la canonnade s'engagèrent. Une charge, que fit le général Montbrun, à la tête des cheveau — legers polonais, decida l'affaire; charge brillante s'il en fut, où ce regiment s'est couvert de gloire et à montré, qu'il etait digne de faire partie de la garde imperiale. Canons, drapeaux, fusils, soldats, tout fut enlevé, coupé ou pris. Huit cheveau — legers polonais ont été tués sur les pièces et 16 ont été blessés. Parmi ces derniers le capitaine Dziewanowski a été si grièvement blessé, qu'il est presque sans esperance. Le major Segur, maréchal des-logis de la maison de l'Empereur, chargeant parmi les Polonais, a vecu plusieurs blessures, dont une assez grave. Les 16 pièces de canons, dix drapeaux, une trentaine de caissons, deux cents chariots de toute espèce de bagages, les caisses des regiments, sont les fruits de cette brillante affaire. Parmi les prisonniers, qui sont très nombreux se trouvent tous colonels et les lieutenants-colonles des corps de la divisione espagnole.

Tous les soldats auraient été pris, s'ils n'avaient pas jeté leurs armes et ne s'étaient pas eparpillés dans les montagnes.

Le 1-er decembre, le quartier — général de l'Empereur était à Saint Augustin et le 2, duc d'Istrie avec la cavalerie est venu couronner les hauteurs de Madrit. L'infanterie ne pourra arriver, que le 3. Les renseignements, que l'on a pris jusqu'a cette heure, portent à penser, que la ville est livrée à toute espèce de desordre, et que les portes sont barricadées. Le temps est très beau".

[23]) Znany z tego, że będąc już kapitanem, zastrzelił się, gdy został znieważony przez W. Księcia Konstantego. Szeptycki W — „Wspomnienia Narodowe". III str. 213—216, Kerchnave H. „Attacke von Somo Sierra".

awansowany a nadto został wyznaczony do odwiezienia Ciału Prawodawczemu w Paryżu sztandarów zdobytych w bitwach pod Burgos i Somo Sierrą. Wincenty Szeptycki również dostał Legię Honorową. Kozietulski został kawalerem Legii Honorowej. W 3 lata później dekretem z St. Clou z dn. 26-go kwietnia 1811 roku został obdarzony tytułem barona Cesarstwa, a do rodowego herbu Habdank cesarz dodał mu basztę kastylską, miecz i sztandar. Wreszcie dekretem z dn. 3-go maja 1812 roku obdarzył dowódcę szarży pod Somo Sierrą majątkiem w departamencie Wezery, dającym 2.000 franków 11 centimów dochodu rocznego.

Rannym szwoleżerom umieszczonym w szpitalu polowym w klasztorze St. Marie d'Attocha przesłał Cesarz przez Duroca pieniądze — oficerom po 10, a szeregowym po 3 napoleony. Doczekał się pułk lekkokonnych momentu poddania i pacyfikacji Madrytu, poczym został skierowany wraz z grupą marsza ka Bessières przeciwko Castaniosowi, o którego ruchu zaczepnym na czele sił sięgających 60.000 ludzi kursowała uporczywa acz nieuzasadniona plotka, względnie przeciwko gen. Pennes. Z Madrytu wyszły w tymże celu dywizje gen. Ruffin i gen. Villatte, poprzedzane przez lekką jazdę gen. Lasalle i dragonów gen. Lahoussay'a. Lasalle popędził w stronę Aranjuez i Toledo; dragoni wpadli do Eskurialu. Lecz armia estramadurska i tak już była rozbita i faktycznie niezdolna do akcji od chwili rozpoczęcia odwrotu; teraz pod pałaszami dragonów popadła w ostateczny nieład; rozłożyła się na szereg band pozbawionych wszelkich więzów subordynacji. Nieszczęsny Don Juan, Benito, który niemalże ostatni i do tego ranny zszedł z pozycji pod Somo Sierra, padł teraz ofiarą swych własnych żołnierzy. W Segowii połączył on z uciekinierami z pod Somo Serry oddział, który wycofał się z Sepulveda, oraz szczątki wojsk ocalałych z pod Burgos. Oddziały te zbliżyły się ku Madrytowi traktem z Segowii do Eskurialu, lecz dowiedziawszy się o poddaniu stolicy, zawróciły w stronę Toledo. Połączyła się z nimi część załogi Madrytu, która opuściła miasto pod wodzą margrabiego Castellar przed samą kapitulacją. Cofała się teraz cała ta zgraja wśród rabunków i morderstw. dokonywanych na spokojnej ludności, zdradzając wszelkie objawy pełnego rozkładu. Oficerowie bezskutecznie starali się wtłoczyć żołnierzy w ramy jakiej takiej dyscypliny. W Telawera Don Juan Benito opadnięty w swej własnej kwaterze przez żołnierzy, wywleczony na drogę został powieszony na drzewie. Wiszące ciało przez kilka godzin było celem, do którego strzelali dla zabawki jego dawni podkomendni

Szwoleżerów rzucono w kierunku miasta Alcala de Honorez. Pod wieczór pluton, wysłany naprzód, wszedł do tego miasta. Mieszkańcy wzięli lekkokonnych za awangardę Castaniosa, więc przybyszów przyjęli dobrze. Gdy się wszakże zorientowano w pomyłce, tłum rzucił się na Polaków we wcale nie dwuznacznym celu. Patrol wycofał się wszakże szczęśliwie, tracąc tylko jednego żołnierza Suryna. Dragoni, przybyli Polakom z pomocą, uderzyli bagnetem, lecz miasto uspokoiło się również nagle, jak nagle dokonało ataku [24]).

Dotarli potem szwoleżerowie do miasta Guadalaxara (Guadalachara), skręcili ku Sacedon i Tarencen do Aranjuez (Aranchuez). Pod Santa Cruz stoczyli znów potyczkę i to wcale znaczną z piechotą hiszpańską. Ranny został wtedy od bagnetu por. Hermolaus Jordan. Odpocząwszy kilka dni w tej miejscowości,

---

[24]) Biuletyn Ne. 14.

szwoleżerowie ściągnięci zostali spowrotem ku Madrytowi i rozlokowani w dwóch wsiach podmiejskich Corabandel de Aviva i Corabandel de Avajo. Operacja wojenna, której celem był Madryt, została zakończona. Głównym jej akcentem z punktu widzenia działania pułku lekkokonnych była szarża pod Somo Sierrą.

Rozpatrując przebieg tej bitwy, mającej na celu wywalczenie przejścia przez góry Guaderrama, dochodzi się do wniosków następujących:

1. Ogólna sytuacja Francuzów w chwili rozpoczęcia bitwy była dobra pod względem ilościowej i jakościowej przewagi sił, kierowanych przez wodza, o ustalonej całkiem zasłużenie reputacji, tudzież pod względem koncentracji wojsk, szeregu odniesionych korzyści, zakończonych ciosem ostatecznym i decydującym. Gdyby nawet Napoleon poniósł lokalną porażkę taktyczną pod Somo Sierrą, to inne jego korpusy, działające na skrzydła i tyły nieprzyjaciela, osiągnęłyby i tak decydujące korzyści strategiczne i zajęłyby stolicę jakkolwiek ze stratą czasu i to prawdopodobnie wcale znaczną oraz dużymi ofiarami w ludziach i materiale wojennym.
2. Mimo powyższego Hiszpanie zdecydowani byli bronić Madrytu i zajęli pozycję na ostatniej silnej przeszkodzie naturalnej, jaka stała na linii działań Napoleona. Do tego popychało ich wspomnienie niedawnych jeszcze sukcesów nad Francuzami, uczucia patriotyczne, nienawiść do wroga, objawiająca się często w skrajnym okrucieństwie. W tym celu skoncentrowali wszystkie rozporządzalne siły, zajęli wyborną pozycję obronną i oddali dowództwo jednemu z najlepszych swych generałów. Powszechna ufność w zwycięstwo na tym odcinku była tak wielka, że junta centralna z Aranjuez nie myślało o opuszczeniu miejsca swego pobytu.
3. Pozycja była wyborna w znaczeniu odpornym, a o innym sposobie walki wobec stosunku sił niemożna było myśleć. Dostęp do pozycji był utrudniony nie tylko od czoła, lecz i od flanki dzięki temu, że, wykorzystując zbocza górskie, można było urządzić szereg linij ognia tarasami z różnych wysokości zbocza górskiego. Pozycja miała wszelkie dogodności w koncentrowanej i łatwej komendzie i pozwalała na dośrodkowe ostrzeliwanie drogi, którą nieprzyjaciel postępował. Niekorzystnym dla obrońcy był fakt, że gościniec tworzył kilka załomów, co nie dozwalało Hiszpanom użyć odrazu wszystkich sił i nieustannym skutecznym ogniem powstrzymywać ewentualny atak jazdy.
4. Hiszpanie cały czas na głównej pozycji zachowywali się dzielnie, utrzymywali porządny i spokojny ogień. Gdy 3-ci szwadron lekkokonnych wpadł już na główną pozycję, dopiero wtedy zachwiali się i poczęli cofać. — Był to logiczny wynik nagłego, zuchwałego napadu, gdy atakujący gotów jest umrzeć lub zwyciężyć. Gdyby nawet Hiszpanie uparcie dalej trzymali się na pozycji i gdyby wymordowali resztę szwadronu Kozietulskiego, to trzeba pamiętać, że zaraz za nim pędziły inne oddziały jazdy, a piechota też szybko posuwała się naprzód. Słowem lekkokonni oszołomili nieprzyjaciela i zwrócili uwagę Hiszpanów na siebie, czym otworzyli drogę całej armii i przez to samo przyczynili się walnie do zwycięstwa.
5. Szarża pod Somo Sierrą świadczy o genialnym wykorzystaniu przez Napoleona czynników moralnych w bitwie. Liczył on na to, że Hiszpanie strzelcy

dobrzy i zawzięci w boju, ale nie dyscyplinowani, zorganizowani luźno, bronić się mogą wybornie zwykłemu przeciwnikowi, ale nagłość szarży zupełnie nieoczekiwanej może ich przerazić, obezwładnić i wywołać wśród nich panikę. Z drugiej strony wiedział, że może liczyć bez zastrzeżeń na gotowość bojową świetnej, ochotniczej jazdy polskiej, przenikniętej wybujałym uczuciem honoru, tymbardziej, że reprezentowała sama jedna tylko wojsko polskie wśród cudzoziemców i przed oczyma Wielkiego Wodza, w którym chciano widzieć wskrzesiciela Polski.

Zaznaczmy jeszcze, że barw narodowych i ich honoru bronili w obecności cesarza poraz pierwszy.

Oba te czynniki moralnej natury wyzyskane w pełni złożyły się na zwycięstwo [25]).

Wszystkie te czynniki sprawiły też, że jazda, która nie umiała parę miesięcy przedtym elementarnych zwrotów wojskowych, kompletnie nie ostrzelana stanęła odrazu w rzędzie pierwszych kawaleryj świata.

Rozkaz Napoleona wydany pod gradem kul i pod wpływem podniecenia wydaje się niewłaściwym i gorączkowym, a ci co dawali mu rady rozsądne czekania na rezultat flankowego ruchu piechoty, ognia działowego etc. mieli za sobą poważne racje. Wziąć jednak musimy pod uwagę, że Napoleon dokonał osobiście skrupulatnego przeglądu okolicy i pozycji nieprzyjaciela i śledził ściśle przebieg bitwy. Jego geniusz i doświadczenie, instynkt i wyczucie bitwy podsunęły mu najlepsze decyzje dla wykonania których wybrał najlepsze narzędzie, gotowe lec w oczach cesarza na pierwsze skinienie.

6. Pułk lekkokonnych miał skład wyjątkowy. Większość z domu wyniosła znajomość konia, obchodzenia się z nim i sztuką jazdy, żywiła gorące uczucia patriotyczne i płomienną nadzieję lepszego jutra dla Ojczyzny, dla przywrócenia niepodległości której rzuciła się bez wahania w wir obcych sobie całkowicie i w gruncie rzeczy obojętnych spraw. Nie martwili się nawet tym wewnętrznym zatargiem sumienia, który niezawodnie odczuwać mogli — ujarzmiania niepodległego dotąd narodu hiszpańskiego. Interes własnego kraju stał u nich na pierwszym planie ponad wszystkim innym i kazał im przelewać krew na polach Hiszpanii w imię nadziei rozbudzonych przez Napoleona.

Wszystko to spowodowało swoiste napięcie ducha wśród szeregów szwoleżerów. Otrzymali dobrego dowódcę jazdy, jakim niezawodnie był gen. Montbrun, jeden z najlepszych kawalerzystów swej epoki.

Tylko próżność narodowa włączyła w biuletyn Wielkiej Armii osobę gen. Montbrun jako uczestnika szarży.

Efekt moralny szarży był tak potężny, że trwoga paniczna rozbroiła Kastylię, otworzyła bramy Madrytu po błahym oporze wojskom Napoleona.

Dn. 3-go grudnia kolumny piechoty wdarły się do miasta, a dnia następnego Madryt kapitulował. Był to drobiazg w porównaniu ze współcześnie heroicznie prowadzoną obroną Saragossy. I jeszcze jedna mała uwaga: Podaliś-

---

[25]) Kukiel M. — „Dzieje Wojen i Wojskowosci" str. 217; Puzyrewski gen. — „Szarża jazdy pod Somo Sierra w Hiszpanii". Skałkowski A. M. „Odgłosy Somo Sierry" Kwartalnik Historyczny 1927.

my wyżej, że według gen. Kukiela szarża trwała 7 — 8 minut na przestrzeni 2.500 m. Autor ten obliczał szerokość szosy na 3 — 4 łokci. Jeśli miał na myśli łokcie warszawskie, to w takim razie 1 łokieć = 0,576 m., a szerokość gościńca wynosiłaby 1,728 lub 2,304 m. Byłaby to szerokość mała, by się na niej mieściły obok siebie 4 galopujące konie. Licząc zaś na przebiegnięcie 2.500 m. czas wyścigowy na torze płaskim 3 minuty, a na zdobycie jednej baterii po 1 minucie, — otrzymalibyśmy już 7 minut. Ale to nie były wyścigowe warunki, a w rachunku wogóle nie uwzględniliśmy, że szarża szła pod górę na przełęcz, podnoszącą się o 300 m., licząc od wylotu wąwozu. Nie! Szarża musiała trwać dłużej. Lecz brak nam na to jakichś innych danych bardziej prawdopodobnych. Sprawa zostaje otwarta. Możemy jeszcze tylko na zasadzie analizy mapy mieć wątpliwości, czy szarża przebiegła 3.000 m. czy 2.500?

Takie nasuwają się uwagi w związku z szarżą lekkokonnych pod Somo Sierrą — w ogólnym swym wyniku zgodne z obserwacjami najpewniejszego badacza w tym zakresie gen. Puzyrewskiego. Lecz utrzymamy w mocy i słowa Niegolewskiego:

„Le service auprès de l'Empereur, dont le génie savait si bien saisir toutes les occasions de s'attacher le soldat, nous crûmes pouvoir placer en lui toutes nos ésperances et ne doutâmes, pas, qu'il n'exaucat le plus ardent de nos voeux: l'affranchissement de notre patrie. Il est incontestable, que c'est cet espoir de tous les moments, non moins, que l'influence magique de la puissance de l'Empereur pendant l'action, qui nous fit accomplir ce fait d'arme inouï..... nous regardions Napoleon, comme le messager celeste, qui nous apportait la dèlivrance.... Ce nèst pas l'école francaise, c'est l'amour de la patrie, qui a fait un hèros de chaque Polonais" [26]).

[26]) Niegolewski A. — „Les Polonais a Somo-Sierra".

PRZEGLĄDY

O PLANOWEJ ORGANIZACJI NAZEWNICTWA MIEJSKIEGO

(Artykuł dyskusyjny)

WSTĘP

Zdawałoby się, że czasy nasze są epoką, w której powinien nastać kres bezplanowości w poczynaniach o charakterze publicznym, jak również epoką dążenia do upowszechnienia piękna i celowości. Że smutne skutki wojny, wyrażające się dla miast m. in. w zrujnowaniu ich większych, czy mniejszych połaci i w konieczności odbudowy, będą miały jedną jaśniejszą stronę: oto pozwolą rozplanować odbudowywane miasta jak najlepiej, najzdrowiej, najestetyczniej, ustalą jak najdogodniejsze i najbardziej celowe nazewnictwo ulic i ułatwienie orientacji. Tymczasem okazało się, że mogą szaleć wojny, wybuchać rewolucje, zmieniać się ustroje, ale straszliwe niechlujstwo i chaos nazewnictwa miejskiego zarówno w miastach tylko odbudowywanych, jak i w miastach odzyskanych, które mogły i musiały nazwać wszystkie ulice na nowo, trwa niezmiennie, niewzruszenie, a co gorsza wykazuje dążność do spotęgowania stanu z „dawnych, dobrych lat".

Obrzydzenie ogarnia każdego, kto weźmie do ręki spis ulic i plany większych czy mniejszych miast w Polsce. Cóż bowiem wyczytać można z planu miejskiego i nazw ulic? Nie tylko chaos i bezmyślność, lecz i coraz trudniejszą orientację dla cudzoziemców, dla przejezdnych turystów i nawet dla mieszkańców danych dużych miast oraz coraz większe ubóstwo strony artystycznej tych samych ośrodków życia i kultury miejskiej, które wiele godzin tracą na bezpłodne gadania o potrzebie podniesienia tejże kultury w danym grodzie, a nawet niekiedy ustalają nagrody artystyczne...

Szczegółowe omówienie wyliczonych braków pozwoli się zorientować dokładnie o co chodzi. Zatem:

1. Układ nazw obecnych placów i ulic miejskich.

Dawne miasta Polski średniowiecznej miały liczne braki ze względu na celowe zacieśnianie przestrzeni zabudowy, ale jedno trzeba im przyznać: zakładano je planowo. Wytyczano rynek i ulice i nazywano je w sposób zrozumiały: dlaczego tak, a nie inaczej się nazywają, co ułatwiało mieszkańcom i przybyszom orientację. A więc na ul. **Szewskiej** mieszkali przede wszystkim **szewcy**, na **Garbarskiej** — garbarze, **Świętojańska** oznaczała, że wiedzie do kościoła **św. Jana, Zamkowa** prowadziła na **zamek**, a **Grodzka** do **grodu; Podwale** szło **pod wałami**, a droga **Krakowska** wskazywała kierunek do **Krakowa.** Minęło średniowiecze, miasta poczęły wychodzić z ciasnych murów przeszłości, jęły powiększać swą powierzchnię. Ścieżka biegnąca w stronę podmiejskiego lasku stawała się uliczką Leśną lub Polną, powstawały nowe place i dzielnice. Stare dawne miasta stawały się częścią nowych. Na szewskiej mogło już nie być wcale szewców, a na Garbarskiej garbarzy, ale każdy jako tako oświecony obywatel wiedział, że takie nazwy jak Szewska czy Garbarska, Zamkowa czy Kanoniczna, tworzą tzw. **Stare Miasto.** Miał już pewną orientację. Gorzej było z nazwami takimi jak: Polna czy Leśna, gdy las i pole dawno zostały wyparte przez narastające wciąż miasto i zabudowane szeregami kamienic. To też poczęto zmieniać te nazwy. Budowano zaś coraz więcej, zwłaszcza w wieku XIX i XX. Nazywano zaś ulice zupełnie dowolnie. Mieszano stare nazwy z nowymi, nie grupowano nazw ulic w jakieś logicznie uzasadnione grupy. Stąd nazwy narodów, wybitnych osób, przymiotnikowe, rzeczownikowe, miejscowościowe (np. Francuska, Waszyngtona, Ogrodowa, Piekary, Kijowska) przemieszane dokładnie tworzyły chaos, w którym — jeżeli było to miasto duże, jak Warszawa — trudno było się zorientować nawet rodowitym mieszkańcom, zwłaszcza, że wciąż powstawały nowe ulice o podobnych nazwach, lub dokonywano przemianowań. O takich miastach, jak Paryż czy Londyn już nawet nie wspominam,

gdyż tam nawet dorożkarze, bez podania nazwy dzielnicy nie orientowaliby się w mniej znanych uliczkach, czy ulicach.

Ileż to razy w Warszawie przed drugą wojną światową konduktorzy tramwajów, lub policjanci nie umieli poinformować zapytującego o daną ulicę, o ile nie była to bardziej znana nazwa śródmieścia? I nic dziwnego. Ulica Krasińskiego była na Żoliborzu, a Krasickiego na Mokotowie: Kijowska była na Pradze, Poznańska w śródmieściu, Łowicka na Mokotowie, a Kaliska na Ochocie. W obecnym Wrocławiu ul. Prusa i Sienkiewicza są w jednej części miasta, Słowackiego i Krasińskiego w innej, między ul. Benedykta Polaka, a Marcina Polaka jest kilkanaście kilometrów. To samo z nazwami rzeczownikowymi, przymiotnikowymi, odmiejscowymi itd. Mało jest chyba wrocławian, po za specjalistami miejskimi, którzyby potrafili zorientować się dokładnie i określić bądź dzielnicę z nazwy poszukiwanej ulicy (o ile tam nie byli), bądź w ogóle: gdzie może być dana ulica, jeżeli nie mieli z nią do czynienia, lub jeżeli dana ulica nie należy do grupy bardziej znanych. I tak jest w innych miastach polskich.

2. Nazwy ulic o podobnym brzmieniu.

Wiele trudności dla przyjezdnych, wiele omyłek pocztowych i urzędowych powodowały przed wojną w Warszawie np. ulice Artura Górskiego na Żoliborzu i Wojciecha Górskiego w śródmieściu, bo przede wszystkim nie zawsze ludzie pamiętali o podawaniu imienia danego Górskiego, po drugie nie zawsze korzystający z danego sobie adresu zapisywał podane imię, po trzecie: najczęściej miejscowy informator znał tylko jedną z dwu ulic, w nawale zaś pracy łatwo myliła się poczta i urzędy. Łatwo było przypuścić, że w miastach ziem odzyskanych, gdzie można było ulice nazywać dowolnie, bez skrępowania już istniejącymi nazwami, takich błędów poełniać się nie będzie. Tymczasem do niedawna we Wrocławiu istniały ulice: Henryka Dąbrowskiego i Jarosława Dąbrowskiego, Maksymiliana Gierymskiego i Aleksandra Gierymskiego; Karłowicza i Karłowicka, Leszczyńskiego i Leszczyńska, Słowackiego i Słowacka, Szczecińska i Szczycieńska, Karola Szymanowskiego i Wacława Szymanowskiego, Wilczyńska i Wilczycka, Wojciecha z Brudzewa i św. Wojciecha, Powstańców Śląskich i Powstańców Warszawskich itd. A Warszawa i Wrocław nie są wyjątkami.

3. Dzielenie jednej ulicy na kilka odcinków o różnych nazwach.

Jest to szczególnie przykry zwyczaj, który dawniej mniej dawał się we znaki, lecz po wojnie niepokojąco wzmaga się na sile. A więc piękne Planty krakowskie oddawna nie potrzebnie posiekane na odcinki (niewielu spotkałem krakowian, poza mieszkającymi na tych odcinkach, którzyby potrafili odrazu powiedzieć, czy dana instytucja czy kamienica mieści się na tym, czy już na następnym odcinku Plantów). To samo piękna, szeroka Aleja Trzech Wieszczów, reprezentacyjny szlak Krakowa, podzielona jest między wieszczów „indywidualnie", co utrudnia orientację i adresowanie, a nie jest uzasadnione żadną koniecznością dzielenia. Ten sam niezdrowy objaw widać było i w Warszawie, gdy dzielono al. Jerozolimskie na odcinek 3-go Maja i Jerozolimskie, a obecnie dodano al. Sikorskiego. Czy naprawdę nie wystarczyłaby jedna nazwa, powodująca nie obciążanie pamięci i oszczędność co do przeróbek tabliczkowych, pieczątkowych, adresowych etc. Z niepokojem należy zanotować chorobę podziału ulic i we Wrocławiu. Oto ul. Norwida nazwano na pewnym odcinku ul. rektora Suchardy. Wydaje mi się, że obydwaj zasłużeni, tzn. i Norwid i Sucharda, jeżeli zostali uznani za godnych pamięci na tablicach ulicznych, to już zasłużyli **na całe ulice.** Zachodzi obawa, że po jakimś czasie będą dzielić ulice na jeszcze mniejsze odcinki, a wreszcie na kamienice. Wszystko to wygląda zupełnie niepoważnie. Pominąć już możemy koszt i kłopoty zmiany druczków meldunkowych ksiąg adresowych, listów, blankietów, tabliczek etc. Uważam, że w dobie oszczędności i celowości poczynań i wydatków powinna Komisja Specjalna pociągać do odpowiedzialności osoby, które uchwalają zmiany istniejących nazw ulicznych, nie licząc się z zamieszaniem i kosztami, jakie taka zmiana wprowadza.

4. Nazwy odimienne ulic.

Jeżeli ktoś sądzi, że nazywanie ulic imionami ludzi wielkich i zasłużonych należy uznać za zwyczaj chwalebny, to wolno mniemać, że ten ktoś nie bierze pod uwagę wielu czynników przemawiających przeciw temu. A więc:

a) I dawniej czczono zasłużonych, ale nie tandetnym sposobem łatwości umysłowej i cudzym kosztem. Bo cóż łatwiejszego w radzie miejskiej, jak głowiąc się nad sposobem uczczenia danego bohatera, czy pisarza (w daną rocznicę śmierci, zgonu, czy wobec zatriumfowania danego kierunku artystycznego czy politycznego, którego dany bohater czy pisarz był szermierzem) — odkryć Amerykę i oznajmić z podziwem dla własnego geniuszu: „Wiecie co, obywatele? Trzeba przemianować ku jego czci ulice!"

Efekt zapewniony, bo projekt nie wymaga kłopotu obmyślania, bo świadczy dobrze o wyczuciu aktualności u radnych, bo nie pociąga dużych kosztów własnych (a że tam ktoś będzie miał koszt i kłopoty, to przecież nie miasto!). Byłoby trudniej przecież wybudować pomnik dla poety, niż przemianować ulicę. A to, że na budowie pomnika zyskałoby miasto istotnie ozdobę trwałą i świadczącą naprawdę o pewnym kulcie zasłużonego pisarza, że zarobiłby dany rzeźbiarz, że w związku z rozpisanym konkursem na projekt ożywiłby się ruch artystyczny — o to przecież radnym nie chodzi. A jednak co lepsze robi wrażenie: czy przemianować Krakowskie Przedmieście na al. Mickiewicza, czy wystawić wieszczowi pomnik? Dawniej sądzono, że pomnik. Nasi radni uważają, że.... przemianowanie.

b) Niesłuszne jest nadawanie ulicom nazw od imion ludzi żyjących. Wiemy, że już nie jedno miasto miało kłopoty z przemianowywaniem placów i ulic, które poświęcano osobom miejscowych czy okręgowych dygnitarzy, a którzy potem okazywali się nieprzyjaciółmi nowej grupy rządzących i których nazwiska były nie odpowiednie. Dobrą zasadą byłoby nadawanie, o ile to jest konieczne, nazw odimiennych ulicom tylko w stosunku do osób, które nie żyją już conajmniej od lat stu dwudziestu (nie **stu**, bo wobec stulecia zgonu automatycznie nadawanoby nazwy ludzi i mniej zasłużonych). Kto bowiem występuje w pamięci potomnych i po setnej rocznicy, ten w istocie musiał wnieść godne pamięci tej zasługi do skarbca czynów narodowych, lub kultury narodowej.

c) Ileż niepotrzebnych uwag, nieraz kpiących, wysłuchuje mieszkaniec miasta, którego ulice nazwane są imionami ludzi mało znanych w całym kraju, a nie mających żadnych specjalnych powodów do występowania na tabliczkach właśnie tej miejscowości, w której nigdy nie byli, ani dla której niczego nie zdziałali. Imię Lenina w ZSRR, imię Napoleona we Francji, imię Kościuszki w Polsce, Waszyngtona w Ameryce jest napewno znane nawet każdemu dziecku danego kraju. To też plac czy ulica ich imienia napewno nie spotka się w danym kraju (a nieraz i w całej Europie) z zapytaniem: jakie zasługi kwalifikowały danego człowieka do zaszczytnego wyróżnienia? Również imię wybitnego, choć już nie tej, ogólnoświatowej, czy ogólnokrajowej miary, co wymienieni uprzednio, człowieka urodzonego w danej miejscowości, lub tworzącego swe najlepsze dzieła na danej ulicy upoważniają mieszkańców tej ściśle miejscowości do nazwania ulicy jego, choć skromnym, ale związanym z ich miastem, imieniem. Ale co ma np. nazwanie w jednej podwarszawskiej miejscowości dawnej ulicy Klonowej, czy Lipowej imieniem płk Lisa-Kuli? Którego obecnie mało kto pamięta, a już żadne młodsze dziecko nie zna i który dla tej miejscowości nie położył najmniejszej zasługi, ani nigdy w tej miejscowości nie przebywał?

5. Nazwy niewłaściwe.

Są to nazwy zbyt patetyczne, lub nawiązujące do wydarzeń, o których należy mówić jedynie z powagą i szacunkiem. Np. ul. Ofiar Oświęcimskich, albo plac Bohaterów Ghetta. Czy nie szlachetniej brzmiałoby: plac Ghetta warszawskiego, zakładając ogólną świadomość bohaterstwa walki tego ghetta, a nie rozładowując napięcia uczuciowego hałaśliwym pokdreślaniem wewnętrznej treści nazwy. Nic bardziej nie deprecjonuje bohaterstwa, jak ciągłe jego ogłaszanie, przez każdego konduktora tramwajowego, przez każdego pokrzykującego pijaka, przez każdą handlującą przekupkę. Niedźwiedzią usługę pamięci bohaterów Ghetta warszawskiego wyświadczyła uchwała MRN we Wrocławiu zmieniając nazwę placu Żydowskiego, na plac Bohaterów Ghetta. Rozładowała bowiem ładunek uczuciowy zawarty w tych słowach... Ofiarom oświęcimskim bardziej pasowałby krzyż pamiątkowy, lub tablica, lub pomnik, niż nazwa uliczna wygłaszana i odmieniana w różnych odmianach, nieraz dalekich od wszelkiego szacunku i skupienia. Czy nazwa „ul. Oświęcimska" nie byłaby wystarczająca?

6. Arterie wylotowe.

Nic bardziej drażniącego, dla automobilisty, jak trudność wyjazdu z miasta w pożądanym kierunku przez brak nazwy arterii wylotowej. Właściwie nie przez brak nazwy, bo arteria tę nazwę ma np. Pasteura, tylko że ta nazwa nie wskazuje kierunku w jakim arteria prowadzi. Dawniej droga Krakowska prowadziła do Krakowa, a brama Lubelska wskazywała kierunek wyjazdu. Dziś ul. Pasteura również dobrze może prowadzić do Francji, jak i do Białegostoku, lub Rzeszowa, a brama im. płk. Ygreka w stronę Gdańska, jak i Katowic. A jak to ułatwia orientację turystów zmotoryzowanych! Czy nie to samo zjawisko obserwujemy, że ul. Kolejowa wskazująca na kierunek do dworca, lub Pocztowa, Sądowa etc. ułatwiające orientację, — z zamiłowaniem są zmieniane na wręcz nic nie mówiące ul. odimienne, lub datowe, a więc: dr. Ygreka, 28 stycznia, jak gdyby tym dwu nazwom, może

całkowicie słusznym i uzasadnionym, nie można było poświęcić innych ulic, a nie koniecznie najbardziej orientacyjnych.

7. Brak umiaru i tożsamość nazw.

Wedle stawu grobla w nazewnictwie miejskim winno oznaczać, że byle zabłocona mieścina nie powinna mieć koniecznie takich samych nazw, jak stolica, czy miasta uniwersyteckie. Oczywiście, ma prawo, ale czy powinna? Tak samo Al. Róż, po której kozy tylko chodzą, a bruków jeszcze nie ma, tak samo Mickiewicza, Ibsena, Chrobrego, Chopina, Bagatela? Nazwy jednak nieco obowiązują i wcale nie był słuszny pomysł np. Milanówka, który imionami Szekspirów itp. ponazywał ulice i uliczki. Czy Milanówki koniecznie muszą mieć nazwy ludzi których niektórzy mieszkańcy nie umieją nawet wymówić, a nie tylko nie wiedzą kto to był i co zdziałał? Czy wreszcie wszystkie miejscowości muszą koniecznie umęczać na swych płotach pamięć kilku, czy kilkunastu wybitnych wodzów, poetów i uczonych? Żadnej rozmaitości, ani regionalnej oryginalności? Przed wojną brudne, zabłocone mieściny, z woniejącymi rynsztokami koniecznie musiały nazywać ulice imieniem marszałka i prezydenta, teraz czynią to samo, obdarzając swą uwagą zarówno krajowych, jak i zaprzyjaźnionych ludzi wybitnych. I nikt nie powie tym dobrym łykom i nie łykom miejskim, że dla owych zasłużonych i wybitnych ludzi może być jedynie poniżeniem, że ich głośnym i zasłużonym imieniem zdobi się brudne uliczki z płynącymi wonnościami ścieków, że napewno woleliby, aby owe miasteczka pozostały przy dawnych nazwach uliczek Polnych, Kozich, Pacanowskich, Ratuszowych, a ich imienia nie nadużywały nadaremno, a jeśli już koniecznie chcą, to niech zdobędą się na tablicę rytą w kamieniu i w ratuszu wmurowaną z wyobrażeniem danej postaci historycznej.

8. Numery jednostronne i brak nazw na każdej bramie.

W wielu miastach zachował się jeszcze zwyczaj, że niektóre ulice mają normalne oznaczanie numerami tzn. jedna strona parzyste, druga nieparzyste, a niektóre zachowują dawny zwyczaj kolejnych numerów, tzn. iż po pierwszym numerze, idzie drugi, trzeci, czwarty itd. po jednej stronie aż do końca ulicy, a potem drugą stroną od końca ulicy ku początkowi. Stąd na vis a vis np. 16 numeru widać 57, a bardzo trudno określić, jeżeli się nie zna danej ulicy, po której stronie może być numer 34, bo przecież domy nie stoją w idealnie równych odległościach. Następnie w wielu miastach nazwy ulic napisane są jedynie na rogach, a na domach istnieją jedynie numery. Wobec częstych przemianowań ulic ma to swoje zalety. Ale jeżeli ktoś znajdzie się daleko od rogu, w nocy, na danej ulicy i nie ma się kogo spytać o jej nazwę, to jednak należy przypuszczać, że system warszawski (nazwa ulicy wraz z numerem na każdej bramie) wyda mu się znacznie dogodniejszy.

9. Środki zaradcze.

Rozważywszy pokrótce osiem grzechów głównych nazewnictwa miejskiego sprobujemy zaproponować środki zaradcze. Zatem:

a) Chaos orientacyjny w dużych miastach usunąć może tylko jednorazowe, ale już zupełne i konsekwentne przegrupowanie nazw ulicznych. Jako zasadę wysunąć jednak należy, że **dzielnice dawne o tradycją ustalonych nazwach są nietykalne** i nazwy te podlegają ochronie. Stanowią bowiem, prócz innych względów, materiał **historyczny dla badaczy.** Coś, kiedyś działo się na pewnych ulicach, coś co stanowi materiał badawczy i wymaga ścisłego określenia. A jak określić, jeśli dana ulica czy plac, gdzie właśnie miały miejsca dane wydarzenia, w ciągu stu, dwustu lat uległy kilkakrotnej przemianie nazwy? Dlatego uważać należy za niewłaściwe przemianowywanie takie, jak al. Jerozolimskich na al. Sikorskiego, a al. Szucha na al. 1 Armii. Np. z nazwą al. Szucha związana jest martyrologia warszawska, groza gestapo, związane historyczne wspomnienia i wypadki i dlatego nazwa ta powinna była zostać, a 1 Armii należało dać al. 6 sierpnia, która zresztą jest ulicą większą. Gdyby zaszła mowa o uporządkowaniu chaosu nazw ulic warszawskich, to dzielnicą nietykalną winno być tzw. śródmieście: od Towarowej do Wisły i od Starego Miasta do Pl. Unii. Winny być przywrócone w tej dzielnicy dawne dziewiętnastowieczne nazwy ulic, z którymi łączy się historia, lub tradycja warszawska np. ul. Hortensja a nie W. Górskiego, Foksal, a nie Młodzieży Jugosłow. etc. Rzecz prosta, że ul. Berga nie może powrócić, więc winna zostać Traugutta, lub nazwa przedbergowa, pl. Saski (uświetniony „Kordianem" i historią) etc. Inne dzielnice Warszawy winny mieć ulice przemianowane i tworzyć pewne grupy, tak, by wymienienie nazwy odrazu wskazywało warszawiakowi, dokąd należy się kierować, aby pożądaną ulicę znaleźć. A więc po ustaleniu dzielnic Warszawy, jak Żoliborz, Mokotów Górny, Mokotów Dolny, Wola, Ochota etc. etc. ustalamy potrzebną ilość grup nazwowych np. **grupa astronomiczna** (ulice: Wielkiej Niedźwiedzicy, Oriona, Drogi Mlecznej, Zodiaku, Galaktyki, Gwiazdy Polar-

nej, Słoneczna, Księżycowa) **grupa wielkich ludzi** — (ulice: Mickiewicza, Chopina etc.), **narodów** — (Afgańska, Albańska, Belgijska, Białoruska, Czeska, Duńska etc.), **miast** — (Paryska, Kijowska, Toruńska etc.), **poetycka** — (Plac Zadumy, ul. Pierwszej Miłości, Cichy Kąt, Srebrnej Rzeki, Zaklętej Królewny, Krasnoludków, Kota w butach, Złotej Rybki, etc.), **roślinna** — (Kasztanowa, Jaworowa, Wierzbowa, al. Białych Brzóz, al. Palm etc.), **utworów** — (Pana Tadeusza, Trylogii, Quo Vadis, Wiatru od Morza, Nad Niemnem, Kordiana, Lilli Wenedy, Baliadyny etc.), **postaci literackich** — (Zagłoby, Kmicica, Panny Łęckiej, Starego subiekta, Wokulskiego Tarzana, Szerloka Holmesa, Hamleta, Judyma etc.), nadto, w miarę potrzeby, **grupy**: zwierzęca, materiałów, zawodów, kościelna etc. Arterie wylotowe miałyby nazwy niezależne od grup np. Bałtycka lub Północna, Poznańska, Śląska, Tatrzańska itp., lub Południowa, Wschodnia, Zachodnia itp. Na wzór Warszawy przemianowałyby swe nowe dzielnice większe miasta, a nowe przegrupowanie całkowicię uczynićby mogły miasta ziem odzyskanych, jak Wrocław, Szczecin i in., które powierzchnią większe są od Warszawy a nawet ich mieszkańcy nie orientują się w nazwach ciągle zmienianych ulic. Po takim przegrupowaniu jedno jest pewne: w krótkim czasie każdy umiałby powiedzieć w jakiej dzielnicy szukać należy danej ulicy i jakim tramwajem czy autobusem tam się udać.

b) Winny być usunięte nazwy podobne w jednym mieście, usunięte dzielenie ulic na odcinki różnie nazwane, winny być ograniczone do minimum nazwy odimienne (lub w ogóle zaniechane), winny być zmienione nazwy niewłaściwe. Arterie wylotowe miast winny być nazwane stosownie do swego stopnia: a więc stolica określa najdalszymi kierunkami, miasta wojewódzkie bądź innymi miastami wojewódzkimi, bądź określeniami geograficznymi, o ile w danej stronie inne miasto wojewódzkie nie leży.

c) winna być ustalona zasada, jakie nazwy ulic dostępne są dla wszelkiego rodzaju osiedli, jakie dla powiatowych, wojewódzkich, uniwersyteckich, stolicy.

d) Place o ile mają pomniki, winny mieć nazwę zharmonizowaną z treścią pomnika. (Np. na pl. Unii Lubelskiej w Warszawie stał pomnik Lotnika. Przecież lotnicy nic nie mieli wspólnego z tą unią. Więcej mówiłby pomnik Zygmunta Augusta).

e) Jasną jest rzeczą, że przemianowanie takie musiałoby być opracowane w najdrobniejszych szczegółach i nie mogłoby ulegać zmianom po wprowadzeniu. Mieliby w ustalaniu ulic piękne pole do popisu historycy, literaci (konkursy na najlepsze nazwy!), rzeźbiarze (praca przy pomnikach) etc. Byłaby to praca poważna i stanowiłaby swego rodzaju rewolucję. Ale czyż nie żyjemy w wieku przemian i rewolucji? I czy kto mógłby zaprzeczyć, że rewolucja w nazewnictwie miejskim wprowadziłaby **ład i jasność** w dziedzinę nie tkniętą od wieku XIII?

Stefan M. Kuczyński.

O ORGANIZACJI SŁOWIAŃSKICH BADAŃ HISTORYCZNO-PRAWNYCH

W nauce s ł o w i a ń s k i e j w szczególności p o l s k i e j, wysuwano niejednokrotnie postulaty opracowywania historii porównawczej praw słowiańskich. Prof. Balzer, prof. Hejnosz i piszący te słowa[1]) ujmowali potrzebę odpowiedniego programu odnośnych studiów planowych.

Mógłby się on przedstawiać — wg wymienionych postulatów — następująco: celem głównym jest dokładne poznanie i ustalenie najistotniejszych zasad pierwotnego prawa słowiańskiego, z prawieku, za prawspólnoty słowiańskiej; środkiem wiodącym do tego celu, jest studium historyczno-porównawcze prawodawstw słowiańskich indywidualnych, już z czasu ich zróżniczkowania; metodą zaś badawczą należy skonstruować jako komparatystyczną, a mianowicie opisowo-analityczną, prowadzącą do syntezy i właśnie ustaleń zasadniczych co do prawa pierwotnych Słowian.

[1]) Obok pracy kapitalnej prof. K a d l e c a „Nĕkolik kapitol" ... z r. 1894 i i., m. i. z lat 1896, 1901, 1906 i 1918 postawić należy uwagi prof. B a l z e r a: „Historya por. praw słowiańskich. Główne kierunki rozwoju nauki i jej istotne zadania". Studya nad hist. pr. pol. t. I., zesz. 5, Lwów 1900, a por. też prof. W. Hejnosza „Św. p. prof. O. Balzer jako historyk praw słow." „Ruch słowiański", Lwów 1933, nadto zaś dra. J. Pogonowskiego „W A. Maciejowski. Odb. z prac II Zjazdu Slawistów". Warszawa, 1934, i prof. Adama Vetulaniego „Stan. Kutrzeba jako historyk prawa słowiańskiego. „Życie Słowiańskie" W-wa, Kraków R. I. Nr 2 ex 1946.

Pod tym względem wskazania balzerowskie, powtórzone i rozszerzone przez prof. Hejnosza i piszącego te słowa na naszym terenie, a kadlecowskie w Czechach, kontynuowane tamże przez śp. prof. Rauschera i Saturnika, aktualne są do dziś; zaczyna natomiast zatrącać skandalem, iż postulaty odnośne, wyrażone na początku stulecia bieżącego, wciąż jeszcze mają charakter postulatów i wskazań, a nie przystąpiono dotąd w Słowiańszczyźnie do zaczęcia realizacji programu studiów planowych w tej dziedzinie, choć tak dawno już Oswald Balzer przestrzegał, iż byłoby zdrożnie, gdyby tego dokonali inni za nas i bez nas.

A więc, dążąc drogą badania porównawczego, należy poznać i ustalać, opisywać i analizować, by dotrzeć do syntezy, odtwarzającej stan pierwotny prawa quaestionis. Wytyczne zaś badania porównawczego odrazu wykażą, że na stronie filozoficzno-leksycznej (terminologicznej) należy położyć o wiele większy nacisk niż dotąd.

Mianowicie obok dawnego słownika wyrazów prawnych słowiańskich Jirečka „Prove" (1904) jest tylko jeden porządny słownik prawno-historyczny słowiański, za skromnie nazwany „przyczynkami do słownika prawno-historycznego", a mianowicie pomnikowa publikacja Vladim. Mažaranicia „Prinosi za hrvatski pravno-povjestni rječnik" (Zagrzeb, 1908 — 23). Otóż trzeba, by wszystkie narody słowiańskie z osobna miały swe słowniki do historii praw swych narodowych i opracowania ich dziejów, które z kolei można będzie zestawić porównawczo. Wtedy też będzie czas, zwłaszcza jeśli się należycie do tego momentu w nauce dziejów praw słowiańskich rozbuduje wydawnictwo źródeł historycznych narodowych praw słowiańskich — na niejako poprawną reedycję „Provego", czy nawet — materiałów W. A. Maciejowskiego i i. A dziś istnieje tendencja w kierunku prac monograficznych ze szczególnych dziedzin publicznego i prywatnego prawa w slawistyce historyczno-jurydycznej. (Por. też uwagi prof. Rud. Rauschera w znakomitym piśmie historyczno-prawniczym „Všehrd" Praha, r. XIV. č. 5).

Z okazji powyższych uwag metodologicznych (o metodzie kolejności i komparatystyki) warto skorygować (zapewne tylko przemówienie się) zdanie prof. Wojciecha Hejnosza w jego nekrologu prof. Balzera w lwow. „Ruchu Słowiańskim" (str. 55) głoszące, iż jak długo nie zostanie w pełni osiągnięty cel tj. poznanie i ustalenie głównych zasad pierwotnego prawa słowiańskiego — „tak długo nie można tym badaniom porównawczym (sc. prowadzącym do tego celu) odmówić rzetelnej wartości naukowej". Jest wszak rzeczą jasną, że zawsze prace naukowe na poziomie odpowiednim będą miały rzetelną wartość naukową, gdyż osiągnięcie głównego celu nie wykluczy pożyteczności, a może nawet i potrzeby, badania jego szczegółów. Nie przesądzajmy za prędko i nie zamykajmy wrót szczegółowej egzemplifikacji krytycznej, a i ew. rewizji, z którą się wszak zawsze teoretycznie liczyć można.

W badaniu społeczeństw poszczególnych Słowian należy, zdaniem naszym, jak to uczynił prof. Kazimierz Tymieniecki w odniesieniu do Słowian lechickich, oprzeć się na zagadnieniu rodu i plemienia, z uwzględnieniem wyników struktualno-socjologicznych. Następnie należy opracować wszystkie dziedziny prawa publicznego i prywatnego, materialnego i formalnego, zestawiając je porównawczo i tak można iść po dzień dzisiejszy włącznie.

Jerzy Pogonowski

O NAJNOWSZYCH PRACACH DOC. Dr. J. PACHOŃSKIEGO.

Dzieje legionów polskich we Włoszech należą do kapitalnych, podstawowych zagadnień naszej historii porozbiorowej. Dzięki pracy Szymona Askenazego „Napoleon a Polska" poznaliśmy polityczną stronę tego okresu. Brakowało strony najistotniejszej, bo militarnej. Toteż od lat budziły zainteresowanie postępy pracy dr Pachońskiego i gdy się ukazały. nie zawiodły oczekiwania. Oparte na dużym materiale krajowym i zagranicznym, częściowo zniszczonym na skutek działań wojennych dają omówienie jednego z istotnych zagadnień akcji legii Kniaziewicza na przełomie 1798 i 1799 r. na szeroko ujętym tle zmagań się Francji Rewolucyjnej na półwyspie Apenińskim. Tło ujęte tak szeroko, że chwilami sprawa polska schodzi na plan dalszy.

Pierwsza z omawianych tu prac, stanowiąca wycinek, a zarazem zapowiedź następnej może budzić pewne zastrzeżenia jeśli chodzi o cytowanie źródeł; udokumentowanie twierdzeń jest naogół słabe. Mimo, że język autora jest jasny, wątek snuje się gładko — moglibyśmy wytknąć kilka drobnych nieścisłości. Np. na str. 29 podanie „lekarz

protestancki" — nie znamy przecież takiej szkoły lekarskiej. — Co to jest „piszczałkarz" — chyba nie muzykant grający na piszczałce?! — „Ciągnięci jako pełniący funkcje generałów brygady" — chyba nikt nikogo nie ciągnął, by spełnić funkcje generała! Autor wymienia ponadto „parunastu oficerów" i „we Wiedniu"; wyrażenia te nie dźwięczą czysto po polsku. — Kniaziewicz był istotnie w korpusie kadetów, lecz w nekrologu jego, drukowanym w „Pamiętnikach Emigracji Polskiej" wbrew twierdzeniu autora głosi, że korpusu nie ukończył, a opuścił go po 2 latach wobec braku środków materialnych. — Lecz wszystko to są drobiazgi. Stwierdzenie w tytule, że była to walka Polaków o demokrację Włoch brzmi efektownie. — Było tak w istocie. Lecz czy był to tytułowy, programowy punkt widzenia legionistów, w imię którego walczyli i ginęli? — Obawiam się, że nie.

Równie dobrze szli na służbę do króla Etrurii i zwalczali wybijających się na wolność murzynów. Wolność mieli wypisaną na swych sztandarach, lecz w zastosowaniu do Polski. I demokracja Włoch nie była dla legionistów zagadnieniem głównym, by można je było wysunąć na miejsce tytułowe.

Jakiekolwiekby były nasze zastrzeżenia słabną one, jeśli nie giną całkowicie przy czytaniu drugiej, omawianej tu pracy dr Pachońskiego. Czyta się ją łatwo, z przyjemnością. Materiał zebrany przez autora duży i należycie cytowany budzi pełne zaufanie. Tu dopiero operacja i bitwa pod Civita Castellana znajduje należyte swe miejsce. Nie psuje narracji powtórzenia się tej samej wiadomości kilkakrotnie. Np. fakt, że Dąbrowski występował pod Geata „jako widz tylko" znajdujemy dwukrotnie (tom II, str. 38 i 41). O zmieszaniu się brygady gen. Metscha w czasie manewrów również jest dwukrotna wzmianka.

Sprawa polska, stanowiąca tylko fragment całości, schodzi na właściwe jej miejsce, nie wybija się stale na czoło wydarzeń. Pragnęlibyśmy tylko więcej widzieć map, które dałyby możność śledzenia operacji wojennych. A akcja jest bogata w fakty o dużym znaczeniu militarnym. Przechodzimy kolejno przez formowanie się II-ej koalicji przeciwfrancuskiej, przez wszechstronne opanowanie wiadomości o mało znanym Królestwie Obojga Sycylii, omówienie organizacji wojsk, ocenę ich wartości i przygotowań po obu stronach walczących i działaniach dyplomatycznych, ocenę rządu i dowódców, początków, sukcesy wojsk neapolitańskich, załamanie się ofenzywy gen. Macka, ofenzywę francuską z uwypukleniem roli w niej Polaków, powstanie ludowe w Neapolu ucieczkę króla i rządu. I tu po zajęciu Neapolu przez Francuzów tok akcji się urywa. Praca kończy się rozdziałem „Mocarstwa wobec wojny francusko-neapolitańskiej". A więc kończymy na triumfie oręża francuskiego. Winniśmy tu zaapelować do autora o tom III, gdzie znalazłoby się stworzenie Rzeczypospolitej Partenopejskiej, misja paryska Kniaziewicza, walki partyzanckie, role kardynała Fabrycego Ruffo, Nelsona i Lorda Hamiltona — doprowadzone do końca aż do wycofania się wojsk francuskich w związku z akcją bojową rozgrywającą się we Włoszech Północnych i restauracja rządów Ferdynanda IV. Wtedy obraz stałby się kompletny, a nasza literatura historyczna zyskałaby cenną pozycję.

Nie wątpię, że dalsze tomy tej wysoce pożytecznej pracy nad historią legionów polskich leżące w sferze zainteresowań i wieloletnich badań autora przyniosą jeszcze nie jedną cenną pozycję. To zaś, co nam już dał, stawia dr Pachońskiego wśród poważnych badaczy historii wojskowej.

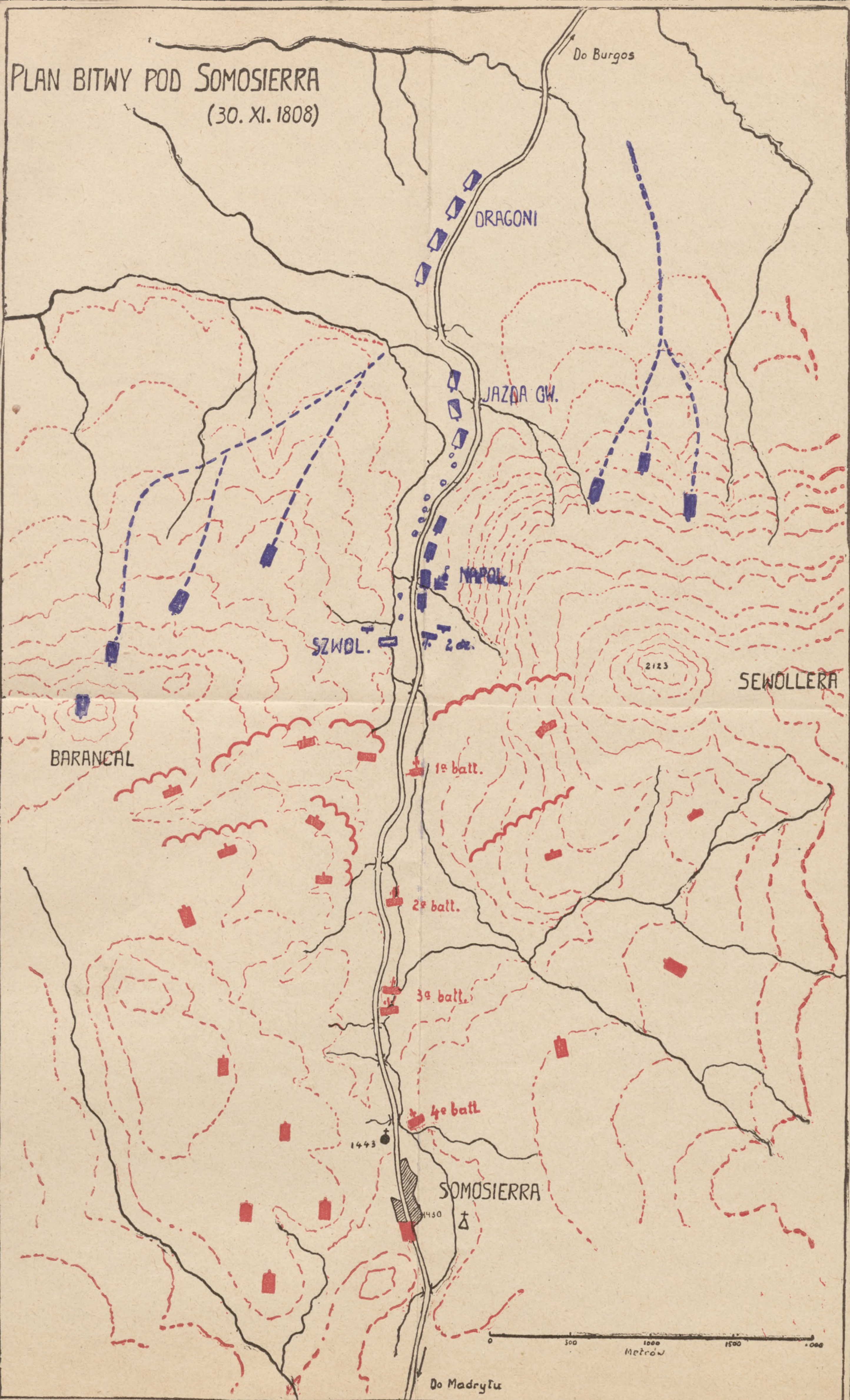
Dr S. Przewalski



E R R A T A

W tomie I (styczeń, luty, marzec) 1948 r. w artykule „Epos indyjskie i epos greckie" wkradły się następujące błędy:

str. 5 wiersz 3 od góry	zamiast	Swayamwavy *powinno być* Swayamwary
str. 7 wiersz 24 od góry	„	(ok.2000-1500 r. przed Chr.) Grecy *powinno być* Ok. 2000-1500 r. przed Chr. Grecy
str. 8 wiersz 27 od góry	„	mitologiczne *powinno być* mitologiczne, ale nie ma pośród nich żadnych pieśni
str. 9 wiersz 12 od dołu	„	skomplikowanej *powinno być* skompilowanej
str. 10 wiersz 15 od góry	„	wystarczy to... bohaterstwo *powinno być* wystarczą te... bohaterskie
str. 11 wiersz 14 od góry	„	„bowiem bohaterem" *powinno być* „bohaterem"


PLAN BITWY POD SOMOSIERRA
(30. XI. 1808)
Do Burgos
DRAGONI
JAZDA GW.
NAPOL.
SZWOL.
2 dz.
2123
SEWOLLERA
BARANCAL
1e batt.
2e batt.
3e batt.
4e batt.
1443
SOMOSIERRA
1430
0
500
1000
1500
Metrów
Do Madrytu

Bibl. Jag.

pojedynczego . . . . zł 150.—
. z przes. zwykłą . . . . zł 165.—
.z. z przes. polec. . . . . zł 185.—
.nie z przesyłką poleconą . . . . zł 555.—

nistracja „Nauki i Sztuki" prosi o kierowanie wpłat **do** **ąca złotych — wyłącznie** na konto PKO VIII—348 Wrocław: **wyżej tysiąca złotych** na konto „Nauki i Sztuki" w Narodowym Banku Polskim w Jeleniej Górze.

Cena ogłoszeń: Od 1 wiersza wys. 1 mm szerokości szpalty petitowej złotych 30.—

Zakłady Graficzne W. I. N. W. — Oddział w Jeleniej Górze — F. 38221

